

NR 3 (98)
marzec
2009

DODATEK: PŁYTA DVD Z FILMAMI

- DRUGA PRAWDA
- ELŻBIETA ZAWACKA –
– MIAŁAM SZCZĘŚLIWE ŻYCIE

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



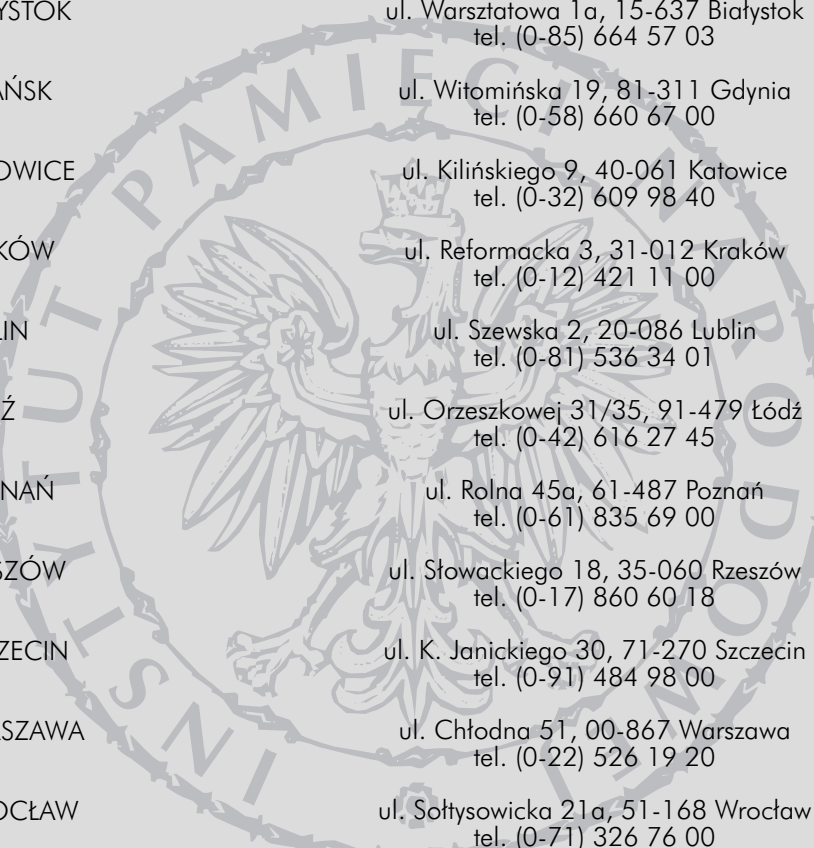
Ginęli, ratując Żydów



numer indeksu 374431
nakład 10000 egz.
cena 7,50 zł (w tym 0% VAT)

ODDZIAŁY IPN

ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Szewska 2, 20-086 Lublin tel. (0-81) 536 34 01
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	ul. Chłodna 51, 00-867 Warszawa tel. (0-22) 526 19 20
WROCLAW	ul. Sołtysowicka 21a, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Jan Żaryn – przewodniczący,
Marek Gałęzowski, Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Filip Musiał,
Barbara Polak, Leszek Próchniak, Jan M. Ruman, Andrzej Sujka, Norbert Wójtowicz

Redaguje zespół: Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 0-22 431-83-74), jan.ruman@ipn.gov.pl
Barbara Polak – zastępca redaktora naczelnego (tel. 0-22 431-83-75), barbara.polak@ipn.gov.pl
Andrzej Sujka – sekretarz redakcji (tel. 0-22 431-83-39), andrzej.sujka@ipn.gov.pl
Piotr Życieński – fotograf (tel. 0-22 431-83-95), piotr.zycienski@ipn.gov.pl
sekretariat – Maria Wiśniewska (tel. 0-22 431-83-47), maria.wisniewska@ipn.gov.pl

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński; redakcja techniczna: Andrzej Broniak;
tamanie: Wojciech Czaplicki, Tomasz Ginter; korekta: Beata Stadryniak-Saracyn

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa
Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

www.ipn.gov.pl

Druk: „2 K” s.c., ul. Płocka 35/43, 93-134 Łódź

BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 3 (98)

MARZEC

2009

SPIS TREŚCI

■ ROZMOWY BIULETYNU

Biedni Polacy patrzą i ratują

**Z Grzegorzem Berendtem, Markiem Wierzbickim i Janem Żarynem
rozmawia Barbara Polak**..... 2

■ KOMENTARZE HISTORYCZNE

Karol Madaj – **Duszpasterstwo Żydów-katolików w getcie warszawskim** 23

Sebastian Piątkowski – **Za pomoc Żydom osadzeni w więzieniu radomskim** 40

Michał Kalisz – **Sprawiedliwi z Czeremnej** 45

Aleksandra Namysło – **„Nie znoszę, kiedy krzywdzą niewinnych ludzi”** 50

■ SYLWETKI

Wojciech Jerzy Muszyński – **„Czarny Mecenaz”** 53

■ RELACJE I WSPOMNIENIA

Marek Jerzman – **„A gdyby to było nasze dziecko?”** 57

Paweł Knap – **„To dla mnie ostatnia chwila”** 63

Andrzej W. Kaczorowski – **Gdy grób był domem** 66

Andrzej W. Kaczorowski – **Danusia z miasteczka Piszczac** 69

Grzegorz Berendt – **Ocalona na Kaszubach** 74

Mateusz Wyrwich – **Obcy we własnym mieście** 77

Anna Zechenter – **Jedenaste: przyjmij bliźniego pod swój dach** 83

■ DOKUMENTY

Opracował Witold Mędykowski – **Kiedy ludzie żyli jak zwierzęta** 89

Marcin Urynowicz – **Księża katolicy z pomocą rabinom...?** 96

■ RECENZJE

Kazimierz Krajewski – **„Opór”? „Odwet”?**

Czy po prostu „polityka historyczna”? 99

Marcin Urynowicz – **O pomocy Żydom w IFiS PAN – kilka uwag** 109

■ **WYDARZENIA** 113

Na okładce: str. I – małżeństwo Ulmów i ich dzieci, którzy zostali zamordowani przez Niemców za ratowanie Żydów (fot. ze zbiorów M. Szpytmy); str. IV – kadr z realizowanego filmu *Historia Kowalskich*, reż. M. Pawlicki i A. Gołębiowski (fot. T. Życieński)

BIEDNI POLACY PATRZĄ I RATUJĄ

Z GRZEGORZEM BERENDEM, MARKIEM WIERZBICKIM
I JANEM ŻARYNEM ROZMAWIA BARBARA POLAK

B.P. – By zrozumieć relacje między Żydami i Polakami w czasie II wojny światowej, w czasie okupacji, należy przypomnieć, jak się one układały w dwudziestolecie międzywojennym. Te dwa obrazy mogą do siebie zaskakująco nie pasować.

J.Ż. – Z mojej perspektywy badawczej rzecz wygląda następująco: sytuacja, która została wytworzona przez obu okupantów – niemieckiego i sowieckiego – stworzyła tak ogromne różnice w zachowaniach społeczności polskiej i żydowskiej, że czas przeszły nie może stanowić – i w konfrontacji z rzeczywistością wojenną *de facto* nie stanowił – najważniejszego, a na pewno jedynego punktu odniesienia. Relacje polsko-żydowskie w latach 1918–1939 kształtowały się w ramach suwerennego państwa, które sprawowało opiekę prawną (niechby nawet wymuszoną przez traktat wersalski) nad mniejszościami narodowymi. Dotyczyły społeczeństwa, którego część wychowała się w państwie niepodległym, ale były także konsekwencją bardzo głębokiej tradycji stosunków polsko-żydowskich, sięgających czasów Kazimierza Wielkiego i jego następców. A zatem relacje te w okresie istnienia II RP miały się nijak do wytworzonej po 1939 r. przez dwa państwa totalitarne „kultury” i sytuacji prawnej. Jedno posługiwało się prawem rasistowskim, całkowicie sprzecznym z naszą tradycją prawną opartą na wolności, drugie – ideologią marksistowską, ateistyczną. Polacy i Żydzi znaleźli się w rzeczywistości okupacyjnej, która całkowicie przerwała i zniszczyła polską tradycję wzajemnych kontaktów.

M.W. – Owszem, to są dwie różne sytuacje – przedwojenna i wojenna. Okres międzywojenny kształtował zachowania i relacje między Polakami a Żydami i innymi mniejszościami narodowymi, m.in. chociażby za sprawą licznych konfliktów wywołanych sytuacją kryzysową z lat trzydziestych, co stanowiło źródło różnego rodzaju animozji, które wpłynęły na postawy i Polaków, i Żydów w czasie wojny – przede wszystkim w kontekście okupacji sowieckiej. Żydzi na Kresach Wschodnich żyli – częściowo z powodu polityki państwa polskiego, ale często też z przyczyn obiektywnych, np. kryzysu ekonomicznego – w bardzo ciężkich warunkach ekonomicznych. Oczywiście, nie tylko oni, ale także Polacy, Białorusini i Ukraińcy uważali, że państwo nie zaspokaja ich potrzeb i aspiracji, chociażby do godnego życia.

J.Ż. – Zgadzam się z tym, ale jeśli mamy mówić o Polakach ratujących Żydów, to uważam, że postawa Polaków wobec ich tragedii w czasie II wojny światowej nie wpływała z sytuacji przedwojennej, tylko z uwarunkowań wojennych. Wszelkie uogólnienia – np. że tylko filosemici albo jedynie ludzie lewicy czy prawicy (w imię odkupienia rzekomych win)



Fot. P. Żydenski

ratowali Żydów – są fałszywe w konfrontacji ze znanymi nam świadectwami, tak polskimi, jak i żydowskimi. Często Polacy, którzy przed wojną byli postrzegani przez Żydów jako antysemita, w czasie wojny – pomagali im. I odwrotnie: ci, którzy byli bardziej koncyliacyjni i filosemicki, z powodu tchórzostwa czy z obawy o życie najbliższych – nie zdobywali się na odwagę i nie udzielali pomocy.

G.B. – Żydzi, kiedy już wiedzieli, że trzeba uciekać, bo ujawnił się ostateczny cel Niemców, w pierwszej kolejności szukali pomocy u tych Polaków, z którymi w okresie przedwojennym mieli neutralne albo dobrosąsiedzkie relacje, nie mówiąc o przyjaźni czy związkach rodzinnych. A zatem z indywidualnej perspektywy te przedwojenne dobre relacje międzyludzkie w istotny sposób wpływały na to, co się działo w czasie wojny. Jak wynika z analizy Teresy Prekerowej, która przebadła akta ponad 2,5 tys. polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, blisko 50 proc. stanowiły osoby, które znały ratowanych z okresu przedwojennego.

J.Ż. – Dodajmy, że Niemcy, stosując wobec Żydów rasistowskie prawo i zamykając ich w gettach, wymuszali na nich postawę buntu bądź rezygnacji. Od Żydów wymagało to niesamowitej odwagi, żeby wejść w społeczność aryjską, czyli polską, która w II RP była dla wielu setek tysięcy rodzin żydowskich społecznością zewnętrzną, obcą. Z ich własnego wyboru – dodajmy. By nabrać odwagi i podjąć decyzję o wyjściu z getta, należało znać lepiej środowisko polskie. Piszą o tym wszyscy historycy. Na przykład Teresa Prekerowa stwierdza, że Żydzi nieznaną środowiska polskiego, mitologizowali je, a ci, którzy znali Polaków, mieli o nich dużo prawdziwsze i lepsze wyobrażenie. Ludzie, którzy zdecydowali się na wyjście z getta, to byli przede wszystkim ci, którzy uważali się za Polaków; często byli także katolikami. Znajdowali się też wśród nich tacy, którzy poza gettem mieli poczucie większego bezpieczeństwa albo pokonali cały wachlarz ograniczeń i podjęli olbrzymie ryzyko – w imię walki o życie. To jest osobny temat.

G.B. – W okresie międzywojennym Żydzi mieli – w skali kraju – dużo tych negatywnych doświadczeń. Ich uprzedzenia i obawy nie były bezzasadne. Z drugiej strony zwraca uwagę to, że w księgach pamięci (izkorbuchach), wydawanych przez ziomkostwa żydowskie po II wojnie światowej, najczęściej spotykamy się z chłodno neutralnymi lub wręcz wyłącznie negatywnymi uwagami na temat odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. Nie ma tam wyrazów radości z tego powodu, a najczęściej spotykamy tam uwagi na temat gwałtów dokonywanych na Żydach już w okresie polskich rządów. Taka jednostronna optyka wobec tamtych wydarzeń jest zastanawiająca. Nie wiem, na ile oddaje ona rzeczywiste nastroje z lat 1918–1920, a na ile jest wynikiem nastrojów i przekonań wyniesionych z okresu Zagłady i pierwszych lat powojennych spędzonych w Polsce. Obraz zawarty w izkorbuchach nie jest dla polskiego czytelnika zbyt przyjemny, ponieważ odzyskane państwo jest tam pokazane przede wszystkim przez pryzmat szykan, jakie spotkały Żydów.

B.P. – **A jednocześnie Żydzi byli zarówno w Legionach, jak i w Wojsku Polskim; walczyli z bolszewikami w kampanii 1920.**

M.W. – Była to stosunkowo wąska grupa, tak jak samych legionistów było niewielu. A takie stanowisko Żydów wobec odzyskanej przez Polskę niepodległości musiało rzutować na



relacje polsko-żydowskie. I na stosunek Polaków do Żydów. Należy pamiętać, że w II RP większość Polaków i Żydów żyła w absolutnej izolacji. Na Kresach, zwłaszcza północno-wschodnich, ponad 90 proc. Żydów mówiło w języku jidysz i większość z nich nie znała polskiego. Lepiej znali język rosyjski. Duże protesty społeczności żydowskiej wywołała wprowadzenie w latach trzydziestych przepisu, że rzemieślnicy, obywatele polscy, muszą wykazać się znajomością języka polskiego. Obie społeczności były bardzo od siebie odseparowane – brakowało między nimi codziennych kontaktów międzyludzkich; Żydzi nie znali polskiego, nie mieli znajomych wśród Polaków, inaczej się ubierali i zachowywali – i to właśnie zadecydowało, że nie uratowano większej liczby Żydów. Podkreślam, przesądziła ich izolacja. Nie mieli szans.

J.Ż. – Warto to skonfrontować z mapą ratujących i ratowanych. Najwięcej było ich w Galicji (co oczywiste choćby z powodu liczby mieszkających tam Żydów), dystrykcie radomskim oraz w Warszawie. Pod zaborem austriackim, w Galicji, relacje polsko-żydowskie układały się najlepiej, w odróżnieniu od zaboru rosyjskiego. Ale rzeczywistość jest bogatsza od najmindrzejszej reguły – i tu wracam, Grzegorz, do twojej konstatacji. Żydzi aktywnie politycznie (nie mówię o masach handlujących i o biedocie) byli postrzegani jako filorosyjscy, których co prawda Rosja carska gnębi, lecz oni są jej „batwochwalczo” podporządkowani. Dla wielu Żydów niepodległa Polska (mówię o opinii polskiej na temat środowisk żydowskich) stawała się niebezpiecznym tworem, w którym tracą oni swego opiekuna – cara. Potwierdzeniem tego są lata 1918–1920. Nietypowym przykładem, ale znamionym dla pamięci historycznej, jest Lwów w listopadzie 1918 r. Słusznie się szcycimy patriotyczną postawą młodzieży polskiej. Orleża Lwowskie – to jest ta wspaniała patriotyczna młodzież. A przecież do tych kilkunastoletnich chłopców strzelali także miejscowi bojówkarze żydowscy; nie mogło więc to nie wywoływać negatywnych reakcji Polaków. To wszystko – i jeszcze aktywność młodzieży żydowskiej po stronie bolszewickiej, gdy bolszewicy wchodzili na tereny polskie w 1920 r. – spowodowało powstanie pewnego stereotypu i wywoływało postawy antysemickie. Nosicielem radykalnych haseł stał się realny kryzys gospodarczy lat trzydziestych; a stałym czynnikiem było obopólne trwanie w „przewinie”, czyli wzajemne oskarżanie się (bądź pogarda). Podkreślam: wzajemne.

G.B. – Przykład lwowski jest bardzo niebezpieczny. O ile żydowscy bojówkarze – jak ich nazywasz – strzelali do polskich obrońców Lwowa, to na pewno niewielu wystąpiło ich po stronie ukraińskiej. Nie natknąłem się na dowody, by było inaczej. Doszło do pogromu lwowskich Żydów niezależnie od tego, jak się zachowywali między 1 a 22 listopada 1918 r. Wydarzyły się tam rzeczy straszne: kilkadziesiąt osób zamordowano, kilkaset poraniono, zniszczono wiele domów i warsztatów pracy. Lokalni czynniki polskie nie zrobiły wiele, by do tego nie dopuścić. Nie wiemy, na ile mogły tym wydarzeniom zapobiec, bo przecież po mieście krążyli również – wypuszczeni z więzień przez Austriaków – kryminaliści, nad którymi nikt nie miał kontroli. Jednak nie da się im przypisać pełnej odpowiedzialności za pogrom i jego konsekwencje. Osobiście nie dziwię się, że żydowska opinia publiczna uważała, iż część winy ponosiły również lokalni polscy decydenci, którzy nie wystąpili zdecydowanie przeciw bandytom różnej proveniencji. We Lwowie i w innych miejscach pozwolono, by wrogość uderzyła nie w nielicznych, którzy stanęli z bronią w rękę po stronie Ukraińców, bolszewików czy Litwinów, lecz w bezbronnych cywilów. Lwów jest dla strony żydowskiej symbolem niekontrolowanego czy wręcz inspirowanego odwetu.

J.Ż. – Na tym polega odwet i trwanie w stereotypie, co dotyczy zarówno niektórych Polaków, jak i Żydów. Ukraińcy natomiast wzięli owych kryminalistów pod swoje komendy.

M.W. – Chcę podać przykład na to, że bieżący czynnik sytuacji, wojenny, może odgrywać ważniejszą rolę niż zadawnione sympatie bądź antypatie. Myślę o Wilnie z 1941 r. W okresie okupacji – najpierw sowieckiej, następnie litewskiej, potem jeszcze raz sowieckiej – stosunki polsko-żydowskie były tam bardzo złe. Polacy generalnie oskarżali Żydów najpierw o sympatię do bolszewików, do Sowietów, następnie do Litwinów (którzy zresztą próbowali rozgrywać Żydów przeciwko Polakom) i potem znowu do Sowietów, co było częściowo uzasadnione, ale zostało uproszczone i wyolbrzymione przez odwołanie się do stereotypu „żydokomuny”. Gdy Sowietci uciekali w czerwcu 1941 r. przed atakującymi Niemcami, przyszedł taki moment, że między Polakami a Litwinami w Wilnie rozegrała się krótka walka o władzę. Litwini mieli już swoją milicję, tę dawniejszą, komunistyczną, szybciej opanowali teren. I niemal z jednakowym okrucieństwem i brutalnością traktowali zarówno Żydów, jak i Polaków. Wówczas było bardzo widoczne, kto jest panem tego terenu, a kto jest dyskryminowany. Ta sytuacja całkowicie zmieniła podejście Polaków do Żydów. Wileńszczyzna była obszarem szczególnie dużej pomocy dla Żydów ze strony polskiej społeczności. Żydzi to potwierdzają choćby w relacjach, które znalazły się w Archiwum Ringelbluma. Pomagało duchowieństwo, zachęcane przez obp. Romualda Jałbrzykowskiego. Pieniądze na pomoc Żydom zbierali profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego. Polacy, którzy wcześniej pracowali w żydowskich domach, dostarczali do getta żywność swoim chlebobodawcom. Pomagali także polscy chłopcy, którzy do szpitali przewozili rannych ocalałych z masowych egzekucji. W Wilnie było zupełnie inne nastawienie do Żydów niż w regionie łomżyńskim, gdzie po okupacji sowieckiej panowała wobec Żydów wyraźna wrogość i niechęć, w pełni utożsamianych z Sowietami.



G.B. – W relacjach ocalałych odnalazłem kilka przypadków zachowań zaskakująco niezgodnych z przedwojennym stereotypem. Dotyczą np. takich sytuacji, gdy Żyd idący ulicą czy przebywający w innym miejscu publicznym, natykał się na przedwojennego znajomego związanego z endecją. Pierwszą reakcją było przerażenie. Wydawało się, że za chwilę nastąpi denuncjacja, wydanie w ręce Niemców lub kolaborującej formacji policyjnej. Tymczasem ci znajomi, znani z antysemitów uprzedzeń zachowali się inaczej, udzielili doraźnej lub długotrwałej pomocy. Nie twierdzą, że takie zachowania były powszechne wśród przedwojennych antysemitów, ale uważam, że nie wolno o nich zapominać. (Skądinąd pamiętając o tym, że nie wynikały one ze swoistej filosemickiej reinkarnacji, ale ze zdecydowanego odrzucenia barbarzyńskich metod stosowanych przez Niemców i wrogości wobec nich).

B.P. – Żeby okazać pomoc Żydowi, nie trzeba było być filosemitą.

J.Ż. – W prasie podziemnej wydawanej przez obóz narodowy, np. w „Walce” (w której redaktorem był m.in. ks. Jan Stępień – również ratujący Żydów) czy w „Szańcu”, nadal była obecna niechęć wobec Żydów, których postrzegano jako społeczność polityczną o własnych,

antypolskich interesach. Miejscami pisano o nich z żenującą pogardą. A w tym czasie płonął warszawskie getto. Nawet gdy Żydzi ginęli w Treblince, to wciąż pojawiały się artykuły, w których ich krytykowano, a jednocześnie ich autorzy chronili Żydów u siebie – np. Edward Kemnitz czy Roman Blum. Oni nie zmieniali swojego światopoglądu czy nastawienia politycznego w patrzaniu na mniejszość żydowską, ale z pobudek chrześcijańskich i antyniemieckich traktowali rzecz w sposób oczywisty – udzielali pomocy konkretnym ludziom. W prasie narodowej Żydzi byli postrzegani jako osoby bezwolne, które bez sprzeciwu szły na śmierć.

G.B. – Niestety, taki sposób komentowania żydowskich postaw w obliczu działań niemieckich świadczy o złej woli. Zresztą po stronie polskiej w pierwszych latach okupacji również nie było masowych, spektakularnych działań zbrojnych wymierzonych w Niemców, gdyż zdawano sobie sprawę z krwawych konsekwencji. Podobnie było z Żydami. Na opór zbrojny wazyli się i mogli sobie pozwolić tylko nieliczni z nich. Jak można było walczyć, nie mając broni, natomiast mając pod opieką starców i dzieci? Tak długo, jak było to możliwe, starano się ratować życie, znosząc szykany i terror Niemców. Z żydowskiego punktu widzenia, skądinąd podobnie jak z polskiego, formą naprawdę masowego oporu było łamanie niemieckich zakazów w celu przedłużenia lub uratowania życia. Rzekoma bezwolność Żydów nie wynikała, jak twierdzili i twierdzą ludzie złej woli, z cech narodowych czy kulturowych. A co ci Żydzi mieli zrobić wobec rzeczywistości, z którą zostali skonfrontowani? Gdzie mieli uciec? Trzy miliony polskich Żydów nie mogło się ukryć po aryjskiej stronie. Musieli pozostawać w gettach, jak długo to było możliwe, musieli trzymać się nadziei, że jakaś część z nich zostanie oszczędzona. Czy ktoś zarzuca setkom tysięcy warszawiaków, opuszczających pod przymusem rodzinne miasto w październiku 1944 r., bierność i tchórzostwo. A przecież warszawiacy w 1944 r. wiedzieli już, że Niemcy są w stanie wymordować miliony cywilów, chociaż świat o tym wie i grozi karą za zbrodnie wojenne. Jeżeli się nad tym zastanawiam, to znajduję przynajmniej częściowe podobieństwo między przyczynami zachowań cywilnej ludności żydowskiej i polskiej zdanej na niemiecką przemoc. Nadzieja to często jedyny pancierz bezbronnych. Nie możemy również zapominać, że o ile większość chrześcijańskich warszawiaków miała w 1944 r. krewnych, u których mogła się schronić po wyjściu z Warszawy i do końca okupacji niemieckiej funkcjonować legalnie, to większość Żydów od 1943 r. nie miała takich możliwości. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by zrozumieć, czym sytuacja Żydów po tzw. akcjach w latach 1942–1943 i likwidacji gett różniła się od położenia ludności aryjskiej. Trzeba tylko trochę wiedzy i dobrej woli.

B.P. – **Ludzie nie są przygotowani na wojnę. Wojna jest zawsze takim szokiem, że analizowanie zachowań większych grup jak i poszczególnych osób musi uwzględniać tę opresję. Nasze reakcje w warunkach ekstremalnego stresu są trudne do przewidzenia. To jedno. Drugie, że perspektywy polska i żydowska w patrzaniu na wojnę i okupację były i są różne, niemniej najważniejszą konstatacją jest to, że Polacy ratowali Żydów. Dlaczego milczano o tym przez kilkadziesiąt lat?**

G.B. – Nie mówiono o tym przez kilkanaście pierwszych powojennych lat. Od początku lat sześćdziesiątych, za pełnym poparciem ówczesnych władz tzw. Polski Ludowej, być może pod wpływem działań Yad Vashem, zainicjowano polskie badania nad problemem pomocy Żydom udzielanej przez Polaków, które były kontynuowane do końca peerelu. Gorzej było z utrwaleniem wyników badań w świadomości społecznej oraz ich wykorzystaniem na arenie krajowej i międzynarodowej. Zakres badań nie był zbyt imponujący. Sądząc po lic-

bie publikacji, władzom bardziej zależało, by dysponować przykładami, na które można się powołać za granicą, niż na kompleksowym zbadaniu zjawiska pomocy i (ogólnie) relacji polsko-żydowskich w okresie wojny. A w 1968 r. komuniści wykorzystali – w sposób skrajnie instrumentalny – wiedzę na temat pomocy Żydom. Aby wywołać niechęć społeczeństwa wobec „syjonistów” – jak komuniści nazywali wszystkie środowiska żydowskie krytyczne wobec ich antysemitycznych poczynań – zaczęto lansować pogląd, że Żydzi, mówiąc i pisząc o relacjach polsko-żydowskich w okresie niemieckiej okupacji, przedstawiają Polaków wyłącznie w złym świetle jako kolaborantów zaangażowanych w ich prześladowanie. By udowodnić złą wolę „syjonistów”, odwoływano się zarówno do znanych od kilku lat ustaleń badaczy tematu, jak i do pojawiających się *ad hoc* relacji na temat bezinteresownej polskiej pomocy Żydom. Praktyka nagłaśniania tych faktów i przyznawanego Polakom tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata była stałym elementem poczynań władz PRL.

B.P. – Ale ta wiedza nie istniała w przestrzeni publicznej. To, że Polacy ratowali Żydów, było zatopione w kontekście politycznych przepychanek, kto bardziej ucierpiał.

M.W. – To prawda, że pierwsze prace powstały w latach sześćdziesiątych. Zebrano wiele zeznań i relacji osób zaangażowanych w akcje pomocy Żydom czy świadków tych akcji. Ale prawdą jest też to, że w tym czasie nie pojawiły się żadne monografie traktujące o pomocy Żydom w poszczególnych regionach. A to z kolei uniemożliwiło powstanie monografii opisującej zjawisko w skali kraju. Nie mamy jej do tej pory. Obecnie powstają pierwsze opracowania monograficzne, ale czy nie są one spóźnione?

B.P. – Ale dlaczego nie prowadzono tych badań cząstkowych?

G.B. – Powody mogły być dwa. Po pierwsze – tematyka żydowska nie była popularna. Po drugie – obawa, że zagadnienie pomocy wywoła dyskusje także na temat innego aspektu wojennej rzeczywistości: kolaboracji i szmalcownictwa. Zdawano sobie sprawę, że poza Niemcami głównym zagrożeniem dla Polaków ratujących Żydów byli inni Polacy, a na Kresach także Ukraińcy, Białorusini i Litwini. Według osoby związanej z Zarządem Głównym Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, w latach sześćdziesiątych zdecydowano, że nie będzie badań nad problemem kolaboracji w czasie wojny (niezależnie od tego, czy to jest związane z kontekstem polsko-żydowskim, czy nie). Zalecano badania nad heroicznymi i martyrologicznymi wątkami z lat okupacji. Również w tej przestrzeni dała o sobie znać cenzura i reglamentowanie tego, o czym można było publicznie mówić i pisać.

J.Ż. – Nie zgadzam się z tobą, Grzegorz. Komuniści w różnych momentach, przede wszystkim z powodu własnych problemów partyjnych, wykorzystywali resentymenty i napięcia w relacjach polsko-żydowskich do legitymizacji swojej władzy czy też do rozgrywek „stołkowych”. Polscy historycy peerelu, którzy nie należeli do układu nomenklaturowego i nie chcieli kłamać, nie mogli wówczas zajmować się problematyką polsko-żydowską. Blokował ich kontekst polityczny, w tym także to, że gdyby chcieli pisać (w wersji prawdziwej i suwerennej, a nie chwilowo i utylitarnie dozwolonej przez władze, jak w 1968 r.) o stosunkach polsko-żydowskich w XX w., nie mogliby nie pisać o Żydach-bolszewikach, o Żydach w UB, w prokuraturze, w propagandzie zohydżającej AK itd. To prawda, że istniała zgoda tylko na przedstawianie martyrologii i heroizmu Polaków pod okupacją. Ale nie wszystkich

Polaków. W tej wizji historii nie można było mówić np. o bohaterstwie żołnierzy Legionów Piłsudskiego. A kto mógł obnażyć działania ludzi, którzy w 1920 r. stanęli po stronie sowieckiej i na sowieckich bagnietach próbowali wprowadzić do Polski władzę komunistyczną? To byli Żydzi, którzy potem, w roku 1944 i w latach następnych, znaleźli się w aparacie władzy. W peerelu nie mogły się pojawić pełne informacje na temat kadry kierowniczej MBP i PZPR. Mniejszość żydowska, zmniejszając się liczebnie – kolejno po roku 1946, 1956 i 1968 – funkcjonuje w ramach państwa komunistycznego jako jego beneficjent, a zatem jako kolaborująca z władzą komunistyczną (jest taki raport przedstawicieli amerykańskiej organizacji żydowskiej z 1967 r., w którym pisze się, że mniejszość żydowska w peerelu ma najwięcej praw, że władza marksistowska – czytaj antykatolicka – daje rękojmię wyznawcom judaizmu, że kultura żydowska jest i będzie tolerowana przez komunistów).

Po wojnie to wszystko zamykało usta Polakom, którzy jeszcze nie tak dawno ratowali Żydów, i historykom, którzy chcieliby poprowadzić uczciwą debatę publiczną na temat postaw polskich wobec Żydów w czasie II wojny światowej. Tę pustkę wypełniły przekazy rodzinne, siłą rzeczy zmitologizowane, hagiograficzne. Ani ze strony komunistów, ani ze strony Żydów polskich nie było przyzwolenia, żeby pisać o prawdziwej historii relacji polsko-żydowskich w XX w. Powstały nieliczne prace – Lewinówny, Bartoszewskiego i Prekerowej (ta ostatnia przygotowała ją zresztą w okresie szesnastu pierwszych miesięcy „Solidarności”). Z chwilą otwarcia się granic i wyjścia Polski na arenę międzynarodową jako wolnego i niepodległego państwa, społeczeństwo polskie zostało zaskoczony niemalże zupełną nieznaną historią Polski (w tym jej części dotyczącą ratowania Żydów przez Polaków w czasie II wojny) w środowiskach zachodnich, zwłaszcza amerykańskich (w tym żydowskich) czy izraelskich. Tymczasem na Zachodzie od lat była propagowana fałszywa wersja relacji polsko-żydowskich.

B.P. – W Stanach na tym temacie można było zrobić karierę i pieniądze.

J.Ż. – Książki Jana T. Grossa podsumowujące nieprawdziwe stereotypy na temat Polaków spowodowały raptowny i słuszny wybuch zainteresowania tym zaległym tematem. W USA, co najmniej od lat siedemdziesiątych, do dziś karmi się widzów produkcją filmową, w której Polaków przedstawiano nieraz gorzej niż hitlerowców – np. w *Wyborze Zofii* z 1982 r., w którym Polacy zostali ukazani jako autorzy planu zagłady Żydów. Powstały też telewizyjne serialowe „tasiemce” (*Holocaust* z 1978 r. czy *Powstanie* z 1997 r.). Środowiska żydowskie – utożsamiające się na ogół z tymi obrazami – nie do końca mogły zrozumieć, że miejscowa Polonia obrażała się za prezentowane kłamstwa. Wydaje mi się, że po 1989 r. ten – głównie amerykański – produkt pamięci o Polakach, rzekomych sprawcach zagłady Żydów, został zaszczerpiony w Polsce być może z nadzieją, iż opór będzie tu mniejszy niż wśród Polonii amerykańskiej. Na szczęście nie był. A jednocześnie poddano weryfikacji także tę „rodzinną” wersję historii. Konfrontacja spowodowała ten wybuch zainteresowania tematem ratowania Żydów, który dopiero dzisiaj zaczyna być realizowany w formie syntetycznych opracowań i projektów badawczych.

G.B. – Dla mnie jednak kluczowe jest to, że w czasach peerelu do zagadnienia stosunków polsko-żydowskich podchodzono w sposób przedmiotowy i instrumentalny. Taka była polityka ówczesnych władz, jeśli chodzi o edukację. Jedną z historyczek z ŻIH poddała analizie treść podręczników szkolnych do historii wydanych w PRL. Co się okazało – najobszerniejszy tekst, dotyczący niemieckiej polityki zagłady Żydów, jest autorstwa Żanny Kormanowej. Jest to podręcznik z lat pięćdziesiątych. Później, przez następne trzydzieści

kilka lat, tych informacji było coraz mniej. Na początku lat siedemdziesiątych doszło do totalnego zakłamania, nawet nie pisano o zabitych 6 mln polskich obywateli, ale wprost o Polakach, pomijając to, że około połowa (zabitych i zamordowanych obywateli II RP) zginęła tylko dlatego, że była Żydami.

J.Ż. – Ale czy chcesz przez to udowodnić, że Żanna Kormanowa była niezakłamanym historykiem?



Fot. P. Życieński

G.B. – Nie. Chcę wskazać na poważne, społeczne konsekwencje takiej praktyki oświatowej. Gdy w przypadku innych tematów wiedza społeczeństwa zwiększała się stopniowo, to w przypadku wątków żydowskich występowało zjawisko odwrotne. Mamy w Polsce 35 roczników osób, dla których główny przekaz historyczny zawierał się w programach szkoły podstawowej, zawodowej i średniej. Kilkadziesiąt roczników urodzonych po wojnie nie miało okazji dowiedzieć się w szkole, jaki los spotkał Żydów z rąk niemieckich okupantów. Stąd szok, gdy po 1989 r. pojawiły się wolne media, z których nagle miliony ludzi niepamiętających wojny dowiedziało się nie tylko o chwalebnych, ale i mrocznych czynach niektórych Polaków w okresie wojny. Ta społeczna niewiedza na temat okupacyjnych relacji polsko-żydowskich to kolejny „podarunek” peerelu. Przypomnijmy, na arenie krajowej komunści sięgnęli po temat polskiej pomocy Żydom tylko raz i tylko po to, żeby wywołać społeczną niechęć do diaspory żydowskiej i Izraela.

J.Ż. – Ale kij ma dwa końce. Bo prawdą jest – co umiejętnie wykorzystwała propaganda komunistyczna – że środowiska żydowskie w Stanach Zjednoczonych zaprezentowały antypolonizm, próbując udowodniać nam haniebną i nieprawdziwą przeszłość. Wydana w języku angielskim w 1969 r. praca płk. Iranka-Osmańskiego, miała przekonać, że Polacy to nie zabójcy i naziści, że pod okupacją niemiecką walczyli z hitlerowcami i wspierali Żydów (być może w mniejszym stopniu, niż mogli, ale jednak). Nie była to jednak skuteczna próba odpowiedzi na antypolskie fałszowanie dziejów, w tym przez komunistów pochodzenia żydowskiego, beneficjentów systemu do 1968 r., a potem wyrzuconych przez innych beneficjentów – komunistów pochodzenia nieżydowskiego.

G.B. – Tak, przy czym nie przypisywałbym tej tendencji do wyłapywania czy pokazywania negatywnych zachowań Polaków wyłącznie komunistycznym wychodźcom z PRL. Przedstawiciele innych grup, w tym syjonistycznej, bundowskiej czy religijnej emigracji wczesnopo wojennej, również nie byli dalecy od tego. Obraz Polski, jaki zabierali ze sobą za granicę Żydzi był – eufemistycznie rzecz ujmując – daleki od sielanki. To dawało o sobie znać we wspomnieniach spisanych w formie książek czy w wywiadach dla mediów. Dobierając odpowiednio fragmenty, można było łatwo zbudować jednoznacznie negatywną wersję przeszłych wydarzeń. W 1968 r. skwapliwie wykorzystywano to w antysemitycznej propagandzie PRL. Pomijano natomiast w relacjach Żydów, którzy przeżyli dzięki Polakom i w warunkach wolności słowa panujących w społeczeństwach demokratycznych w Izraelu, w Stanach,

w Szwecji lub w innych państwach te fragmenty, w których przedstawiali pełniejszy obraz tragicznej przeszłości, opowiadając nie tylko o szmalcownictwie, ale też o bezinteresownej pomocy, względnie o każdej formie doświadczonej pomocy.

J.Ż. – Trzeba pamiętać, że szczególnie od lat sześćdziesiątych dzięki Żydom uratowanym przez Polaków zaczął rosnąć las polskich drzewek dla Sprawiedliwych w Instytucie Yad Vashem, choć i tak ratujących było znacznie więcej.

M.W. – Największym błędem, jaki się robi, oceniając polską pomoc i jej skalę, to odebranie jej od kontekstu okupacyjnego. Kwestię Zagłady i całą historię tego zjawiska trzeba łączyć z historią społeczną II wojny światowej na ziemiach polskich. I z tym, z jakim doświadczeniem zetknęli się wszyscy obywatele polscy, mieszkańcy tych terytoriów. Jak w tym kontekście mogli się zachować i jak się zachowali. Bardzo ważną determinantą jest sytuacja samych Polaków. Duży błąd robią ci badacze, którzy oceniając relacje polsko-żydowskie, skupiają się tylko na sytuacji Żydów, jej poświęcają najwięcej uwagi. W pewnym sensie jest to zrozumiałe ze względu na tragiczne doświadczenia Żydów, które były niepowtarzalne. Ale ci badacze abstrahują od sytuacji Polaków. Aby zrozumieć stosunki polsko-żydowskie pod okupacją niemiecką, a także kwestię pomocy, należy przede wszystkim skupić się na sytuacji Polaków i przeanalizować wszystkie czynniki, które wpływały na postawy w tamtym czasie. Uważam, że potrzebna nam jest rzetelna historia społeczna II wojny światowej, badanie historii poszczególnych społeczności lokalnych, struktur społecznych, organizacji społecznych, grup narodowościowych czy etnicznych.

B.P. – **A także zjawisk i procesów, bo np. kolaboracja dotyczy w równym stopniu Polaków, jak i Żydów.**

J.Ż. – Warto zadać pytanie, dlaczego tak mało Żydów skorzystało z możliwości ratowania się, czyli wychodzenia na stronę aryjską. Polacy wobec tych, którzy podjęli takie ryzyko, mieli kilka możliwości zachowań – uratować, wydać, pozostać obojętnym. Z tymi postawami mogło spotkać się tylu Żydów, ilu przeszło na stronę aryjską. Ważne jest też sprecyzowanie słowa „pomoc”. Pomocą było wzięcie do domu na utrzymanie rodziny żydowskiej, ale także wynajęcie jej pokoju czy poddasza za pieniądze, co dziś nazwalibyśmy jedynie usługą handlową. Pomagał również chłop, który pod osłoną nocy przewoził Żyda z jednego domu do drugiego. Pomagali ci Polacy, którzy przekazywali pożywienie ludziom idącym w kolumnie z getta do pracy. Ale za pomoc należy uznać również zachowania na pograniczu ekonomicznego zysku, bo przecież Polacy nie mogli nie myśleć o zabezpieczeniu swoich najbliższych. Żeby przechować u siebie dodatkową osobę z takimi samymi potrzebami konsumpcyjnymi, trzeba było wspólnie zbierać pieniądze, zwłaszcza wówczas gdy chodziło o długotrwałe wspieranie całych żydowskich rodzin, a nie tylko o przelotny gest.

W pracy historyka ważne jest podjęcie próby wyliczenia z imienia i nazwiska Polaków, którzy ratowali Żydów (według podanej definicji pomocy) i przypisanie tych postaw jakimś terenom i grupom, bo to też jest szalenie ciekawe i ważne. Na przykład i w polskich, i żydowskich relacjach zawiera się informacja, że Polacy, którzy byli aktywni w konspiracji antyniemieckiej czy antysowieckiej, niejako „międko” wchodziłi w tę nową formę sprzeciwu, jaką było udzielanie potrzebującym, czy to Polakom, czy Żydom.

Ciekawa jest analiza społeczna zachowań pomocowych. Z relacji polskich wynika, że mieszkańcy wielkich miast, jak choćby Warszawy, są przykładem pozytywnym. To jest o tyle zrozumiałe, że właśnie z getta warszawskiego wyszło ponad 25 tys. osób. Przynajmniej w pierwszym momencie musieli się oni schronić na terenie Warszawy. Kolejną grupą utrzymującą Żydów przy życiu była ludność wiejska, ale też zapłaciła za to największą cenę – wsie zostały najbardziej dotknięte represjami. Powszechnie znane są Ciepelów, Siedlisko czy Markowa. Kolejną grupą niosącą pomoc Żydom było ziemiaństwo. Rodziny ziemiańskie w swoich majątkach zrobiły bardzo wiele dla ratowania Żydów, o czym wiemy z prowadzonych dzisiaj badań Towarzystwa Ziemiańskiego jak i z gromadzonych przez nie wspomnień. No i oczywiście znaczącą rolę odegrał Kościół katolicki, zwłaszcza zgromadzenia zakonne. Biskupi katoliccy wywierali na wiernych nacisk moralny, by takiej pomocy udzielać (to np. casus bp. Romualda Jałbrzykowskiego, a przede wszystkim abp. Adama S. Sapiehy, który miał zabronić swoim proboszczom pokazywania Niemcom ksiąg metrykalnych, by chronić zarówno Żydów-katolików, Żydów i kapłanów – „wspólników” w fałszowaniu metryk lub poświadczeń metrykalnych. Proboszczowie mieli odsyłać Niemców domagających się wglądu w księgi wprost do patacu arcybiskupiego). Ta pomoc hierarchii kościelnej była wszechstronna – obejmowała przekazywanie jurysdykcji kapłanom postugującym Żydom w gettach, np. w Warszawie, ale także zgodę na przygotowywanie fałszywych metryk, przyspieszone przygotowanie do chrztu itd.

G.B. – Tylko z katolickiego punktu widzenia to nie byli Żydzi, pomagano...

B.P. – ...ludziom.

G.B. – Katolikom. Pomagano członkom parafii, to nie była pomoc dla Żydów.

B.P. – Nie robiłabym takich podziałów.

G.B. – Ta interwencja, jeżeli chodzi o parafie chrześcijańskie na terenie getta, jest związana z przynależnością do Kościoła powszechnego. Z punktu widzenia rasistów niemieckich ci ludzie byli Żydami, z punktu widzenia Kościoła oni byli polskimi katolikami żydowskiego pochodzenia i pomagano im jako takim.

J.Ż. – Oczywiście, po pierwsze pomagano tym, którzy się zgłaszali. Do kościoła Wszystkich Świętych w warszawskim getcie przychodzili przede wszystkim Żydzi-katolicy, którzy uznawali to za sprawę naturalną, ale jak wiemy z relacji dotyczących tego kościoła, to „głębokość oddziaływania społecznego” była dużo większa. Katolicy żydowskiego pochodzenia byli zresztą na cenzurowanym, jeśli chodzi o większość żydowską w getcie, która nie traktowała ich jako Żydów. Byli więc w bardzo trudnej sytuacji egzystencjalnej.

G.B. – Zacznę od pierwszego wątku. Od skali podejmowanych przez Żydów prób uniknięcia losu zgotowanego im przez niemieckich nazistów.

B.P. – Czy na wieść o tym, co się dzieje w Niemczech hitlerowskich, pojawiła się jakaś grupa ludzi, których rodzaj przenikliwości kazał im podjąć próby ucieczki z Polski, z Europy?

G.B. – Organizacje nastawione programowo na propagowanie emigracji, tzn. syjonistyczne, kontynuowały swoją działalność, i to niezależnie od kontekstu niemieckiego. Były też pojedyncze rodziny zdolne zorganizować sobie emigrację – samodzielnie albo uzyskując pomoc z zagranicy. Emigrowały one również z innych przyczyn, niekoniecznie z powodu zagrożenie niemieckiego, raczej ze względu na sytuację w kraju. Większość jednak, zarówno w Polsce, jak i gdzie indziej, miała nadzieję, że do wojny nie dojdzie. Zgodnie z oceną polskiego rządu, jedna trzecia Żydów w kraju żyła poniżej ówczesnego progu ubóstwa. Ci ubodzy ludzie nie mogli opłacić kosztów emigracji, a z tych, których było na to stać, na wychodźstwo zdecydowali się nieliczni. Nikt się nie spodziewał – ani w 1939, ani 1940, ani w 1941 r., że polityka nienawiści przyjmie postać totalnego ludobójstwa.

M.W. – Często robimy taki błąd – mówiąc o relacjach polsko-żydowskich czy o sytuacji Żydów – że analizujemy okres przedwojenny i potem od razu okres zagłady Żydów, czyli koniec 1941 r. i rok 1942. Pomijamy trzy pierwsze lata okupacji niemieckiej, kiedy sytuacja ludności żydowskiej była jeszcze inna. Przecież od września 1939 r. do połowy 1941 r., w liczbach bezwzględnych, zginęło więcej Polaków niż Żydów. W akcji eksterminacji inteligencji polskiej na ziemiach włączonych do Rzeszy zginęło w tym czasie 40–50 tys. osób, przede wszystkim przedstawiciele polskiej inteligencji. W tym samym okresie Żydzi byli usuwani z życia publicznego, dyskryminowani pod względem ekonomicznym, obywatelskim, zabierano im majątek, ograniczano ich swobody. To zresztą też wpływało na stosunki polsko-żydowskie.

B.P. – Polacy z Wielkopolski czy Pomorza w akcji wysiedlania ich z mieszkań, gospodarstw i majątków na spakowanie się mieli 15 minut.

M.W. – W tym czasie Żydzi nie byli mordowani na taką skalę jak Polacy, może z wyjątkiem kampanii wrześniowej, kiedy Żydzi na równi z Polakami ginęli w masowych egzekucjach. Sytuacja Żydów i Polaków była więc odmienna, co nie sprzyjało zbliżeniu tych dwóch społeczności. I jeszcze jedno – właśnie w tym okresie okupant niemiecki włożył ogromny wysiłek w rozwinięcie wielkiej propagandy antyżydowskiej, skierowanej do ludności nieżydowskiej, głównie do Polaków. Myślę, że nie wolno lekceważyć siły oddziaływania tej propagandy. Mówimy, że prasa gadzinowa była przez Polaków bojkotowana, ale w samym tylko Radomiu ukazywała się ona w nakładzie 80 tys. egzemplarzy. Jednak ktoś te gazety czytał, nie tylko Niemcy. Mimo nawoływań podziemia ludzie chodzili do kina, gdzie przy okazji oglądali filmy propagandowe skierowane przeciw Żydom. Była także bardzo nośna propaganda wizualna w postaci koszmarnych plakatów, pokazujących Żyda jako nieczłowieka. Próbowano wmówić Polakom, że Żydzi są odpowiedzialni za biedę, wojnę i epidemię tyfusu (czym zresztą uzasadniano konieczność tworzenia gett). Jestem przekonany, że taka propaganda nie była obojętna i miała wpływ na postawy Polaków wobec Żydów w momencie, kiedy zaczęło się ich masowe mordowanie.

J.Ż. – Propaganda niemiecka była w jakimś stopniu wspierana przez informacje napływające z Kresów, pozostających pod okupacją sowiecką. To temat znany. Relacje dowództwa ZWZ, potem AK do „polskiego Londynu” są jednoznaczne – izolacja losów Polaków i Żydów w latach 1939–1941 wpływała na pogłębiającą się wzajemną niechęć. Trzeba obiektywnie spojrzeć na ten czas. W relacjach żydowskich, np. we wspomnieniach Else

Pintus z Kaszub, o czym piszemy w tym numerze „Biuletynu”, dominuje wewnątrzżydowski punkt widzenia, tak jakby Polacy na Kaszubach nie byli brutalnie mordowani i wysłani do obozów koncentracyjnych, jakby nie było mordów w Piaśnicy. Else pochłonięta jest swoimi sprawami: poszukiwaniem zaginionego męża i walką o strawę. Podobnie w polskich relacjach przeważa – mówiąc ogólnie – pamięć o Palmirach, pierwszych transportach do Auschwitz, a po sowieckiej stronie – o deportacjach. Dominuje pamięć o faktach świadczących o polskich cierpieniach.

G.B. – Na ogół mówiąc o zagładzie Żydów, wymienia się – jako wstrząsające – liczby kalorii dziennych racji żywnościowych (ok. 300 kalorii) przydzielanych Żydom w getcie warszawskim. Ale nie przytacza się wówczas informacji o tym, co działo się po drugiej stronie muru. A tam milion warszawiaków dostawał dzienny przydział żywności o wartości 700 kalorii. Ani dziecko, ani osoba dorosła czy starsza nie może normalnie funkcjonować, dostając tak mało jedzenia. Uzupełnianie niedoborów było możliwe tylko na czarnym rynku, ale przecież bardzo niewielu mogło sobie na to pozwolić. W latach 1939–1942 ceny poszczególnych kategorii produktów pierwszej potrzeby wzrosły na czarnym rynku o 7, a niekiedy o 10 tys. procent. Równocześnie Niemcy zamrozili nominalną wysokość pensji na przedwojennym poziomie. Polityka hitlerowska doprowadziła do zniszczenia wielu przestrzeni normalnej działalności ekonomicznej Polaków: zamykano zakłady pracy, rabowano zgromadzone surowce i maszyny i wywożono do Niemiec. Dysponujemy danymi z poszczególnych powiatów czy dawnych województw, określającymi skalę zmniejszenia produkcji przemysłowej. Setki tysięcy osób utraciły przedwojenne źródła utrzymania. Byli to inteligenci, drobnomieszczenie i robotnicy. Proceder likwidacji miejsc i warsztatów pracy trwał także w latach 1942–1943. Z każdym rokiem okupacji malały ekonomiczne możliwości utrzymania się na powierzchni coraz większej części społeczności aryjskiej. Trudno sobie wyobrazić sytuację, że owa pauperyzująca się w szybkim tempie większość przyjmie jeszcze kogoś na bezpłatne utrzymanie, że weźmie odpowiedzialność za jego byt. Jeżeli z trudem udawało się wyżywić własną rodzinę, tym trudniej było wziąć odpowiedzialność za inne osoby. Niedostatek materialny był jedną z przyczyn pobierania pieniędzy od Żydów, którym udzielano schronienia. Aczkolwiek niektórzy robili to także dla zysku.

B.P. – **Przecież ludzie wtedy naprawdę głodowali, to nie są legendy o tych daniach z brukwi, lebiody czy suszeniu skórek od jabłek, obierek ziemniaków.**

M.W. – Konieczność odtworzenia tych realiów okupacyjnych jest potrzebna dla zrozumienia warunków, w jakich udzielano pomocy Żydom. Chciałbym dodać jeszcze jeden wątek. Często mówimy, że różnego rodzaju nieprawości, podłości wobec Żydów dopuszczali się ludzie z marginesu społecznego, że szmalcownicy byli ludźmi z marginesu społecznego. Co to znaczy „margines społeczny” w warunkach wojennych? Co to znaczy „człowiek porządny” w tamtych warunkach? W odniesieniu do czasów pokojowych są to różne pojęcia. Brakuje badań, które by nam pozwoliły zdefiniować te pojęcia dla czasu wojny.

B.P. – **Szmalcownik wpisuje się w margines społeczny, nawet gdyby był hrabią.**

J.Ż. – Szmalcownik to przede wszystkim wytwór haniebnego prawa okupacyjnego. To człowiek podły, który rozumiał, że Niemcy dali mu niebezpieczny, ale skuteczny sposób na

stały zarobek – szantaż. Szmalcownik był na marginesie przede wszystkim dlatego, że znajdował się poza oddziaływaniem ówczesnego nauczania Kościoła katolickiego i Polskiego Państwa Podziemnego. Na tym marginesie znaleźli się także kolaboranci, prostytutki służące Niemcom czy aktorzy bawiący ich w teatrzykach. Pytanie zatem jest takie: jak liczny był ten margines?

M.W. – Proszę zwrócić uwagę, że powszechnym i tolerowanym zachowaniem był udział w rabunkach. Wtedy właściwie wszyscy rabowali wszystkich – Polacy Polaków, Żydzi Żydów.

B.P. – Proszę nie mówić wszyscy, bo to nieprawda.

J.Ż. – Nieprawda, ale Marek ma dużo racji. Okupacja wyzwała patologie. W okupacyjnych kazaniach biskupa łomżyńskiego Stanisława Łukomskiego dominuje przestroga, by szanować cudzą własność, zachować czystość, nie poddawać się rządzy zemsty, nienawiści itd. Niemcy wyzwolili pokłady egoizmu i patologii, także np. w warszawskim getcie.

M.W. – Mówiąc wszyscy, chodziło mi o to, że niezależnie od narodowości. W każdej narodowości pojawiają się ludzie, którzy dopuszczają się rabunku, chociaż przed wojną tego nie robili. Dlaczego? Nie znamy odpowiedzi, bo nie mamy dokładniejszych badań, być może z powodu biedy. Znam relacje świadków, z których wynika wyraźnie, że bieda była powodem osłabienia hamulców moralnych, więc wykorzystywano różne okazje, by poprawić swoją sytuację – np. przez obrabowanie mieszkania sąsiada. Pojawił się również bandytyzm, o którym także niewiele wiemy. To było zjawisko ogromnie rozpowszechnione, rozplenione, zwłaszcza na terenach wiejskich Polski centralnej i wschodniej. Bandytyzm dotykał i Polaków, i Żydów. Rabowano każdego, niezależnie od narodowości, jeżeli dawało to możliwość wzbogacenia się kosztem ofiary. Żydzi byli tą najstarszą ofiarą, bo byli wyjęci spod prawa, błąkali się po lasach. Nie mogli się bronić – często były to kobiety, dzieci, osoby starsze. I trzecia sprawa – denuncjacje, donosy do władz okupacyjnych. To kolejna patologia społeczna mało jeszcze rozpoznana...



Fot.: P. Życzeński

B.P. – ...również dotycząca każdej narodowości.

M.W. – Często były to porachunki między sąsiadami. Ich ofiarami byli także Żydzi, którym Polacy pomagali. Żeby zrozumieć, w jakich warunkach Żydzi byli ofiarami i w jakich warunkach świadczone im pomoc, konieczne są szczegółowe badania.

J.Ż. – Należy przy tym uwzględnić, że istnieją granice poznania (np. nie wiemy, czy rodzinę Ulmów rzeczywiście wydał miejscowy Ukrainiec). I pamiętajmy, że Żydów i Polaków wydawali także ratowani Żydzi – złapani i dręczeni przez Niemców. Takie przypadki wywoływały strach i wpływały na ograniczenie skali pomocy. Podobny skutek miała bandycka działalność żydowskich oddziałów leśnych (nie tylko braci Bielskich).

B.P. – Nie zapominajmy o bardzo istotnym aspekcie tego czasu – niemieckim terrorku. Ludzie żyli w rzeczywistości łapanek, wywózek, egzekucji ulicznych. Oprócz zastraszania, terror powodował także tępienie wrażliwości moralnej. Przesuwały się granice dopuszczalnych zachowań. Społeczeństwo czasów wojny i terroru trzeba opisywać innym językiem. Należy używać innych narzędzi niż do opisywania społeczeństwa pokojowego.

G.B. – Ograniczę się tylko do nieżydowskiej części polskich obywateli, którzy stracili życie w okresie wojny. Jest to, według dzisiejszych szacunków 2,7–3 mln osób. Nie ma sporu co do tego, że absolutna większość z nich zginęła w wyniku eksterminacji, a nie działań bojowych czy wojennych jako żołnierze, partyzanci czy też ofiary bombardowań. A więc mieszkańcy każdej gminy i powiatu okupowanej Polski widzieli egzekucje dokonywane na ich krewnych, przyjaciółach, sąsiadach, znajomych i nieznanym. Wiedzieli o setkach osób aresztowanych, a nawet zamordowanych za łamanie różnych przepisów okupacyjnych. Mieli pewność, że niemieckie rozporządzenia mówiące o karach za każdą pomoc dla Żydów nie są czczymi pogroźkami. Szybko stało się jasne, że wykrycie faktu pomocy skutkuje krwawą represją. Zamordowano ponad 2 mln ludzi. Podzielmy tę liczbę przez 1,8 tys. dni okupacji. Codziennie na terenie całego kraju ginęło kilka tysięcy nie-Żydów. Ludzie żyli nieustannie w cieniu śmierci i strachu.

W konfrontacji z biedą materialną i terrorem, zwłaszcza terrorem, tylko nieliczni znajdowali w sobie tyle siły, by udzielać długotrwałej pomocy. W „księgach pamięci”, o których już mówiłem, są relacje osób, które uciekły z gett. Są tam opisane setki sytuacji, gdy uciekinierzy trafiają do chłopskich i nie tylko chłopskich domostw. Udzielono im tam pomocy, napojono i nakarmiono. Ale widzieli w oczach polskich gospodarzy także strach, przerażenie i wyartykułowane wprost lub tylko odczytane w spojrzeniu życzenie-prośbę: – Idźcie, bo oni nas zabiją.

M.W. – Podam przykład, który pokazuje, jak bardzo potrzebne są badania szczegółowe, mikrohistoryczne. Chodzi o zbrodnię popełnioną przez Niemców w okolicach Ciepeliowa na osobach, które pomagały Żydom (ten temat badali ostatnio: Jacek Młynarczyk i Sebastian Piątkowski). Niemcy kierowali się swoją „pedagogiką”, bo zależało im na odstraszaniu innych od takich działań. Przyjeżdżał oddział żandarmerii i mordował całą rodzinę. To było pierwsze ostrzeżenie dla całej ludności – zginiesz nie tylko ty, który pomagasz, ale cała twoja rodzina – dzieci, żona, rodzice... Następnie palono dom i zabudowania, niszczone całe dorobek życia. Potem nie pozwalano pochować tych ludzi na cmentarzu, tylko grzebano ich gdzieś w rowie czy za stodołą, odmawiano nawet ostatniej posługi. Wszystko to robiono demonstracyjnie. Takie postępowanie Niemców powodowało, że następnych kilkadziesiąt tysięcy osób bało się nawet pomyśleć o tym, żeby udzielić pomocy Żydom. Takie wieści roznosiły się szybko. Ludzie spotykali się na jarmarkach i rozmawiali o tym, bo to była najważniejsza wieść, jaką można było przekazać swoim znajomym z innych wiosek. Myślę, że to była celowa polityka niemiecka i na pewno w pewnej mierze skuteczna.

A mimo tego terroru, zastraszania, egzekucji – na co wskazują badania przeprowadzone przez Nechamę Tec – większość Żydów otrzymywała pomoc bezinteresowną. To było bodaj 84 proc. badanych. To jest zaskakujące. Do podobnych wniosków doszedł w Polsce Marcin Urynowicz.

B.P. – Bo chyba taka jest ta najprostsza definicja pomocy. To przecież nie jest transakcja kupno-sprzedaż, tylko – ja ci pomagam.

G.B. – Ci, którzy przeżyli, w swych relacjach pokazywali różne aspekty kontaktów z Polakami – i zło, i dobro, i poświęcenie, i bezinteresowność. Dzielenie się swoimi środkami z tymi, którzy udzielali pomocy, traktowano bez zdziwienia. Po wojnie zaś okazało się, że tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata może dostać tylko ktoś, kto świadczył pomoc bezinteresownie, tzn. nie przyjmował pieniędzy. Wydaje się, że właśnie z tego powodu wielu ocalałych w swoich relacjach podkreślało, że pomoc była bezinteresowna. Było jasne, że uboga rodzina nie mogła latami samodzielnie łożyć na utrzymanie kilku, kilkunastu czy kilkudziesięciu osób – musiała korzystać z pieniędzy ludzi, których ratowała. Nie traciła przez to w oczach uratowanych, którzy pragnęli ją uhonorować.

M.W. – Kłania się tutaj kolejna definicja pomocy. Co uznajemy za pomoc bezinteresowną, a co za interesowną? Bo jeśli ktoś wyliczał koszty swojego utrzymania i płacił za jedzenie, które otrzymywał, to można by uznać otrzymywaną przez niego pomoc za bezinteresowną. Ale jak ktoś płacił ekstra za to tylko, że mógł mieszkać, to na pewno było to już wykorzystywanie sytuacji tego człowieka i zarabianie na nim.

G.B. – To jest jeszcze kwestia tego, co gwarantowano za tę opłatę i jak traktowano ratowanego w momencie, gdy jego środki ulegały wyczerpaniu. Mamy wiele przykładów osób, które pomagały nadal. Niestety, nie brakuje również innych przykładów. Najgorsza była taka sytuacja, o jakiej mówiłem wcześniej, gdy po wyczerpaniu środków ludzi wypędzano z domu, denuncjowano, a w skrajnych przypadkach mordowano, żeby nie dopuścić do tego, że wyrzucony Żyd zezna Niemcom, kto mu pomagał, lub do tego, że upomni się o swój majątek nieruchomy, który zapisał ratującemu.

M.W. – Trudność w oszacowaniu charakteru pomocy polega też na tym, że ci, którzy zostali zamordowani lub wydani Niemcom po wyczerpaniu się ich zasobów, nie napisali siłą rzeczy relacji po wojnie i nie poinformowali nas o tym.

J.Ż. – Mnie się wydaje, że nie ma w warunkach wojennych łatwo dostrzegalnej granicy między tzw. pomocą bezinteresowną i interesowną. Każda była w tym sensie bezinteresowna, że jej zaniechaniem była śmierć Żyda, a za jej podjęcie także groziła śmierć. Jednocześnie trzeba pamiętać – to widać z setek relacji żydowskich i polskich – że na drodze jednego Żyda, czy też jego rodziny, stawał cały łańcuch ludzi dobrej woli. Średnio, jak sądzę, w uratowaniu jednego Żyda uczestniczyło około dwudziestu Polaków. Obliczając szacunkowo liczbę Polaków ratujących Żydów, sądzę, że było ich około miliona (a minimum 300 tys.), a zatem dużo więcej niż przyjmuje się w literaturze. Taka znaczna liczba Polaków, którzy podjęli to ryzyko, jest wynikiem (tak mi się wydaje, choć wiem, że uogólnienia są skazane na krytykę) wychowania chrześcijańskiego i przywiązania do postawy „za wolność waszą i naszą”. Nie tylko powinniśmy być dumni z tych Polaków, ale – ze wszystkimi konsekwencjami – powinniśmy ich honorować jak pozostałych bohaterów Polski Walczącej. Od dłuższego czasu, najpierw prof. Tomasz Strzembosz, teraz jego brat Adam, przy pomocy innych ludzi dobrej woli, starają się o uzyskanie zgody na budowę pomnika na pl. Grzybowskiem ku czci Polaków Ratujących Żydów. Bezskutecznie. Rada Warszawy, a ściślej swoista koalicja PO i SLD, zablokowała

realizację uchwały przygotowanej przez urząd stolicy (także rządzony przez polityka PO) już wcześniej wskazującej plac przy kościele Wszystkich Świętych za najlepsze miejsce dla tego upamiętnienia. Jest to dla mnie niepojęte, jak sami Polacy potrafili zaniedbywać swoje moralne obowiązki. To hańba! Polski parlament debatuje nad projektem uchwały honorującej Polaków ratujących Żydów i stanowiącej 24 marca – dniem pamięci. Tego dnia, w 1944 r. Niemcy zamordowali całą rodzinę Ulmów, dziś kandydatów na ołtarze.

B.P. – Stawia się Żydom zarzut, że nie mieli odwagi, żeby przejść na stronę aryjską i zacząć walkę o przeżycie. A przecież wielu z nich nie chciało się rozstać z najbliższymi, wiedząc, że całe rodziny nie mają szans na wydostanie się z getta. A z drugiej strony właśnie ci najbliżsi mogli okazać się po aryjskiej stronie wielkim obciążeniem. Na przykład kaszlący stary człowiek lub płaczące niemowlę mogli zdradzić ukrywających się. Matka dusiła własne dziecko, żeby się uratować. Kiedy się teraz o tym opowiada, to brzmi jakoś nieprzyzwoicie, ale jeszcze raz chcę podkreślić: wojna, terror, zagłada, nienawiść to nie są przyzwoite warunki dla człowieka. A taki los nam – Polakom i Żydom – zgotowali Niemcy.

J.Ż. – Dlatego często matki podrzucały lub przekazywały pod opiekę Polaków małe dzieci. W domu ks. Boduena w Warszawie siostry zakonne zainstalowały w murze obracającą się na zewnątrz i do wewnątrz platformę, gdzie w nocy można było pozostawić zawiniątko z dzieckiem.

G.B. – Umknął nam ważny aspekt okupacyjnych realiów. Niemcy stworzyli system odpowiedzialności zbiorowej. Karali także tych, którzy wiedząc o żydowskich zbiegach i ich opiekunach, nie donieśli o tym władzom okupacyjnym. Zobowiązali osoby piastujące funkcje publiczne do obserwowania tego, co się dzieje na podległym im terenie i informowania o dostrzeżonych Żydach lub podejrzeniu udzielania im pomocy. Stworzono system szantażu i zależności. Część ludzi oczywiście lekceważyła ten wymóg, dzięki czemu m.in. mógł funkcjonować ruch partyzancki, ale nie wszędzie tak było. Obawiano się, że niesubordynacja wobec okupanta będzie skutkować represjami wymierzonymi w całą wspólnotę. Trzeba było wybierać – nasze bezpieczeństwo czy bezpieczeństwo tych nieznanych, mniej lub bardziej „obcych” Żydów.

B.P. – Analogiczne sytuacje miały miejsce wówczas, kiedy Niemcy poszukiwali polskich partyzantów. Tu też były kwestie wyboru między lojalnością do poszukiwanego a własną rodziną czy grupą. Nikt nie był (i nie jest) ubezpieczony na okoliczność jedynie słusznych i przyzwoitych rozstrzygnięć w nieoczekiwanych sytuacjach. Wiedzą o tym również Żydzi, którzy jakimś cudem przeżyli getta i obozy. Ale dobrze byłoby, gdybyśmy znów wrócili do kwestii świadczenia pomocy przez Polaków na rzecz Żydów, bo wciąż „ściągą” nas w stronę przeciwną.

M.W. – Bardzo ważnym typem pomocy, który przez całe dziesięciolecie umykał uwadze badaczy, była tzw. pomoc jednorazowa, czyli pomoc doraźna, pewnie najczęstsza (i najtrudniej uchwytna zarazem) z uwagi na biedę i troskę o przetrwanie własne i najbliższej rodziny; ale i na zastraszenie i obawę przed karą śmierci. O pomocy dłuższej, systematycznej wiemy z dokumentów niemieckich, ale przede wszystkim z relacji Polaków i Żydów. Słusznie mówił



Getto w Piszczacu



śp. Tomasz Strzembosz, że to, co wiemy o pomocy, to jest „czubek czubka góry lodowej”. Pomoc doraźna – szklanka wody, kromka chleba, wskazanie kierunku, kupienie biletu. Potem już nigdy ci ludzie się nie spotykali. Takich przypadków były setki tysięcy, jeśli nie miliony, ale one są kompletne nieuchwytnie, nie dowiemy się, jaka była ich skala.

B.P. – Znowu pojawia się ta różnica w perspektywie – dla Żyda, który ukrywa się przez tygodnie, miesiące, lata, te pojedyncze gesty gubią się z jego pamięci. Dla Polaka, który uciekającemu, przerażonemu człowiekowi doraźnie w czymś pomógł, to wydarzenie – spojrzenie, strach zaszcutego Żyda – mogło utkwąć w pamięci na długo.

M.W. – Jest jeszcze kwestia źródeł do opisanía pomocy. Relacje osób ocalonych z Zagłady są często bardzo cenne, ale jak mówił Grzegorz, niejednokrotnie bardzo zniuansowane, bo kładące akcent na własne cierpienie. Siłą rzeczy pokazują rzeczywistość w sposób wykrzywiony.

G.B. – Mamy bardzo mało obszerniejszych relacji ocalonych, w których w sposób szczegółowy, systematyczny, miesiąc po miesiącu czy kwartał po kwartale opisano czas okupacyjny aż do wyzwolenia spod presji niemieckiej. Co to oznacza? Standardowa relacja ocalonego w archiwum Yad Vashem to przeciętnie 17 stron znormalizowanego maszynopisu. W tej objętości zawiera się kilka lat wojny. Ile rzeczy można w tym ująć? Trzydziestostronicowych relacji jest znacznie mniej, ale najmniej jest tych około stustronicowych i ponadstustronicowych, gdzie jest więcej szczegółów, więcej nazwisk. Autorzy relacji bardzo mało mówią o czasach między opuszczeniem getta lub obozu a wyzwoleniem, kiedy niezbędnym warunkiem ocalenia była opieka Polaków.

B.P. – Przyjaciółka mojej mamy przeżyła Oświęcim. Po wyjściu z obozu poszła do chirurga i poprosiła o usunięcie wytatuowanego numeru. Na pytanie, dlaczego to zrobiła, odpowiedziała, że nie z własnej woli znalazła się w obozie i przeżyła tylko dzięki różnym zbiegom okoliczności. Był to jednak dla niej czas takiego upodlenia, że wraz z numerem chciała wymazać z pamięci cały ten straszny okres. Myślę, że lakoniczność relacji składanych przez ocalonych Żydów można tłumaczyć podobnym odczuciem. Tym bardziej że mogło się zdążyć, że za ich życie ktoś zapłacił swoim.

G.B. – Istnieją pewne liczby, które można cytować, czy stwierdzenia, że wśród wszystkich wyróżnionych tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata Polacy stanowią najliczniejszą grupę. Jest ich ponad 6 tys., co pokazuje skalę zjawiska. Przy czym nigdy nie ustalimy pełnej liczby tych, którzy świadczyli pomoc doraźną, dłuższą, zupełnie bezinteresowną albo na poziomie kosztów. Czy to są aż takie relacje, że to tylko „czubek góry lodowej”? Nie powtórzyłbym tego sformułowania, choć nie ulega wątpliwości, że tych, którzy udzielali owej pomocy, było faktycznie znacznie więcej, niż wspomniane sześć tysięcy kilkaset osób. Smutne jest to, że o niektórych bohaterach już się nie dowiemy, bo bali się po wojnie przyznać, że pomogli Żydom przetrwać okupację.

B.P. – Dlaczego?

M.W. – W grę wchodziły czynniki sytuacji powojennej. Na pewno była to obawa przed rabunkami. W stereotypowym rozumieniu było tak, że kto przechowywał Żyda, musiał na tym skorzystać materialnie, więc na pewno ma skrzynkę z żydowskim złotem. Gdyby ktoś zbyt otwarcie mówił o niesionej przez siebie pomocy, mógłby sprowokować napad na siebie. Z drugiej strony pamiętajmy, że okres powojenny to okres bardzo wyraźnego pogorszenia stosunków polsko-żydowskich, choćby z uwagi na zaangażowanie części Żydów w aparacie władzy komunistycznej i w aparacie represji oraz odmiennych doświadczeń Polaków i Żydów po wojnie. To powodowało, że przyznawanie się do pomagania Żydom mogło być niepopularne.

J.Ż. – To wszystko prawda, ale dla wielu ludzi to, że udzielili jakiejś pomocy Żydom, było oczywistością. To nie był temat na przechwałki, a tym bardziej powód do występowania o medale. Ale prawdę mówiąc, zbyt dużo miejsca poświęcacie, panowie, na przybliżanie postaw haniebnych, tchórzliwych bądź interesownych. W sumie małych...

B.P. – **Powiedzmy jeszcze o pomocy instytucjonalnej. Powstały struktury Polskiego Państwa Podziemnego, którego zadaniem m.in. było czuwanie nad funkcjonowaniem społeczeństwa poddanego presji czasu wojny i okupacji.**

M.W. – Bardzo trudno przeprowadzić granicę między pomocą indywidualną a zorganizowaną, chociażby w kontekście pomocy duchowieństwa w ratowaniu ludności żydowskiej. O pomocy zorganizowanej mówimy wtedy, gdy bierze w niej udział kilka czy kilkanaście osób i uczestniczą w niej struktury organizacji czy instytucji – Kościoła katolickiego, organizacji podziemnych, jak AK czy BCh. Według mnie, część działań polskich duchownych była działaniem indywidualnym i trudno je łączyć z pomocą zorganizowaną, strukturalną. Działania zgromadzeń zakonnych podlegały decyzjom władz zgromadzenia, należy więc kwalifikować je inaczej. Bardzo niewiele wiemy o pomocy, która była udzielana w sposób zorganizowany przez struktury organizacji podziemnych (poza Radą Pomocy Żydom). Wciąż brakuje wiedzy o ich działaniach na najniższych szczeblach placówek, obwodów, okręgów.

G.B. – Nie dysponujemy dyrektywami Komendy Głównej AK, BCh czy komunistów, które by mówiły o konieczności dyktowania pomocy i określających, w jakim zakresie ma ona być świadczona. Mówimy o konspiracji zbrojnej. Świadczona pomoc i tak zależała od indywidualnych decyzji poszczególnych żołnierzy i dowódców, którzy na nią się godzili. Instytucjonalna pomoc celowa była konsekwentnie świadczona przez Radę Pomocy Żydom kryptonim „Żegota” od grudnia 1942 r. Znam świadectwa, z których wynika, że Żydzi dostawali ostatnie zapomogi finansowe jeszcze w styczniu 1945 r. „Żegota” to organizacja wyjątkowa, ale dotarła do niewielkiej części ocalonych. Szacuje się, że na terenie okupowanej Polski „po aryjskiej stronie” przeżyło ok. 50 tys. Żydów. Z nich tylko kilka tysięcy zetknęło się z RPŻ, reszta skorzystała z innej pomocy. Okazuje się, że w warunkach stworzonych przez Niemców, w warunkach nielegalności gros Żydów przeżyło dzięki pomocy indywidualnej, motywowanej altruizmem, wiarą, a czasami kalkulacją ekonomiczną.

M.W. – Rada Pomocy Żydom to była część Polskiego Państwa Podziemnego, które finansowało działania „Żegoty”. Taki zakres pomocy Żydom wielu badaczy i wielu świadków

wydarzeń uważa za niewystarczający. Środki przekazywane „Żegocie” były stosunkowo niewielkie...

B.P. – ...mówi się, że proporcjonalne do przedwojennej struktury ludnościowej.

M.W. – Jest pytanie, czy polskie władze w podziemiu i w Londynie dostrzegały tę wyjątkową sytuację Żydów i wyjątkową tragedię, która ich spotkała, i czy odpowiednio zareagowały?

J.Ż. – Do 1941 r. włącznie o zbliżającej się Zagładzie nie mógł wiedzieć nikt, ani Polacy, ani Żydzi – najbardziej zainteresowani. (Poza ziemiami zajętymi przez Niemców, gdzie już w lipcu 1941 r. dochodziło do masowych mordów Żydów). Później, czyli po wielkiej tragedii w stolicy z lipca 1942 r., Polacy z podziemia jako pierwsi zaczęli informować świat o tragedii Żydów. Nie uwierzono. Bo trudno było uwierzyć. Ważnym wydarzeniem był apel Zofii Kossak-Szczuckiej „Protest”, który ukazał się w katolickiej „Prawdzie”.

W czasie wojny Polacy być może odkrywali ogrom cierpienia żydowskiego, ale wydaje mi się, że nie było to regułą. Dopiero długo po wojnie Żydzi, którzy ocalili, zmusili świat do refleksji nad ciężarem ich zbiorowego doświadczenia. To dopiero obowiązkowe lekcje o Holocauście w szkołach powszechnych zachodniego świata (np. w USA) pozwoliły zrozumieć skalę żydowskiego cierpienia. Doświadczenie Polaków było też traumatyczne, a przy tym zostało pogłębione w trudnych czasach powojennych, że trudno było im dostrzec wyjątkowość losów żydowskich. Świeżo w pamięci Polaków były miliony ofiar – zabitych, deportowanych, wysiedlonych, przesiedlonych, wypędzonych, skazanych.

G.B. – Od 1942 r. była już pełna świadomość tego, co czeka Żydów. Świadczą o tym komunikaty przekazywane przez emisariuszy na Zachód i nagłaśnianie tej wiedzy. Bez adekwatnej reakcji odbiorców zachodnich. Ale jeszcze jest pytanie, czy ta pomoc była priorytetem. W moim przekonaniu nie. Za priorytet uznawano przygotowanie się do walki, do konfrontacji zbrojnej z Niemcami...

M.W. – ...czyli odzyskanie niepodległości przez Polskę, tak jak Alianci skoncentrowali się na pokonaniu państw Osi.

G.B. – Od schyłku roku 2005 jest realizowany projekt INDEX, którego celem jest udokumentowanie losów nieżydowskich obywateli II Rzeczypospolitej, którzy doznali represji z powodu pomocy niesionej Żydom. Jak dotąd zostały przeprowadzone rozległe kwerendy w archiwach polskich, niemieckich oraz izraelskich, a także sondażowe w Austrii, Stanach Zjednoczonych, na Litwie i Ukrainie. Równoległe są badane źródła prasowe i literatura przedmiotu. W bazie danych zgromadzono ponad 4 tys. rekordów, odpowiadających źródłowym przekazom na temat przypadków represji. Na tej podstawie jest przygotowywany pierwszy tom leksykonu represjonowanych, który pokaże nowe dane na temat niektórych znanych już przypadków, jak również te, które dotąd nie figurowały w literaturze przedmiotu. W zgromadzonych źródłach znajdujemy odbicie wszystkich wątków poruszonych w naszej dyskusji: bohaterstwa, poświęcenia, oddania drugiemu człowiekowi, wytrwałości, cierpienia, ale też postaw podłych, których ofiarą padli Żydzi i pomagający im Polacy.

DUSZPASTERSTWO ŻYDÓW-KATOLIKÓW W GETCIE WARSZAWSKIM

KS. MARCELI GODLEWSKI I KS. ANTONI CZARNECKI

Ksiądz prałat Marcei Godlewski należy do znanych przed wojną kapłanów – działaczy katolicko-społecznych. Druga wojna światowa zastała sędziwego księdza na planowaniu zasłużonej emerytury. Ostatnie lata jego życia nie miały być jednak czasem odpoczynku. Jego parafia wkrótce znalazła się w warszawskim getcie.

Marcei Godlewski urodził się w 1865 r. w Turczyni niedaleko Grajewa i w wieku 23 lat został wyświęcony na kapłana diecezji augustowskiej. W niedługim czasie wyjechał na studia do Rzymu, by w roku 1893 zakończyć je doktoratem. Trzydziestoletni ks. Godlewski został profesorem w warszawskim seminarium i napisał pierwszy polski podręcznik do archeologii biblijnej. Przede wszystkim jednak dał się poznać jako sprawny organizator i wszechstronny działacz. Przejęty wcielaniem w życie katolickiej nauki społecznej, zawartej w encyklice *Rerum novarum*, zakładał stowarzyszenia robotnicze, w tym zwalczane przez socjalistów Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich. Propagował wiedzę jako publicysta, redaktor i wydawca wielu tytułów prasowych, w tym „Kroniki Rodzinnej” i „Kuryera dla Wszystkich”. W swojej działalności stanowczo bronił narodu polskiego przed zagrożeniami, jakie dostrzegał w tamtej epoce: pijaństwem niszczącym rodzinę, protestantyzmem odciągającym od katolickiej ortodoksji, nieuczciwą konkurencją ze strony Żydów oraz „nikczemnym” socjalizmem „znajdującym się pod komendą żydowsko-pruska”¹.

Kilka dni po swoich pięćdziesiątych urodzinach ksiądz doktor stanął przed nowym zadaniem: został proboszczem warszawskiej parafii Wszystkich Świętych. Ogromny kościół i także parafia, położona w dzielnicy zamieszkałej w większości przez ubogich ortodoksyjnych Żydów² i polskich robotników, stanowiła znakomite pole do rozwoju organizacyjnych talentów doświadczonego duszpasterza. Sześćdziesiąte i siedemdziesiąte urodziny świętował ksiądz prałat w wyremontowanym kościele razem ze swoimi licznymi nowo powstałymi grupami parafialnymi.

Niemiecka okupacja całkowicie zmieniła oblicze siedemdziesięciopięciotysięcznej³ parafii przy pl. Grzybowskiem. Nie chodzi o budynek kościoła, który po bombardowaniach z 12 i 13 września 1939 r. udało się odbudować, choć bez wieży nad prezbiterium. Główna

¹ M. Godlewski, *Stajemy na placówce*, „Kuryer dla Wszystkich” 1914, nr 1, s. 1.

² Więcej o żydowskim charakterze pl. Grzybowskiego można przeczytać w: P. Paziński, *Plac w sercu Warszawy*, „Midrasz” 2007, nr 127, s. 9–11.

³ A. Czarnecki, *Parafia Wszystkich Świętych*, [w:] *Za to groziła śmierć. Polacy z pomocą Żydom w czasie okupacji*, red. Władysław Smólski, Warszawa 1981, s. 206.

zmiana w parafii następowała wraz z tworzeniem przez Niemców getta dla Żydów⁴. Żydowskie społeczeństwo Warszawy, stanowiące około jednej trzeciej populacji stolicy⁵, stłoczono na 2,4 proc. obszaru miasta w nieco ponadczterystuhektarowej „dzielnicy”⁶. Gdy w listopadzie 1940 r. odcięto ostatecznie getto od „strony aryjskiej”, pl. Grzybowski znalazł się po drugiej stronie muru, a parafianie zostali podzieleni na Żydów i Aryjczyków. Polacy pozbawieni dostępu do swojej świątyni mogli spotykać się odtąd w przerobionym na kaplicę gabinecie dentystycznym przy ul. Siennej 83⁷ bądź w innych czynnych kościołach. Podobny los spotkał jeszcze dwie katolickie parafie: kościół Narodzenia NMP na Lesznie oraz kościół pw. św. Augustyna na Nowolipkach. Katolickie świątynie nie przestały być jednak potrzebne.

Parafia w getcie

W styczniu 1940 r. w getcie żyło 1540 katolików oraz 221 osób innych wyznań chrześcijańskich. Szacuje się, że w chwili zamknięcia getta za murami znalazło się ok. 2 tys. chrześcijan⁸. Z czasem liczba chrześcijan w getcie mogła wzrosnąć nawet do ponad 5 tys.⁹ Ci ludzie, choć sami uważali się przeważnie za Polaków¹⁰, według hitlerowskich kryteriów rasowych – byli Żydami. Ortodoksyjni wyznawcy judaizmu traktowali ich przeważnie jak apostatów niemających udziału w społeczności Izraela, natomiast dla syjonistów byli asymilantami, których należało dla żydostwa odzyskać¹¹. Potocznie określano ich mianem *mechesów*, czyli „wychrtów”.

Konwersje z judaizmu na chrześcijaństwo były zauważalnym zjawiskiem w przedwojennej Polsce. Szerokie było spektrum powodów tych konwersji: od wyłącznie materialnych po czysto duchowe. Dla karierowiczów chrzest mógł być trampoliną na stanowiska niedostępne dla Żydów, dla wierzących był wyznaniem wiary w Jezusa Chrystusa. W Kościele katolickim¹² jedni i drudzy musieli przejść okres przygotowania do chrztu i ściślejszy niż w przypadku innych konwertytów egzamin¹³. Taki katechumenat trwał kilka miesięcy, a chrzest poprzedzało przeprowadzane przez proboszcza dochodzenie w sprawie szczerości intencji

⁴ Wyczerpujące informacje na temat getta można znaleźć w: B. Engelking, J. Leociak, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2001.

⁵ P. Dembowski, *Chrześcijanie w getcie warszawskim. Epitafium dla zapomnianych*, Włocławek 2008, s. 58.

⁶ Potem jeszcze liczba ludności getta wzrastała w wyniku przesiedleń. *Getto Warszawskie*, [w:] *Polski słownik judaistyczny*, t. 1, red. Z. Borzymińska, R. Żebrowski, Warszawa 2003, s. 475.

⁷ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 206.

⁸ B. Engelking, J. Leociak, *Getto...*, s. 620; P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 80.

⁹ P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 80.

¹⁰ Prof. Hirszfeld napisał: „Nie znałem Żydów i nie wiedziałem, jak się trafia do ich serc. [...] Oby temu narodowi. Odrzucony przez tłum jako chrześcijanin”, L. Hirszfeld, *Historia jednego życia*, Warszawa 2000, s. 202–203.

¹¹ P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 111.

¹² Częste były konwersje na protestantyzm, z powodu prowadzonej przez protestantów misji wśród Żydów (W. Benedyktowicz, *Nasi starsi bracia w wierze*, „Pielgrzym Polski” 1995, nr 673, s. 12; por. D. Pałka, *Kościół katolicki wobec Żydów w Polsce międzywojennej*, Kraków 2006, s. 315). Przypadek Żyda-metodysty idącego do getta można znaleźć w: H. i G. Warfield, *Call Us to witness. A Polish chronicle*, New York–Chicago 1945, s. 240 nn.

¹³ D. Pałka, *Kościół katolicki...*, s. 315.

petenta i moralności jego życia prywatnego¹⁴. Nie wiadomo, ilu takich konwertytów wyrzekło się w obecności ks. Godlewskiego starej wiary i przyjęło nową, można jednak przypuszczać, że wielu „napływowych parafian” Godlewski znał wcześniej przynajmniej ze słyszenia, gdyż takie postacie, jak profesorowie Ludwik Hirszfild czy Adam Ettinger, należały do elity polskiego społeczeństwa.

Część konwertytów została przywieziona do getta, gdyż figurowali na tzw. Liście Ronikiera. Przewodniczący Rady Głównej Opiekuńczej, Adam Ronikier, wśród swoich licznych działań, pomagał także ukrywającym się po stronie aryjskiej ochrzczonej Żydom. Jego lista konwertytów znalazła się w rękach gestapo¹⁵. Emanuel Ringelblum¹⁶ i Chaim Aaron Kaplan¹⁷ notują w swoich zapiskach ich przyjazd do getta pod koniec lutego 1941 r. Tragiczna sytuacja tej części elity polskiego społeczeństwa miała, zdaniem Kaplana, wzbudzić przerażenie u Adama Czerniakowa, przewodniczącego Żydowskiej Rady. Sceptycznie nastawiony do chrześcijan Kaplan uważał przybyłych na ogromnej przyczepie „ronikierów” za antysemitów, którzy przejęli całkowicie polskie zwyczaje i sposób życia¹⁸.

Ochrzczeni Żydzi stanowili małą, ale widoczną grupę w getcie¹⁹. Często pochodzili z wyższych warstw społecznych i posiadali cenne administracyjne bądź organizacyjne umiejętności. Nie mógł tego nie zauważyć prezes Czerniakow i dlatego często zajmowali oni wysokie stanowiska w Judenracie i policji żydowskiej. Zdaniem Ringelbluma w policji getta warszawskiego służyło około stu ochrzczonej Żydów²⁰. Ich nadreprezentacja w zarządzie i administracji Gminy drażniła ortodoksyjnych żydów, którzy sporządzali listy chrześcijan w celu ograniczenia ich przywilejów²¹. Wzajemna niechęć powodowała podobno nawet rękoczyny. W jednej z relacji²² wspomniano incydent, który miał miejsce przed kościołem Wszystkich Świętych. Grupa uzbrojonych w kije żydowskich ortodoksów zaatakowała wychodzących z kościoła wiernych. Miała interweniować Służba Porządkowa z okrzykiem: „Naszych Żydów biją!”²³.

¹⁴ *Ibidem...*, s. 323–324.

¹⁵ Zdaniem Petera Dembowskiego (*Chrześcijanie...*, s. 63) okoliczności tego przecieku nie zostały ostatecznie zbadane. W znajdującym się w zbiorach ANN *Raporcie z Getta dla Delegatury Rządu Polskiego na uchodźstwie* znalazł on notatkę sporządzoną 25 IV 1941 przez „Lilkę”: „Stefan Idzikowski albo Idźkowski, żydowskiego pochodzenia, pracownik warszawskiego oddziału RGO, jest podejrzany o przekazanie Niemcom listy ochrzczonej Żydów, którzy pozostali po aryjskiej stronie Warszawy”.

¹⁶ E. Ringelblum, *Kronika getta warszawskiego. Wrzesień 1939–styczeń 1943*, Warszawa 1988, s. 236.

¹⁷ P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 50.

¹⁸ Za: P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 115.

¹⁹ B. Engelking, J. Leociak, *Getto...*, s. 622.

²⁰ E. Ringelblum, *Kronika...*, s. 246.

²¹ P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 84–85; lista ważnych urzędników neofitów w Judenracie podana za Adlerem, s. 106. Ringelblum przytacza komentujący tę sytuację dowcip z getta: „Chcesz otrzymać posadę w gminie żydowskiej, no to wychrzcij się” (*Kronika...*, s. 327).

²² W relacji z Yad Vashem Stanisław Gajewski przekazuje tę informację usłyszaną od Milejowskiego; B. Engelking, J. Leociak, *Getto...*, s. 622.

²³ Może właśnie wtedy jeden z nich krzyknął: „Precz z Żydami!” (E. Ringelblum, *Kronika...*, s. 246).

Trudno się zatem dziwić, że wyznawcy Chrystusa z „małego getta”²⁴ chcieli się trzymać razem i utworzyli coś w rodzaju dzielnicy w getcie. Chrześcijanie różnych wyznań, inteligencja oraz inni zasymilowani Żydzi, drogą wymiany mieszkań osiedlali się na ulicach w sąsiedztwie kościoła Wszystkich Świętych²⁵. Tych ludzi ks. Godlewski chciał objąć opieką duszpasterską. Po udanych negocjacjach z Niemcami o pozostawienie w getcie czynnego kościoła, abp Stanisław Gall zdecydował o utworzeniu parafii dla Żydów-katolików²⁶. Na wniosek ks. Godlewskiego warszawski arcybiskup powierzył prowadzenie duszpasterstwa dla chrześcijan w getcie ks. Antoniemu Czarneckiemu, wikaremu parafii Wszystkich Świętych²⁷. Na podstawie relacji świadków można jednak sądzić, że ks. Godlewski całym sercem zaangażował się w to dzieło i to on był motorem napędowym duszpasterstwa. Ksiądz Czarnecki nie miał takiego zapału²⁸ i jedynie wiernie realizował polecenia swojego siedemdziesięciosiedmioletniego proboszcza.

Kościół na Grzybowie na dwa lata stał się, być może jedyną na świecie, parafią oficjalnie przeznaczoną wyłącznie dla chrześcijan pochodzenia żydowskiego. Na terenie „dużego getta” funkcjonowała jeszcze parafia Narodzenia NMP na Lesznie, ale nie była oficjalnie zatwierdzonym kościołem dla konwertytów z judaizmu. W tym kontekście symboliczny jest fakt, że kościół Wszystkich Świętych oraz Wielką Synagogę na Tłomackim zaprojektowali, w tym samym monumentalnym neoklasycystycznym stylu, ojciec i syn, Henryk i Leonardo Marconi²⁹. Te dwie ogromne świątynie znalazły się na terenie getta i obie rozbrzmiewały liturgicznym – łańskim i hebrajskim – śpiewem.

Kościół mógł być jednak otwierany tylko na jedną Mszę dziennie i to zarówno w tygodniu, jak i w niedzielę, a wierni z getta mogli tam wchodzić jedynie pod kontrolą niemiecką³⁰. Życie parafialne toczyło się więc w budynku plebanii i na placu przed nią oraz w parafialnym ogrodzie. W wielu wspomnieniach przewija się obraz pełnego zieleni i kwiatów ogrodu przy kościele, który w getcie wydawał się być prawdziwą oazą³¹.

²⁴ „Małym gettem” nazywano część zamkniętej dzielnicę po południowej stronie ulicy Chłodnej. Z „dużym gettem” rozciągającym się na północ od ul. Chłodnej połączone było jedynie wąskim przesmykiem skrzyżowania Żelaznej z Chłodną. Komunikacja między tymi dwoma częściami getta była utrudniona.

²⁵ A. Czarnecki, *Parafia...* s. 207.

²⁶ F. Stopniak, *Katolickie duchowieństwo w Polsce i Żydzi w okresie niemieckiej okupacji*, [w:] K. Dunin-Wąsowicz (red.), *Spoleczeństwo polskie wobec martyrologii i walki Żydów w latach II wojny światowej. Materiały z sesji w Instytucie Historii PAN w dniu 11 III 1993 r.*, Warszawa 1996, s. 27.

²⁷ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 206. Autorowi nie udało się dotrzeć do oficjalnego dokumentu zatwierdzającego ks. Czarneckiego na to stanowisko. Z ustnego przekazu warszawskiego duchowieństwa wynika, że był to jedyny taki przypadek w Polsce, gdyż w innych gettach nie było czynnych kościołów.

²⁸ „Był to ksiądz młody, nie miał tego namiętnego stosunku do życia co prałat, ale posiadał słodycz i dobroć kapłana. Był przez wszystkich lubiany i szanowany. A jego miły i serdeczny sposób bycia działał kojąco” (L. Hirszfild, *Historia...*, s. 254).

²⁹ P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 77.

³⁰ J. Maj, *O Matce Bożej z Getta Warszawskiego i o pracy tam ks. Antoniego Czarneckiego*, [w:] J. Maj (red.), *Usiłowałem tym ludziom pomóc*, Warszawa–Kielce 2004, s. 45, nieco inne dane podaje w swojej relacji R. Hermelin: „Zasadniczo kościół był czynny 3 razy w tygodniu. W niedzielę zbierało się do 100 (stu) wiernych” (R. Hermelin, *Bez tytułu*, AŻIH 349/2610, s. 26).

³¹ R. Dobrzyński, *Ulica Zamenhofa. Rozmowa z wnukiem twórcy języka esperanto*, Bielsko-Biała 2001, s. 143.

Fot. z AIPN



Kościół Wszystkich Świętych został zbombardowany przez Niemców we wrześniu 1939 r.

Na podstawie relacji można przypuszczać, że obaj księża³² mieli mieszkania na plebanii oraz inne mieszkania poza gettem. Ksiądz Godlewski mieszkał na stałe w swoim domu w Aninie i do Warszawy dojeżdżał koleją, a kiedy to nie było możliwe, szedł pieszo³³. Ksiądz Czarnecki najprawdopodobniej mieszkał stale na pierwszym piętrze plebanii³⁴, choć miał też mieszkanie na Nowym Mieście, dzięki czemu posiadał przepustkę i mógł codziennie wychodzić za mury getta³⁵.

Z relacji ks. Józefa Maja, który towarzyszył ks. Czarneckiemu w ostatnich latach życia, wynika, że ks. Czarnecki „niechętnie” podjął pracę w getcie³⁶. Zapytany³⁷ o powód tej niechęci odpowiedział, że był nim strach. Przypomnijmy, że za jakąkolwiek pomoc okazaną Żydom groziła w okupowanej Polsce kara śmierci, a księża nie byli grupą, której by to nie dotyczyło. Młody kapłan, poza w pełni uzasadnionym strachem o własną głowę, mógł odczuwać, nieporównanie mniejszy, lęk przed „teologiczną konfrontacją” z „nowymi parafianami”³⁸.

³² Według niektórych dokumentów posługę duszpasterską w parafii pełnił jeszcze ks. Tadeusz Nowotko (J. Doliwa Śledziński, *Warszawskie getto żydowskie i kościół Wszystkich Świętych na placu Grzybowskim*, AŻIH 301/6010, s. 1–3; Z. Król, *Relacja*, AŻIH 349/2610, s. 41). We wspomnieniach jednak wymieniani byli wyłącznie ks. Godlewski i ks. Czarnecki.

³³ R. Hermelin, *Bez tytułu*, s. 26.

³⁴ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 207.

³⁵ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 44–45.

³⁶ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 44.

³⁷ Autor przeprowadził z ks. Józefem Majem wywiad 4 sierpnia 2008 r.

³⁸ Niedługo przed swoją śmiercią w 1989 r. ks. Czarnecki opowiadał swojemu następcy o specyficznych problemach duszpasterskich „żydowskich katolików”. Cechował ich „ogromny indywidualizm” i świetna znajomość Starego Testamentu. Obrona chrześcijańskiego monoteizmu była dla nich

Antysemita kochający Żydów

Nie wiemy, jakie uczucia towarzyszyły ks. Godlewskiemu, gdy władza kościelna dała mu do wyboru pozostanie na probostwie w getcie albo objęcie parafii po „stronie aryjskiej”³⁹. Ze wspomnień o nim i jego działalności możemy wnosić, że przyjął posługę wśród „nowych” parafian jako wolę Bożą.

W zdecydowanej większości relacji o ks. Godlewskim pojawiają się wzmianki o jego przedwojennym „bojowym antysemityzmie”⁴⁰. Jako pierwszy użył tego sformułowania prof. Ludwik Hirszfild w swojej, napisanej w 1943 r. i będącej najczęściej cytowanym źródłem na temat ks. Godlewskiego, książce *Historia jednego życia*⁴¹. Po Hirszfildzie z zarzutem antysemityzmu rzadko polemizowano. Choć sam zainteresowany nie czuł się antysemitą⁴², anonimowa mieszkanka plebanii określiła go mianem „żydożercy”⁴³. Nawet jego najbliższy współpracownik, ks. Czarnecki, przyznał, że proboszcz znany był z „niechętnego nastawienia” do Żydów⁴⁴.

W tym kontekście łatwiej nam będzie zrozumieć wzmianki o „nawróceniu” ks. Godlewskiego. Profesor Hirszfild napisał: „Prażat Godlewski. Gdy wspominam to nazwisko, ogarnia mnie wzruszenie. Namiętność i miłość w jednej duszy. Ongiś bojowy antysemita, kapłan wojujący w piśmie i słowie. Ale gdy los zetknął go z tym dnem nędzy, odrzucił precz swoje nastawienie i cały żar swego kapłańskiego serca poświęcił Żydom. [...] Nie tylko myśmy go cenili. [...] prezes Gminy Czarniaków [...] opowiadał, jak się prażat rozpląkał w jego gabinecie, gdy mówił o żydowskiej niedoli i jak się starał pomóc i tej niedoli ulżyć. I mówił prezes Rady Żydowskiej, że ten ksiądz, były antysemita, więcej serca Żydom okazywał niż kler żydowski, któremu obca była idea pocieszyciela ogółu”⁴⁵. Również ks. Czarnecki uważał, że jego proboszcz zmienił swoje nastawienie wobec Żydów w zetknięciu z ogromem ich cierpienia⁴⁶. Ksiądz Godlewski był naocznym świadkiem wydarzeń, obok których nie można było przejść niezmienionym, zwłaszcza jeżeli miało się taką społeczną wrażliwość jak on.

sprawą najistotniejszą. Jednocześnie wykazywali „nieco protestanckie” podejście do Maryi. Ksiądz Czarnecki wspominał swoje trudności w tłumaczeniu podstawowych zagadnień mariologii takich jak Niepokalane Poczęcie NMP. Maryję traktowali „bardziej historycznie niż mistycznie” (J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 50–51; wywiad z ks. J. Majem z 4 sierpnia 2008 r.).

³⁹ Ks. J. Maj, *Notatka o ks. Antonim Czarneckim*, AŻIH 349/2610, s. 46–47.

⁴⁰ L. Hirszfild, *Historia...*, s. 253.

⁴¹ Zainteresowanym życiem tego wybitnego naukowca, którego jeszcze wiele razy będziemy przywoływać, można polecić książkę: W. Kozuszek, *Ludwik Hirszfild (1884–1954). Rys życia i działalności naukowa*, Wrocław 2005.

⁴² Niedługo po objęciu probostwa tak bronił się przed zarzutem antysemityzmu: „Czyż jednak słyszał kto, abym kiedykolwiek wystąpił z nienawiścią do żydów? Czy wskażą mi choć jeden artykuł, w którym mogliby się dopatrzeć czegoś niezgodnego z nauką Chrystusową? Nie, zadaniem moim było i jest, jako kapłana i obywatela kraju, uczyć, że kochać bliźniego jak siebie samego, to nie znaczy, abyśmy mieli dla obcych i wrogich sobie przybyszów samobójstwa się dopuszczać lub oddać w ich ręce ziemię i domy nasze, a samym do Ameryki wywędrować. Dzwonienie na trwogę, gdy niebezpieczeństwo nam zagraża ze strony żydów; chyba nie może być wzięte za nienawiść względem nich” [pisownia oryginalna] (M. Godlewski, *Nie czyn tego nikomu, co tobie nie miło*, „Kuryer dla Wszystkich” 1915, nr 102, s. 1).

⁴³ Anonim, *Wspomnienie o prałacie Godlewskim*, AŻIH 349/2610, s. 21.

⁴⁴ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 207.

⁴⁵ L. Hirszfild, *Historia...*, s. 253–254.

⁴⁶ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 207.



Fot. z archiwum parafii Wszystkich Świętych w Warszawie

Ksiądz Marceł Godlewski (1865–1945)
Proboszcz parafii Wszystkich Świętych w Warszawie w latach 1915–1945.
W czasie okupacji niemieckiej wyróżnił się w ratowaniu Żydów

Nie ma bezpośredniej relacji ks. Godlewskiego o motywach, jakimi się kierował w getcie warszawskim. Wnioski na ten temat można więc formułować na podstawie tego, co robił.

Przyjąć do domu i nakarmić

Ksiądz Godlewski, jak sam przyznawał, był typem społecznika, który „w swojej gorliwości wnika obok duchowych i w materialne potrzeby swoich parafian”⁴⁷. Ekstremalna sytuacja w getcie wymagała adekwatnej reakcji. Parafianie w pierwszej kolejności potrzebowali chleba i dachu nad głową. Proboszcz dysponował dużym piętrowym budynkiem plebanii. W tym budynku zamieszkało około stu osób. Obok Żydów-katolików mieszkali tam także Żydzi nieochrzczeni. Obydwie grupy będą dalej nazywane, za Hirszfoldem, „parafianami”. Około połowy mieszkańców parafii stanowili ludzie spośród inteligencji i ci zajmowali głównie mieszkania w budynku plebanii, zaś w budynkach bocznych mieszkała „biedota żydowska, drobni kupcy, robotnicy bez stałego zajęcia i szmuglerzy”⁴⁸. Zalewski-Zamenhof tłumaczy dużą liczbę inteligencji świadomym działaniem ks. Godlewskiego, który miał sobie postawić za cel opiekę nad znanymi rodzinami należącymi do elity polskiego społeczeństwa⁴⁹. Na podstawie zachowanych relacji osób związanych z parafią można podjąć próbę sporządzenia listy mieszkańców plebanii w okresie od kwietnia 1941 do lipca 1942 r. Duża część z nich przeżyła wojnę dzięki pomocy ks. Godlewskiego⁵⁰. Administrator parafii Rudolf Hermelin w swojej relacji zaznaczył, którzy mieszkańcy plebanii byli ochrzczeni, a którzy nie:

1. Berliner, Edward inż. (z Łodzi, ochrzczoney)
2. Berliner, rodzina Edwarda (ochrzczeni)
3. Bunimowicz, Fania (wdowa po bankierze, nieochrzczonej)
4. Dobrowolski, ?
5. Drutowski, Feliks
6. Fedorowski, Grzegorz dr (lekarz, ochrzczoney)
7. Fedorowska, żona Grzegorza (ochrzczonej)
8. Fedorowscy, rodzice Grzegorza
9. Gelbard [później Gadomski], Dionizy dr (analityk, bakteriolog, ochrzczoney)
10. Gelbard, żona Dionizego (ochrzczonej)
11. Goldberg, Maksymilian inż.
12. Goldberg, żona Maksymiliana
13. Grynberg, R. (lekarz dentysta, nieochrzczonej)
14. Grynberg, matka R.
15. Grynberg, córka R.
16. Hermelin, Rudolf, syn Henryka i Augusty Zamenhof (administrator parafii)
17. Hermelin, rodzina Rudolfa
18. Hirszfeld, Ludwik prof. (bakteriolog, immunolog, ochrzczoney)
19. Hirszfeld, Hanna, żona Ludwika (lekarz, ochrzczonej)

⁴⁷ M. Godlewski, *Praca pasterska na parafii w czasach obecnych*, „Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie” 1918, nr 10, s. 402.

⁴⁸ R. Hermelin, *Bez tytułu...*, s. 24.

⁴⁹ R. Dobrzyński, *Ulica Zamenhofa...*, s. 141.

⁵⁰ M. Ptańska, *Ksiądz Marceli Godlewski i jego postawa wobec Żydów*, „Chrześcijanin w Świecie” 1995, nr 1, s. 75–82.

20. Hirszfeld, Maria, córka Ludwika (ochrzczona)
21. Jarochowski, (dozorca plebanii)
22. Jarochowska, żona pana Jarochowskiego (Niemka)
23. Jarochowscy, sześćcioro dzieci pana Jarochowskiego
24. Krakowski, (elektrotechnik z Łodzi, nieochrzczony)
25. Krakowscy, rodzina pana Krakowskiego (nieochrzczeni)
26. Majde, Seweryn (dyrektor kabaretu „Qui pro Quo”)
27. Majde, żona Seweryna
28. Majde, synowie Seweryna
29. Mariaszes, Ilia
30. Mariaszes, Helena (ekonomista z Odessy)
31. Nisenson, Jerzy (prokurator Sądu Najwyższego, ochrzczony)
32. Nisenson, Irena, żona Jerzego, siostra Wandy Zamenhof-Zaleski i Janiny Mincowej (ochrzczona)
33. Nowogródzki, Henryk (adwokat, „późniejsza chluba Warszawskiej palestry”, nieochrzczony)
34. Nowogródzka, (nieochrzczona)
35. Perkal, (ochrzczona)
36. Perkal, córka pani Perkal (z Warszawy, ochrzczona)
37. Pfau, Maria Bronisława [z pierwszego małżeństwa Szwanbaumowa], córka Grycendlera (ochrzczona)
38. Pfau, Zygmunt
39. Polakiewicz, Wiktor (sędzia z Warszawy, ochrzczony)
40. Polakiewicz, rodzina Wiktora
41. Ryterman, (właściciel Hotelu Francuskiego i Polskiego w Krakowie, ochrzczony)
42. Sztompka, Feliks
43. Weinkiper, [później Antonowicz], Emanuel dr (laryngolog, ochrzczony)
44. Weinkiper, rodzina Emanuela
45. Zamenhof-Zaleska, Wanda dr (lekarz, nieochrzczona)
46. Zamenhof-Zaleski Louis, syn Wandy (nieochrzczony)
47. Zamenhof-Mincowa (?), Janina, siostra Wandy Zamenhof-Zaleskiej (ochrzczona)
48. Zamenhof, matka trzech siostr Wandy, Ireny i Janiny (nieochrzczona)
49. Zent, Stefan (adwokat, ochrzczony)
50. Zent, żona Stefana (ochrzczona)
51. Zent, ojciec Stefana (ochrzczony)
52. Zylber, Jan
53. Zylber, Tadeusz (adwokat)⁵¹

Ponadto Rudolf Hermelin oddzielnie wymienia kilka nazwisk parafian „Żydów-katolików”:

1. Baumritter, Paweł dr (internista)
2. Baumritter, rodzina Pawła

⁵¹ Lista nazwisk została sporządzona na podstawie: R. Hermelin, *Bez tytułu...*, s. 24–26, J. Doliwa Ślodziński, *Warszawskie getto...*, s. 1–3, oraz cytowanych wspomnień ks. Czarneckiego, Louisa Zaleskiego-Zamenhofs, anonimowej mieszkanki parafii i prof. Hirszfelda.

3. Czarnecki Bersztek, Maciej (filmowiec)
4. Goldberg-Górecki, Julian dr (internista)
5. Goldberg-Górecki, rodzina Juliana
6. Taubenfeld, Roman (handlowiec)⁵²

Pod każdym z punktów tych list kryje się zapewne ciekawa historia. Zebranie i opisanie ich wszystkich stworzyłoby wyjątkowy obraz społeczności „parafian” kościoła Wszystkich Świętych. Niewiele wiemy o wzajemnych relacjach mieszkańców plebanii. Hermelin podaje, że mimo relatywnie dobrej sytuacji mieszkaniowej i żywieniowej, plebania nie była wolna od wzajemnych niesnasek⁵³. Niewiele w tym mogła zmienić rada parafialna, w skład której wchodził m.in.: dr Jakub Wienkiper-Antonowicz, dr Julian Goldberg-Górecki, mec. Mieczysław Adam Ettinger, Rudolf Hermelin i Bronisława Pfau⁵⁴.

Wspomnianą „dobrą” sytuację żywieniową przypisywano zapobiegliwości ks. Godlewskiego⁵⁵. W wielu relacjach wymieniana jest kuchnia parafialna, która uratowała niejedną osobę przed śmiercią głodową. Zdaniem Hermelina korzystała ona z przydziałów, działającego w oparciu o pomoc Żydowskiego Towarzystwa Opieki Społecznej⁵⁶. Inaczej twierdzi ks. Czarnecki przypisujący działanie kuchni kontaktom z archidiecezjalnym Caritasem. Caritas miał przekazywać do parafii pomoc pieniężną i w naturze, która, mimo że legalna, była czasem konfiskowana⁵⁷. Trochę żywności udawało się przemycać w teczkach, księżom Godlewskiemu i Czarneckiemu, często przechodzącym przez „wachę”⁵⁸. Relacje Hermelina i ks. Czarneckiego są mniej więcej zgodne co do liczby wydawanych posiłków. Prowadzona przez Bronisławę Pfau, a później przez Dionizego Gelbarta, jadalnia rozdawała około stu porcji dziennie⁵⁹. Jednodaniowe posiłki przeznaczone były w pierwszym rzędzie dla ubogich Żydów-katolików, jednak kuchnia wydawała także jedzenie nieochrzczonym Żydom⁶⁰. Choć liczba utrzymywanych w ten sposób przy życiu osób pokrywa się z liczbą „parafian”, relacje sugerują, że posiłki rozdawane były potrzebującym także spoza plebanii. Stołówka funkcjonowała w ten sposób około roku. Swoją działalność zakończyła po ogłoszeniu przez Niemców, w początkach grudnia 1941 r., kary śmierci za pomoc Żydom. Po tej dacie pomoc żywnościowa udzielana była już tylko indywidualnie i opierała się na przemycie „drugiego śniadania”⁶¹.

⁵² R. Hermelin, *Bez tytułu...*, s. 27.

⁵³ Hermelin oskarżał np. B. Pfau o kradzież żywności (R. Hermelin, *Bez tytułu...*, s. 26).

⁵⁴ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 207.

⁵⁵ Hirszfeld pisał: „[Godlewski] stał na czele Caritasu dzielnicy. I kazał rozdawać zupę bez względu na to, czy głodny jest chrześcijaninem czy Żydem” (L. Hirszfeld, *Historia...*, s. 254).

⁵⁶ R. Hermelin, *Bez tytułu...*, s. 26.

⁵⁷ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 208, wersję Czarneckiego pośrednio potwierdza Ringelblum: „W dzień Hoszana Raba przyjęło chrzest ponad 50 osób (informacja z Gminy Żydowskiej). Przyczyna: »Caritas« troszczy się o neofitów” (E. Ringelblum, *Kronika...*, s. 327).

⁵⁸ Pełen nieścistości artykuł w „Słowie Powszechnym” nazywa to: „karmieniem umierających z głodu dzieci żydowskich drugim śniadaniem” (*Misjonarze za murami ghety*, „Słowo Powszechne” 1947, nr 28, s. 7).

⁵⁹ R. Hermelin, *Relacja...*, s. 26; A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 208.

⁶⁰ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 208; zob. też przyp. 62.

⁶¹ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 208.

Głoszenie Ewangelii i posługa sakramentalna

Mieszkańcy getta mieli możliwość przystępowania do prawie wszystkich sakramentów, z wyjątkiem tych, które wymagały obecności biskupa. Z relacji wynika, że wierni przyjmowali Eucharystię, sakrament pokuty i pojednania, małżeństwa, namaszczenia chorych. Udzielano też chrztu, co wśród ortodoksyjnych Żydów mogło wywoływać największe kontrowersje.

Ksiądz Czarnecki wspomina, że wiele osób przystępowało do Komunii św. Wśród nich wymienia m.in. profesora kryminologii UW, Mieczysława Adama Ettingera⁶². Dużą liczbę praktykujących katolików potwierdza także Ludwik Hirszfelf, pisząc, że nawet codzienna liturgia cieszyła się popularnością. Wiernych nie odstraszał nawet chłód częściowo zniszczonego kościoła⁶³. Z pewnością dużo cieplej było podczas Mszy św. niedzielnej. Wtedy ludzie gromadzili się w kościele z różnych motywów. W tłumie obok katolików można było znaleźć mieszkających w pobliżu chrześcijan innych wyznań, „katolików”, którzy ochrzczili się tylko „dla interesu”, a nawet nieochrzczonych, zasymilowanych Żydów, którzy uczestnicząc w Mszy, chcieli zmanifestować swoje przywiązanie do polskiej tradycji⁶⁴. Wielu przekraczających próg świątyni Żydów zdejmowało z ramion swoje opaski z gwiazdą Dawida, by choć przez półtorej godziny poczuć się znowu częścią polskiego społeczeństwa. Z pewnością wyjątkowe były te liturgiczne zgromadzenia, w których „religijni geniusze”⁶⁵ modlili się wspólnie z tymi, którzy nie bardzo wiedzieli, kiedy uklęknąć, a kiedy usiąść⁶⁶.

Trudno oszacować, ilu ludzi słuchało niedzielnych kazań ks. Godlewskiego. Czy „bardzo wielu” to 200 osób, czy może raczej 2 tys.? Ksiądz Czarnecki wspomina jedną niedzielę, 26 lipca 1942, kiedy to, na kilka dni przed likwidacją getta, w kościele zgromadziły się prawdziwe tłumy⁶⁷. W tym największym kościele Warszawy śmiało mogło pomieścić się 3–4 tys. ludzi⁶⁸. Była to oczywiście wyjątkowa niedziela. Wydaje się jednak, że uczestników spotkań z Bogiem i polskością należy liczyć raczej w tysiącach niż setkach.

Nie bez przyczyny wspomniano o polskości, gdyż – jak pisze Hirszfelf – słuchaczy intelektualistów najbardziej wzruszały i napełniały otuchą śmiałe kazania dotyczące Ojczyzny⁶⁹. Słuchając homilii, wierni niepokoiłi się o życie księdza prałata⁷⁰. Co było w tych

⁶² A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 209. Według relacji Stanisława Adlera, prof. Ettinger został wybrany na sędziego getta. Wzbudziło to protest środowiska ortodoksyjnego, które, mimo że kandydaturze Ettingera nie można było, z formalnego punktu widzenia, nic zarzucić, nie życzyło sobie, by praktykujący katolik pełnił takie ważne stanowisko w getcie. Poza uczestnictwem w radzie parafialnej Ettinger organizował też potajemne zajęcia z prawa w getcie (za Marianowiczem P. Dembowskim, *Chrześcijaństwo...*, s. 105–106). Ettinger podobnie jak Hirszfelf zdawał sobie sprawę z niezmiernie ważnej roli edukacji dla przetrwania ducha w narodzie żydowskim. Hirszfelf mógł jednak swoje zajęcia z medycyny prowadzić legalnie, gdyż Niemcy w obawie przed epidemią zezwolili na kursy dla lekarzy (L. Hirszfelf, *Historia...*, s. 208).

⁶³ L. Hirszfelf, *Historia...*, s. 254.

⁶⁴ L. Hirszfelf, *Historia...*, s. 254.

⁶⁵ Tak wysokie zdanie miał ks. Czarnecki o religijności córki profesora, Marysi Hirszfelfównie (J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 47).

⁶⁶ Swoją rolę w liturgii opisuje niezwiązany z Kościołem historyk żydowski – Marian Małowist, za: P. Dembowskim, *Chrześcijaństwo...*, s. 124.

⁶⁷ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 211.

⁶⁸ P. Dembowski, *Chrześcijaństwo...*, s. 81.

⁶⁹ L. Hirszfelf, *Historia...*, s. 255.

⁷⁰ R. Hermelin, *Bez tytułu*, s. 27.

kazaniach, że za ich głoszenie groziła śmierć? Nie zachowały się żadne zapisy, jednak na podstawie relacji prof. Hirszfelda i ks. Czarneckiego⁷¹ można podjąć próbę rekonstrukcji podstawowych elementów nauczania Godlewskiego w getcie warszawskim. Ksiądz prałat nawiązywał do sytuacji zebranych, opowiadając o cierpieniach Jezusa Chrystusa. W tym duchu aktualizował pieśń o cierpiącym słudze Jahwe z Księgi Izajasza. Prałat głosił naukę o Synu Bożym, który z miłości do człowieka złożył na krzyżu ofiarę ekspiacyjną. Dokonane wtedy odpuszczenie win może stać się udziałem wszystkich grzeszników, nie tylko tych prześladowanych przez niemieckiego okupanta, ale i samych oprawców. Grzesznik, niezależnie od narodowości, musi zrobić jedno: wyznać swoją winę i zwrócić się do Najwyższego o przebaczenie. Przedstawienie prośby o zbawienie najlepiej powierzyć Maryi⁷². Ona jest nie tylko Matką Boga, lecz także Matką wszystkich ludzi.

Matką jest też Polska. Ona czasem bywała dla swoich dzieci, zwłaszcza tych żydowskich, niesprawiedliwa, niekiedy w zapamiętaniu je krzywdziła, ale w głębi serca kochała je i pragnęła ich dobra. Dzieci powinny matce przebaczyć i odpłacić miłością za miłość. To miłość do Ojczyzny tworzy więź narodową. Mało ważna jest rasa czy pochodzenie społeczne. Człowiek staje się Polakiem dzięki szlachetnej postawie wobec Polski. Zajętą przez hitlerowców Ojczyznę można odzyskać tylko dzięki „wspólnemu ukochaniu”. Ukochaniu nie tylko bliskich, ale i „tych ludzi potwornych”, którzy nie mają nic, za co można by ich było kochać. Dla miłości warto cierpieć, gdyż takie cierpienie prowadzi do wolności.

„Postawny mężczyzna o siwych włosach i okrągłej dobrej twarzy” stojący na ambonie „miał w wyglądzie coś szlachetnego”⁷³. Gdy namiętnie rzucał słowa, przypominał zebranym ks. Piotra Skargę z obrazów Matejki⁷⁴. Ortodoksyjni żydzi nie mogli, na poziomie dogmatycznym, zgodzić się z prezentowaną katolicką teologią. Z pewnością nie byli też zwolennikami odciągania żydów od judaizmu i mogli mylnie interpretować niektóre słowa Godlewskiego⁷⁵. Nie wydaje się jednak, by z ich strony groziło księdzu proboszczowi jakieś niebezpieczeństwo. Za to niemieckim okupantom jego słowa o polsko-żydowskim braterstwie w miłości do Polski z pewnością mogły się wydać wrogie i to prawdopodobnie ich reakcji najbardziej bali się słuchacze.

W parafii Wszystkich Świętych działał chór założony przez ks. Czarneckiego. Dyrygował nim student szkoły muzycznej Andrzej Dobrowolski. Z pewnością „w każdym zakątku” unosił się „duch patriotyzmu” niesiony słowami zabronionej przez okupanta pieśni *Boże, coś Polskę*⁷⁶.

Poza Eucharystią w getcie udzielane też były inne sakramenty. Sakrament pokuty, choć źródła zachowują w tej sprawie właściwą dyskrecję, należał do oczywistych posług duszpasterskich

⁷¹ L. Hirszfeld, *Historia...*, s. 254–255. Tam też można przeczytać jedyną w swoim rodzaju duchową interpretację części Mszy św.; J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 49–52; A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 210.

⁷² Być może, echa kazań słyhać w wierszu Muriel Kordowicz: *Maryi Niepokalanie Poczętej z warszawskiego getta*, AŻIH 349/2610, s. 82.

⁷³ R. Dobrzyński, *Ulica Zamenhofa...*, s. 142.

⁷⁴ L. Hirszfeld, *Historia...*, s. 253.

⁷⁵ Ringelblum przytacza plotkę, jakoby ks. Godlewski na kazaniu nakazał neofitom wyparcie się Żydów (E. Ringelblum, *Kronika...*, s. 341). Polemizuje z nią Dembowski, twierdząc, że Godlewski mógł tylko zachęcać do strzeżenia wiary chrześcijańskiej (P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 94).

⁷⁶ Świadeństwo Jachielu Górnego znajduje się w zbiorach ŻIH. Obszerny fragment cytuje P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 120–121.

Fot. z archiwum parafii Wszystkich Świętych w Warszawie



Styczeń 1943 r.: szczęśliwi nowożeńcy na schodach kościoła Wszystkich Świętych

i mieścił się zapewne w tym, co Hirszfeld nazywa „pocieszaniem i pokrzepianiem”⁷⁷. Grono osób przystępujących do Komunii św. świadczy o tym, że sakrament pokuty był udzielany.

Ksiądz Czarnecki wspomina w swojej relacji, że kilka par zawarło sakramentalny związek małżeński⁷⁸. Wikary zaznacza, że były to skromne uroczystości w gronie przyjaciół i bliskich. Jachiel Górny, w raporcie dla Ringelbluma, opisał ślub w kościele na Lesznie. Przetawiony przez niego obraz spacerujących po ścieżkach przykościelnego ogródka odświętnie ubranych ludzi, wesoło rozmawiających z księdzem, można, z pewnym prawdopodobieństwem odnieść również do parafii przy pl. Grzybowskiem.

Według relacji ks. Czarneckiego, sakramentem, któremu towarzyszyła szczególna łaśka stanu, było namaszczenie chorych zwane dawniej ostatnim namaszczeniem. Ksiądz

⁷⁷ L. Hirszfeld, *Historia...*, s. 254.

⁷⁸ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 210.

Godlewski powierzył trudne zadanie bezpośredniego przygotowania wiernych na spotkanie z Bogiem swojemu wikaremu. Udzielanie w getcie ostatniego namaszczenia wymagało dużej odporności psychicznej. By dotrzeć z wiatykiem i świętymi olejami do chorych parafian, trzeba było opuścić bezpieczny teren przykościelny i chodzić ulicami pełnymi trupów⁷⁹. Z faktu, że właśnie widok ludzkich zwłok był dla młodego księdza najbardziej wstrząsającym wspomnieniem z udzielania tego sakramentu, można wnioskować, że w najbliższej okolicy kościoła nie praktykowano potajemnego nocnego wynoszenia martwych ciał. Widok ludzi umierających na dur plamisty też był wstrząsający. W czasie gdy ks. Czarnecki wypowiadał słowa formuły sakramentu „Przez to święte namaszczenie...” i kciukiem znaaczył chore ciało, po pościeli spacerowały sznureczki śmiertelnych insektów⁸⁰.

W getcie odbywały się także katolickie pogrzeby. Uczestnicy pogrzebu brali udział w nabożeństwie i mogli towarzyszyć trumnie do bramy getta. Tam żegnali się ze zmarłym. Na Cmentarz Bródnowski mogli udać się tylko księża posiadający przepustki⁸¹. Ostatnią posługę wypełnili księża parafii Wszystkich Świętych m.in. wobec, nieznanej z imienia, pani Czarnogórskiej, Zygmunta Pfau⁸² oraz Feliksy Birbaumowej⁸³.

Chrzty w getcie

Udzielanie sakramentów i nabożeństwa stanowiły posługę duszpasterską wobec żydowskich katolików w getcie i jako takie nie budziły większych kontrowersji. Najbardziej problematyczny był natomiast sakrament chrztu św. Do przyjęcia tego sakramentu zgłaszały się przeważnie osoby dorosłe będące wcześniej wyznawcami judaizmu.

Motywacje Żydów przechodzących na chrześcijaństwo były różne. Ksiądz Czarnecki był ostrożny w ich ocenie⁸⁴. Chrzty często tłumaczono pragmatyzmem. Czerniakow zapisał zdanie jednego z ochrzczonych, że „chrzest jest jak wygodne miejsce w tramwaju”⁸⁵. Wielu Żydów w getcie uważało, że konwertyci będą lepiej traktowani przez niemieckiego okupanta. Nie było to jednak prawdą. Dla Niemców neofici pozostawali Żydami i w niczym nie zmieniało to ich stanowiska prawnego. Dla Żydów *mechesi* byli odszczepieńcami i, jak już wspomniano, nie mieli wcale łatwych relacji ze swoimi rodakami. Gdy padł rozkaz wyznaczenia transportów do Treblinki, jednym z pierwszych pojechali między innymi katolicy⁸⁶. Jeżeli chrzest był „wygodnym miejscem w tramwaju”, to ten tramwaj jechał w tym samym kierunku, co całe getto.

Mieszkańcy getta nie znali końca swojej historii i często żyli złudzeniami. Śmiało można przyjąć, że duża część neofitów przyjmowała chrzest, gdyż liczyła na uratowanie życia. Po

⁷⁹ Prawdopodobnie, zgodnie z utartą praktyką, ks. Czarnecki chodził do chorych z Najświętszym Sakramentem. Nie wiemy, czy towarzyszył mu ministrant z dzwonkiem, tak jak to było zalecane. Gdyby tak było, to z pewnością widok katolickiego księdza w szatach liturgicznych i cyborium oraz ministranta dzwoniącego na ulicy getta musiał budzić zdziwienie. Być może, ślady pamięci takich procesji znajdują się w artykule ze „Słowa Powszechnego”, który opisuje, jak ks. Godlewski codziennie wynosi Najświętszy Sakrament z getta.

⁸⁰ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 209.

⁸¹ P. Dembowski, *Chrześcijaństwo...*, s. 109.

⁸² A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 208.

⁸³ A. Weksztejn, *Bez tytułu*, AŻIH 302/204, s. 164.

⁸⁴ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 208.

⁸⁵ B. Engelking, J. Leociak, *Getto...*, s. 623.

⁸⁶ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 50.

stronie aryjskiej do oszukania Niemców czasem wystarczyła znajomość pacierza i katechizmu⁸⁷. Jednak, jak informował papieża 29 sierpnia 1942 r. abp Andrzej Szeptycki, greckokatolicki metropolita Lwowa, nie wszyscy neofici kierowali się wyłącznie pragmatyzmem⁸⁸. Wiadomość tę potwierdza Ludwik Hirszfild. Profesor wiele razy występował w roli ojca chrzestnego dla swoich uczniów i wierzył w szczerą motywów oraz autentyczną wiarę nowo ochrzczonych. Jego zdaniem, pociągał ich urok religii miłości, religii ich polskiej Ojczyzny⁸⁹.

Niezależnie od motywów do chrztu zgłaszało się bardzo wielu ludzi. Przeważnie byli to członkowie inteligencji i ludzie dorośli⁹⁰. W większości mężczyźni, choć nie brakowało kobiet i całych rodzin. Młodzież do 18. roku życia chrzczono wyłącznie za zgodą rodziców⁹¹. Ksiądz Czarnecki wspomina, że z aprobatą abpa Stanisława Galla, zasłużonego w ratowaniu księży pochodzenia żydowskiego, prowadzono w parafii Wszystkich Świętych szybkie sześciotygodniowe kursy przygotowawcze do sakramentu chrztu. Katechezy dla katechumenów odbywały się na placyku przed plebanią. Przed niewielką figurą Matki Bożej Niepokalanej⁹² stały wtedy trzy ławki, które nie były w stanie pomieścić kilkunastu słuchaczy. Takich kursów zakończonych egzaminem, po którym następował uroczysty obrzęd chrztu, odbyło się kilka⁹³. Gdyby takie kursy odbywały się nie kilkakrotnie, jak twierdzi w swojej relacji z 1973 r. ich prowadzący, lecz bez przerwy, aż do likwidacji „małego getta” i gdyby w każdym wzięło udział 20 osób, to i tak liczba katechumenów nie przekroczyłaby 300. Skąd więc biorą się liczby 5 czy 7 tys. Żydów przyjętych w ten sposób do Kościoła, które padły w 1986 r. w rozmowie ks. Czarneckiego z ks. Wieteską, a której świadkiem i przekazicielem był ks. Maj? Być może, winne były, wspomniane w relacji, braki w pamięci ks. Czarneckiego⁹⁴, a może poza kursem sześciotygodniowym odbywały się także kursy przyspieszone, o których nie wspominał ich prowadzący w roku 1973. Wzmiankę o takim przyspieszonym kursie znajdujemy w relacji ks. Maja. Píše on, że wobec ekstremalnych warunków panujących w getcie, za zgodą warszawskiej Kurii Metropolitalnej, do przyjęcia chrztu wystarczyło złożenie przez kandydata wyznania wiary, wola przyjęcia chrztu i obecność przynajmniej jednego świadka⁹⁵. Sam ks. Czarnecki w roku 1986 miał powiedzieć, że do grona ochrzczonych najwięcej ludzi przyjął po rozpoczęciu likwidacji getta⁹⁶. Jeżeli uznać, że faktycznie tak było, to w czasie likwidacji musiałyby się odbywać jakieś masowe obrzędy chrztu, o których nie zachowały się wzmianki w źródłach. Hirszfild wspomina tylko, że tuż przed oddaniem przepustki do getta, ks. Czarnecki w niebezpieczeństwie śmierci, zgodził się ochrzcić młodego prawnika Tadeusza Edelmana⁹⁷. Możliwe, że w tym czasie odbyło się więcej przyspieszonych chrztów według zasady *in articulo mortis*, nic jednak nie potwierdza informacji o tysiącach

⁸⁷ Anonim, *Wspomnienie...*, s. 21.

⁸⁸ F. Stopniak, *Katolickie duchowieństwo...*, s. 27.

⁸⁹ L. Hirszfild, *Historia...*, s. 255.

⁹⁰ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 209.

⁹¹ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 47.

⁹² Odlew cynowo-ołowiowy o wysokości 90 cm i szerokości 40 cm zwany „Matką Bożą z Getta” stoi obecnie na terenie kościoła św. Katarzyny w Warszawie.

⁹³ Czarnecki, *Parafia...*, s. 208.

⁹⁴ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 47.

⁹⁵ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 46.

⁹⁶ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 50.

⁹⁷ L. Hirszfild, *Historia...*, s. 271.

tych praktyk. Wydaje się, że liczby 5 i 7 tys. prawdopodobnie nie dotyczyły katechumenów w parafii Wszystkich Świętych, lecz albo liczby fałszywych metryk chrztu⁹⁸, albo też ogólnej liczby chrześcijan w getcie warszawskim. Takie liczby mogły też pojawić się w kontekście pojemności kościoła pw. Wszystkich Świętych i przypuszczalnej liczby uczestników Mszy św. z 26 lipca 1942 r. Jednak zdaniem ks. Zygmunta Króla, wieloletniego proboszcza parafii Wszystkich Świętych, kościół jest pełen przy 3 tys. osób, a przy 4 tys. można mówić o „wielkim niespodziewanym” tłumie, jaki widział z ambony ks. Czarnecki⁹⁹. W tej liczbie potencjalnych uczestników Mszy św. znaleźli się nie tylko nowo ochrzczeni, ale także „starzy konwertyci” oraz sympatycy polskości. Wydaje się, że prawdziwych katechumenów mogło być co najwyżej kilkuset.

Ostatnia Msza

Pod koniec lipca 1942 r. ks. Godlewski wezwał z urlopu ks. Czarneckiego lakonicznym telegramem: „Wróć – likwidują getto”¹⁰⁰. Z relacji wiadomo, że ostatnia Msza św. została odprawiona w dziewiątą niedzielę po Zesłaniu Ducha Świętego¹⁰¹, która w 1942 r. wypadła 26 lipca¹⁰². Pośród ogromnego tłumu zgromadzonego w świątyni wyczuwało się powagę chwili. Odczytywano wtedy w kościołach następujący fragment z Ewangelii: „W on czas: Gdy się przybliżył Jezus do Jerozolimy, patrząc na miasto, głośno nad niem zapłakał mówiąc: O gdybyś i ty w tym właśnie dniu twoim poznało to, co ci pokój przynosi, teraz jednak zakryte jest to przed oczyma twymi! Albowiem przyjdą na cię dni, a nieprzyjaciele twoi otoczą cię wałem, i oblegną cię, i ścisną cię zewsząd; a ciebie i twe dzieci, które są w tobie, powalą o ziemię i nie pozostawią w tobie kamienia na kamieniu; ponieważ nie poznałoś czasu nawiedzenia twego!” (Łk 19, 41–44)¹⁰³. Tego dnia w kościele Wszystkich Świętych homilia nie było potrzebna. Jak wspomina ks. Czarnecki, sam Zbawiciel przemówił „potężnie i przejmująco”, a w świątyni rozległ się wielki płacz i lament¹⁰⁴.

W poniedziałek, 27 lipca, miało miejsce rozczulające pożegnanie. Profesor Hirszfeld zapamiętał chwilę, gdy ks. Czarnecki przekazywał rozkaz zamknięcia kościoła oraz oddania kluczy i księzowskich przepustek. Parafianie mieli wtedy wrażenie, że otwiera się pod nimi otchłań. Wszyscy płakali, czuli, że jest to nie tylko ostatnie spotkanie z duszpasterzem, ale także pożeg-

⁹⁸ Zaleski-Zamenhof w swoim piśmie do ŻIH wspomina, że przy wydawaniu świadectw chrztu dla uspokojenia własnego sumienia ks. Czarnecki dokonywał symbolicznego pokropienia wodą. Louis C. Zaleski-Zamenhof, Pismo z dnia 28 V 2002 do ŻIH na ręce Janiny Sacharewicz, AŻIH 349/2610, s. 20.

⁹⁹ P. Dembowski, *Chrześcijananie...*, s. 81.

¹⁰⁰ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 211. Zdaniem ks. Czarneckiego prałata Godlewskiego nie było na ostatniej Mszy św., gdyż przepustkę zabrano mu kilka tygodni wcześniej. Nieco inaczej przedstawia tę sprawę Hermelin, który twierdzi, że zagnał się z ks. Godlewskim we wtorek, 28 lipca (R. Hermelin, *Bez tytułu...*, s. 26). Relację Czarneckiego potwierdza Hirszfeld.

¹⁰¹ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 211.

¹⁰² P. Dembowski, *Chrześcijananie...*, s. 148.

¹⁰³ Najprawdopodobniej właśnie to tłumaczenie zostało przeczytane z ambony tamtej niedzieli. Cyt. za: *Mszał Rzymski* w skróceniu wydany z rozporządzenia Jego Eminencji Edmunda Kardynała Dalbora arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, prymasa Polski przez ks. Aleksandra Żychlińskiego, wyd. III uzup., Poznań–Warszawa–Wilno–Lublin 1931.

¹⁰⁴ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 211.

nanie z życiem. Wtedy w niebezpieczeństwie śmierci miał się odbyć chrzest Tadeusza Edelmana¹⁰⁵. Potem ks. Czarnecki przeniósł Najświętszy Sakrament do kaplicy na Sienną 83¹⁰⁶.

Być może, tego samego dnia ksiądz zdemontował figurę Matki Boskiej, świadka duchowych przemian mieszkańców getta, i uroczystie odprowadzany przez parafian wyszedł na zewnątrz. Żandarmi nie zaczepiali tej maryjnej „procesji”¹⁰⁷. Niedługo potem, 6 sierpnia, plebania została zniszczona, a pozostający w getcie parafianie zapędzeni na Umschlagplatz i wywiezieni do Treblinki¹⁰⁸.

* * *

Nie wszyscy żydowscy katolicy zginęli. Z pomocą księży części udało się uciec, niektórym wprost w ostatniej chwili. Zdarzało się, że po wielu zakrętach losu znów spotykali swoich duszpasterzy¹⁰⁹. Po wojnie biblijna „reszta” parafian wróciła do swoich zawodów i rozpoczęła „normalne” życie w Polsce Ludowej. Według niepotwierdzonych informacji ks. Maja, niektórzy parafianie po latach spotkali się w Izraelu i dali początek grupie hebrajskich katolików używającej w liturgii języka hebrajskiego. Zdaniem ks. Maja, o. Daniel Rufeisen, duszpasterz hebrajskich katolików, prowadził dalej to, co zaczęli księża w parafii Wszystkich Świętych, ale to właśnie Godlewskiego i Czarneckiego należy uznać za ojców tej nowej drogi w Kościele katolickim¹¹⁰.

Kwestią wymagającą osobnego omówienia jest ściśle ratownicza działalność ks. Marceliego Godlewskiego. Ksiądz prałat nie ograniczał się bowiem tylko do duszpasterstwa. Działalności konspiracyjnej ks. Godlewskiego w Warszawie, zarówno przed likwidacją getta, jak i po niej, poświęcony zostanie osobny artykuł. Będzie w nim mowa o zaangażowaniu w przemyt i ukrywanie osób pochodzenia żydowskiego, współpracę w dziele ratowania Żydów ze zgromadzeniem s. Franciszkanek Rodziny Marii oraz żołnierzami ZWZ-AK. Są także dowody na to, że ks. Godlewski organizował siatkę producentów fałszywych metryk chrztu. Intensywność tych i innych działań ratowniczych z chwilą likwidacji getta wcale nie zmalała, lecz wręcz wzrosła.

¹⁰⁵ L. Hirszfild, *Historia...*, s. 271.

¹⁰⁶ A. Czarnecki, *Parafia...*, s. 211.

¹⁰⁷ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 48.

¹⁰⁸ Henryk Makower tak wspomina to wydarzenie: „Na początku *Akcji* Niemcy i Ukraińcy zniszczyli plebanię. Zabrali wszystkich mieszkańców, którzy nie zdołali przedostać się »na drugą stronę«. Z okien mojego szpitala przy ulicy Leszno widziałem masę ludzi idących z »małego getta« przez Żelazną i Nowolipki na Umschlagplatz. Szli w milczeniu. Wszystko, co słyszałem, to dźwięk butów stąpających po chodniku. Zauważyłem wielu moich przyjaciół z parafii wśród tych ludzi”. Cyt. za: P. Dembowski, *Chrześcijanie...*, s. 149.

¹⁰⁹ Tak było w przypadku Dionizego Gelbarda, drugiego kierownika parafialnej kuchni. Na Umschlagplatz poszedł razem z żoną. Jemu udało się uratować, jej nie. Potem ukrywał się i był lekarzem „leśnych partyzantów” w Biłgoraju. Zadenuncjowany przeniósł się do Lwowa. Tam w roku 1943 spotkał swoją przyszlą drugą żonę, Helenę Gadomską (Hanneman), Żydówkę, która z fałszywym *ausweisem* przynosiła kiedyś jedzenie na pl. Grzybowski. Ksiądz Godlewski pobłogosławił ich małżeństwo i pomógł Dionizemu wyrobić fałszywe dokumenty, dzięki którym, jako Edward Gadomski, przeżył do końca wojny i został sekretarzem generalnym Gminy Żydowskiej w Lublinie. Rękopis relacji Heleny Gadomskiej w archiwum ŻIH, sygn. 301/5624.

¹¹⁰ J. Maj, *O Matce Bożej...*, s. 51–52. Wywiad z księdzem Józefem Majem 4 sierpnia 2008 r.

ZA POMOC ŻYDOM OSADZENI W WIĘZIENIU RADOMSKIM

W okresie okupacji niemieckiej przez cele więzienia przy ul. Malczewskiego w Radomiu przeszło blisko 17 tys. osób. Dla wielu z nich pobyt w tym więzieniu oznaczał początek drogi zakończonej śmiercią podczas egzekucji, w obozie koncentracyjnym lub obozie pracy. Ci, którym udało się odzyskać wolność, wchodzili w powojenną rzeczywistość z tragicznymi wspomnieniami, i nie byli w stanie wymazać ich z pamięci przez długie lata. Wśród więźniów tych znajdowali się również Polacy aresztowani przez niemieckie władze okupacyjne za pomoc udzielaną Żydom.

Więzienie radomskie, funkcjonujące w stolicy dystryktu, stanowiło w latach 1939–1945 zarówno miejsce odbywania kar dla osób skazanych przez sądy różnych szczebli, jak i areszt dla więźniów znajdujących się w dyspozycji policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei). Ulokowane w dawnych obiektach klasztornych, było przeznaczone teoretycznie dla 300 osób, ale jego stan liczebny sięgał niejednokrotnie 1,2 tys. więźniów. Oprócz braku kanalizacji i ogrzewania, przeludnionych cel, katastrofalnych warunków higienicznych i żywnościowych więźniowie byli narażeni na stałe represje ze strony niemieckich strażników – bicie, zmuszanie do wycieńczających ćwiczeń fizycznych, rewizje i inne szykany. Dla wielu osób przesładowania te stanowiły tylko wstęp do morderczych przesłuchań w budynku komendy policji bezpieczeństwa przy ul. Kościuszki, których konsekwencją była często śmierć w jednym z podradomskich miejsc masowych straceń lub też wywózka do obozu koncentracyjnego.

Wczesną jesienią 1942 r. zaczęto osadzać w celach radomskiego więzienia Polaków aresztowanych pod zarzutem udzielania pomocy osobom narodowości żydowskiej. Należeli do nich mieszkańcy Szydłowca, starający się pomóc Żydom przebywającym w tym mieście. Jak podkreślano w licznych relacjach dotyczących zagłady, szydłowieckie getto było na mapie dystryktu radomskiego miejscem wyjątkowym. Chociaż uwięzieni w nim ludzie dzielili tragiczny los swych współwyznawców, wielu z nich pracowało przymusowo w działających pod nadzorem niemieckim garbarniach, zaopatrując też czarny rynek w ogromnie poszukiwane skóry podeszwowe. Wśród mieszkańców getta znajdowała się zatem grupa osób stosunkowo zamożnych, będących w stanie zapłacić wiele za szansę ratunku, jaką dawało zdobycie polskich dokumentów.

Nie jest przypadkiem, że Polacy byli aresztowani właśnie za próby dostarczenia mieszkańcom getta dokumentów umożliwiających ukrycie się po aryjskiej stronie. Funkcjonariusze policji bezpieczeństwa ze Skarżyska-Kamiennej 26 lutego 1943 r. doprowadzili do gmachu przy ul. Malczewskiego w Radomiu dwóch mężczyzn, z których żaden nie ukończył jeszcze dwudziestego piątego roku życia. Byli to mieszkańcy Szydłowca – kowal Wincenty Kołba

i ślusarz Marian Nazimek. W arkuszu ewidencyjnym każdego z nich jako powód aresztowania wpisano: *Ausweis fälschung für Juden*. Nie wiadomo, niestety, kto był – lub też miał być – odbiorcą tych dokumentów, czy pomoc udzielana przez Polaków miała podłoże finansowe, czy też wynikała z altruizmu, a wreszcie – w jaki sposób dowiedzieli się o niej Niemcy. „Śledztwo” prowadzone przez policję bezpieczeństwa znalazło tragiczny finał 1 grudnia 1943 r., gdy obaj więźniowie zostali zakwalifikowani do transportu skierowanego do obozu koncentracyjnego Auschwitz. W kilka miesięcy później Wincentego Kołbę przeniesiono stamtąd do Buchenwaldu, gdzie udało mu się dotrzeć do wyzwolenia. Nie znamy, niestety, losów Mariana Nazimka, który trafił do obozu Flössenburg, a stamtąd ponownie do Oświęcimia.

Kilka miesięcy później, w ostatnich dniach lutego 1943 r., do więzienia trafił kolejny mieszkaniec Szydłowca, rówieśnik Kołby i Nazimka, malarz Stefan Erbel, aresztowany z powodu próby sprzedaży Żydowi polskiego dowodu osobistego. Przebywał on w budynku przy ul. Malczewskiego zaledwie kilka tygodni, gdyż decyzją radomskiej komendy policji bezpieczeństwa wywieziono go transportem do Auschwitz 17 marca 1943 r. Erbel trafił następnie do obozu Mauthausen, gdzie dane mu było doczekać wolności.

Prawdopodobnie już nigdy nie dowiemy się, czy dzięki dokumentom otrzymanym lub też kupionym od Polaków któremuś z szydlowieckich Żydów udało się przetrwać do końca wojny. Próba „oszukania śmierci” w ten sposób nie powiodła się powszechnie szanowanemu działaczowi społecznemu i lekarzowi Lejbusiowi Dymentowi, który wydostał się z tamtejszego getta, dysponując dowodem osobistym na fałszywe, polskie nazwisko. W nieznanym po dziś dzień okolicznościach został jednak schwytany przez Niemców i osadzony w więzieniu. Jego koledzy z celi zapamiętali, że został poddany morderczym przesłuchaniom, które miały zmusić go do podania nazwisk Polaków udzielających mu pomocy. Strach przed załamaniem się w śledztwie był powodem jego decyzji o odebraniu sobie życia.

W pierwszych dniach grudnia 1942 r. do więzienia doprowadzono Annę i Wincentego Buzowiczów – młode małżeństwo z Kozienic. Mężczyzna był z zawodu stolarzem, a jego żona zajmowała się prowadzeniem domu. Lakoniczne zapisy w arkuszach ewidencyjnych więźniów nie pozwalają ustalić, komu nieśli oni pomoc i jakie były jej formy. W dokumentach Anny zapisano jedynie, że „ukrywała” Żydów, a w dokumentach Wincentego, że „przewoził” osoby narodowości żydowskiej. Śledztwo w sprawie aresztowanych, prowadzone przez radomską komendę policji bezpieczeństwa, trwało blisko pół roku. Miało ono tragiczny finał – małżonkowie stanęli przed Sądem Specjalnym, który skazał ich na karę śmierci. Już po ogłoszeniu wyroku władze niemieckie wyraziły zgodę, by skazańcy sporządzili testamenty, spisane następnie przez jednego z radomskich notariuszy. W realiach więziennych była to decyzja zupełnie wyjątkowa. Nie mogła ona jednak wpłynąć w żaden sposób na losy małżeństwa, rozstrzelanego w sierpniu 1943 r. w jednym z podradomskich miejsc masowych straceń.

Daty zapisów w dokumentach więziennych sugerują, że ze sprawą Buzowiczów mogło być związane aresztowanie kozieniczanki Marii Różańskiej, oskarżonej o sprzedaż osobie narodowości żydowskiej własnego dowodu osobistego. Przebywała ona w celi Oddziału Kobiecego blisko rok. Potem została przeniesiona do wydzielonej części gmachu przy ul. Malczewskiego, w której mieścił się Oddział Specjalny, nadzorowany bezpośrednio przez funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa. Choć jej dalsze losy pozostają nieznanymi, jest bardzo wątpliwe, by udało jej się doczekać końca wojny.

W Wigilię Bożego Narodzenia 1942 r. funkcjonariusze polskiej policji granatowej doprowadzili do więzienia chłopkę Wiktorię Paduch, zamieszkałą w Wójtostwie Poduchownym

k. Kozienic. Możemy domniemywać, że w należących do niej zabudowaniach znaleziono uciekinierów z getta, gdyż powodem aresztowania i późniejszego wyroku stało się „zapewnienie schronienia dla zbiegłych Żydów”. Po trwającym ponad pół roku śledztwie kobieta stanęła przed Sądem Specjalnym, otrzymując najwyższy wymiar kary. Wyrok ten został wykonany w sierpniu 1943 r. Razem z nią aresztowano Jana Gieruszkę, ale w materiałach archiwalnych nie zachowały się informacje na temat tego więźnia.

Być może, znajomymi tych ostatnich osób było troje mieszkańców Kozienic, osadzonych w więzieniu w styczniu 1943 r.: robotnica Ludwika Kostrzeba, ślusarz Jerzy Burghardt i fryzjer Paweł Wachłaczanko. Zostali oni aresztowani przez kozienicką żandarmerię w związku z „uzasadnionym podejrzeniem” udzielania schronienia osobom narodowości żydowskiej. W przypadku Wachłaczanki zachowały się informacje mówiące, że ułatwiał on Żydom ucieczkę z getta i kierował ich do Szydłowca. Był członkiem którejś z organizacji konspiracyjnych i działał, być może, na jej rozkaz. Żołnierzem ruchu oporu był też Jerzy Burghardt. Obaj mężczyźni zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego Auschwitz, skąd rok później Pawła Wachłaczankę przeniesiono do podobozu *Konzentrationslager Flössenburg* w czeskich Litomierzycach, gdzie udało mu się doczekać wyzwolenia. Jerzy Burghardt trafił do obozu Mauthausen, gdzie prawdopodobnie zginął. Trudno powiedzieć, jak potoczył się los Ludwiki Kostrzeby. Chociaż wpisy w arkuszu ewidencyjnym tej więźniarki informują, że została ona zwolniona z więzienia jeszcze w kwietniu 1943 r.

Sprawami sądowymi, w których zapadły wyroki śmierci, zakończyły się śledztwa wobec kilku innych osób, które w okresie okupacji trafiły do cel gmachu przy ul. Malczewskiego w Radomiu. Pierwszą z nich był robotnik ze Starachowic, Stanisław Kucharski, aresztowany w marcu 1943 r. za ukrywanie osób narodowości żydowskiej. Bardzo szybko, bo już półtora miesiąca później, Sąd Specjalny skazał go na karę śmierci. Wykonanie wyroku odłożono jednak w czasie, gdyż bliscy skazańca podjęli starania o ułaskawienie go przez generalnego gubernatora. Wysiłki okazały się bezowocne.

Hans Frank zdecydował się jednak zastosować prawo łaski wobec dwóch innych więźniów udzielających pomocy Żydom. Warto podkreślić, że przyczyną takiej postawy nie był humanitaryzm – raczej megalomania, powodująca sięgnięcie do prerogatyw przysługujących jedynie monarchom i głowom państw. Tym niemniej uratowała ona życie ślusarzowi Władysławowi Tyczyńskiemu, który ukrywał dyrektora radomskiej odlewni żelaza „Stella”, Jakuba Silbersteina, i jego kilkunastoletniego syna. Frank zdecydował zamienić karę śmierci na rok pozbawienia wolności. Po odbyciu tej kary Władysław Tyczyński został zwolniony z więzienia. Drugim ułaskawionym był robotnik leśny z Rudy k. Kozienic, Tadeusz Rydel, który po kilku miesiącach od wydania wyroku kary śmierci odzyskał wolność.

Jak informują dokumenty, Sąd Specjalny w Radomiu orzekł w sprawach Polaków udzielających pomocy Żydom nie tylko karę śmierci, ale także kary pozbawienia wolności. Ponieważ nie zachowały się akta rozpraw, możemy jedynie przypuszczać, że w tego typu przypadkach „winą” oskarżonych nie było ukrywanie zbiegów z gett, ale np. jednorazowe dostarczenie im żywności, odzieży lub pieniędzy czy też ułatwienie dotarcia w określone miejsce. Karę roku pozbawienia wolności za tego rodzaju „przestępstwa” otrzymał rolnik z okolic podradomskiego Wolanowa, Czesław Kaleta, oraz Czesław Nagiel (prawdopodobnie mieszkaniec Warszawy), zatrzymany w Sandomierzu lub jego okolicach za przewożenie osób narodowości żydowskiej.

Nawet drobne formy pomocy, wynikające z czystego altruizmu, pociągały za sobą osadzenie w obozie koncentracyjnym. Los taki spotkał magazyniera jednego z radomskich

zakładów przemysłowych, Marcina Kowalika, który w styczniu 1943 r. w nieznanych okolicznościach przyjął od Żyda list, zapewne zobowiązując się dostarczyć go adresatowi. Schwytanego przez policję bezpieczeństwa Polaka wywieziono wkrótce do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie został zamordowany. Transportem z marca 1943 r. do obozu tego trafiła również krawcowa z Radomia, Anna Michałowska, aresztowana wraz ze swą siostrą Marią Gregorczyk za „udzielanie pomocy” osobom narodowości żydowskiej. Do dziś nieznanym jest los ślusarza ze Skarżyska-Kamiennej, Konstantego Walerowicza, który z Auschwitz został przeniesiony do obozu w Buchenwaldzie. Nie wiemy także, co stało się z policjantem z Grabowa nad Wisłą, Bolesławem Waścińskim, który „pomagał” nieznanemu z imienia i nazwiska Żydówce, za co po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu trafił do obozu pracy przymusowej w Dębicy.

Bardzo trudne warunki życia w więzieniu, katastrofalnie słabe wyżywienie, pojawiające się epidemie i brak opieki medycznej sprawiały, że wielu osadzonych zapadało na poważne choroby, nierzadko kończące się zgonem. Śmierć w celi lub więziennym szpitalu była też bardzo często skutkiem morderczych przesłuchań w siedzibie radomskiej komendy policji bezpieczeństwa. Wymuszaniu zeznań towarzyszyły bicie i wymyślne tortury z użyciem specjalnych urządzeń. W gmachu przy ul. Malczewskiego życie zakończyły co najmniej dwie osoby aresztowane za udzielenie pomocy Żydom. Jedną z nich była robotnica z Zawichostu k. Sandomierza, Alina Kaczmarska. Dwudziestotrzyletnia kobieta przebywała w więzieniu w Sandomierzu prawdopodobnie od połowy 1942 r. Zatrzymano ją za „nielegalne przewożenie Żydów”. W październiku została przeniesiona do Radomia. Lakoniczna notka na arkuszu ewidencyjnym informuje, że Alina Kaczmarska zmarła w celi szpitalnej 4 lutego 1943 r. Chociaż przyczyna zgonu nie została podana, należy wątpić, by była nią choroba. W grę wchodziło raczej samobójstwo, a jeszcze bardziej prawdopodobne jest, że zgon był wynikiem obrażeń wewnętrznych odniesionych przez więźniarkę w czasie przesłuchań. Jan Zawodnik ze wsi Śmietanki k. Kozienic, być może, ukrywał lub też wspierał w jakiś inny sposób kozienickiego Żyda Joela Littmana. Po zatrzymaniu przez żandarmerię i pobycie w jej areszcie, w sierpniu 1943 r. został on doprowadzony do więzienia w Radomiu. Zmarł tutaj osiem miesięcy później z powodu choroby serca.

Dużą grupę więźniów oskarżonych o udzielanie pomocy Żydom stanowiły osoby, którym udało się uniknąć śmierci w egzekucji lub też wywiezienia do obozu koncentracyjnego i odzyskać wolność. Nie jesteśmy już dzisiaj w stanie stwierdzić, dlaczego funkcjonariusze niemieckiej policji decydowali się czasami uwalniać ludzi aresztowanych z powodu „przestępstw” zagrożonych najwyższym wymiarem kary. W każdym z takich przypadków głos decydujący należał do oficera prowadzącego śledztwo, który kilkakrotnie przesłuchiwał więźnia. Jeżeli oficer uznał, że aresztowana osoba działała nieumyślnie albo – ze względu na brak predyspozycji intelektualnych – nie rozumiała, że sprzeciwia się rozporządzeniom władz, mógł zamknąć postępowanie, zwalniając osadzonego.

Niektórzy więźniowie byli zatrudnieni w gałęziach administracji o dużym znaczeniu dla polityki okupantów (sądownictwo, administracja leśna itp.) lub też w zakładach przemysłowych pracujących na potrzeby maszyny wojennej Rzeszy. W takich wypadkach zdarzało się niekiedy, że za aresztowanym wstawał się jego kierownik lub dyrektor, podkreślając, że dana osoba jest niezbędna dla sprawnego funkcjonowania urzędu lub fabryki. Dużą rolę odgrywały również zabiegi rodzin starających się dotrzeć przez znajomych Niemców lub folksdojczów do konkretnego oficera i podjąć próbę wręczenia mu łapówki. Wiemy, że niektórzy z funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa byli skłonni przyjmować tego rodzaju

„prezenty” nie tylko za zwolnienie danej osoby, ale choćby za to, by nie była ona bita podczas przesłuchań. Warto jednak podkreślić, że chociaż niektórym Polakom osadzonym w gmachu przy ul. Malczewskiego za pomoc Żydom dane było powrócić stamtąd do swych domów, ich zwolnienie następowało zazwyczaj po kilku miesiącach od daty doprowadzenia, gdy więźniowie odczuwali już bardzo dotkliwie fizyczne i psychiczne skutki pozbawienia wolności.

Sytuacja taka miała miejsce np. w 1942 r., kiedy to w więzieniu osadzono chłopa z okolic Wolanowa, Romana Radulskiego, za to, że „przyjął Żyda na wóz”. Zanim wrócił do domu, spędził w celi blisko cztery miesiące. Na kilka tygodni przed likwidacją getta w Białobrzegach, do więzienia doprowadzono miejscowego adwokata Romana Mazanowskiego. W jego dokumentach wpisano, że powodem aresztowania była „obrona Żyda”, można więc przypuszczać, że podjął się on reprezentowania interesów osoby narodowości żydowskiej w którejś ze spraw toczących się przed tamtejszym sądem grodzkim. Wiele szczęścia miał też mieszkaniec Radomia, Władysław Pasek, zatrzymany w 1942 r. za „przenoszenie korespondencji Żydom” – spędził on w więzieniu niespełna trzy tygodnie i uzyskał zwolnienie. Pod zarzutem ukrywania zbiegów z gett zostali zatrzymani także m.in.: radomianie – Helena Niwińska i Bolesław Gołosz; mieszkanka okolic Jedlińska – Helena Maliszewska; gajowy ze Stromca – Marian Lisowski oraz mieszkaniec Zwolenia – Stanisław Pilecki.

W niekompletnych i zawierających tylko lakoniczne dane dokumentach więzienia radomskiego zachowały się informacje o ponad trzydziestu Polakach, represjonowanych za pomoc udzielaną Żydom. Wiemy o nich bardzo mało. Być może, w przyszłości uda się przybliżyć i opisać drogi życiowe przynajmniej niektórych z nich. Ich postawy i tragiczne losy z pewnością na to zasługują.

OBWIESZC

*Przeplakalowo
na wieżę odziumi
9/9- godz. 10. -
H. M.*

Dotyczy kary śmierci za wspieranie żydów, którzy przekroczyli

W ostatnim czasie większa ilość żydów wydostała się bez uprzedzenia z dla nich

Przypominam, że trzecie rozporządzenie Generalnego Gubernatora z dnia 15.10.1941 r. za przekroczenie granicy dzielnicy żydowskiej, ale każdy, kto w jakikolwiek sposób dopomaga uważa się tylko przenocowanie ich i wyżywienie, ale również przewożenie ich jakimkolwiek

SPRAWIEDLIWI Z CZERMNEJ

Tereny południowo-wschodniej Polski obfitują w setki przykładów pomocy, jaką Polacy udzielili ludności żydowskiej podczas okupacji niemieckiej. Mimo upływu czasu historycy ciągle docierają do nowych przypadków ratowania Żydów, choć musimy zdawać sobie sprawę z tego, że nigdy nie uda nam się opisać i ustalić wszystkich, bowiem nie żyje już wielu świadków, którzy mogliby udokumentować przykłady takiej pomocy.

Zachowało się bardzo mało dokumentów władz okupacyjnych, w których można znaleźć informacje dotyczące pomocy. Czasami zdarza się, że sami świadkowie tamtych dramatycznych wydarzeń nie chcą powracać do tragicznej przeszłości. Mimo to ciągle udaje się odnajdywać i upamiętniać poszczególne osoby oraz całe rodziny, które starały się przeciwstawić zagładzie Żydów. Jednym z takich przykładów jest rodzina Garbulińskich z Czermnej, która podjęła próbę ratowania trójki Żydów mimo groźby utraty życia¹.

Los wioski w czasie okupacji

Czermna znajduje się na terenie pow. tarnowskiego, w gm. Szerzyny, we wschodniej części obecnego woj. małopolskiego. Jest dużą wsią rozciągającą się na przestrzeni kilku kilometrów. Przed wojną wchodziła w skład woj. krakowskiego, a w czasie okupacji administracyjnie należała do pow. jasielskiego w dystrykcie krakowskim Generalnego Gubernatorstwa. W 1939 r. liczyła ok. 3,1 tys. mieszkańców i 453 gospodarstwa. W czasie II wojny Czermna w szczególności doświadczyła terroru i okrucieństwa ze strony okupanta niemieckiego. W 1942 r. w Swoszowej zostało powieszonych kilku Żydów z Czermnej. Sprawcami tego mordu byli policjanci niemieccy. Wśród ofiar znalazły się dziewczęta: Feigebaum i Szlama, mężczyzna i kobieta o nazwisku Fratner oraz dwie osoby o nieustalonej tożsamości. W latach 1942–1943 w Czermnej i Jabłonicy gestapo z Jasła zastrzeliło jeszcze dziewiętnastu Żydów. Jednak najdotkliwsze straty wieś poniosła w 1944 r., ponieważ dwukrotnie została spacyfikowana. Pierwsza pacyfikacja miała miejsce 8 września 1944 r. Wówczas gestapo z Jasła wraz z Wehrmachtem przeprowadziło łapankę, w wyniku której schwytano około trzystu osób w wieku 16–60 lat. Wszystkich złapanych wywieziono w głąb Rzeszy, a wiele z tych osób nie powróciło do domów, gdyż zostali zabici w czasie transportu bądź na terenie Niemiec. Druga pacyfikacja Czermnej miała miejsce w nocy z 23 na 24 grudnia 1944 r. Tego samego dnia została spacyfikowana sąsiednia miejscowość, Jabłonica. Powodem pacyfikacji miało być podejrzenie o współpracę z partyzantami. W akcji pacyfikacyjnej uczestniczyły jednostki Wehrmachtu, żołnierze rumuńscy i własowcy, przy współudziale pododdziałów SS. W jej wyniku prawie wszyscy mieszkańcy Czermnej zostali aresztowani, a następnie zapędzeni do pustej stodoły w Jabłonicy, z której kolejno byli wyprowadzani na przesłuchanie do pobliskiego domu. Podczas przesłuchań schwytane osoby bito i torturowano, aby wymusić na nich zeznania. W wyniku

¹ E. Rączy, *Pomoc Polaków dla ludności żydowskiej na Rzeszowszczyźnie 1939–1945*, Rzeszów 2008, s. 15–22.

grudniowej pacyfikacji zginęło pięciu mieszkańców Czeremnej. Wśród ofiar znalazł się Jan Warchoń, który ukrywał jeńca – Rosjanina; został rozstrzelany w Libuszy, w pow. gorlickim. W trakcie pacyfikacji rozstrzelano także Apolonię i Franciszka Janigów oraz Andrzeja Wierzgacza. Ich zwłoki wciągnięto do stodoły, którą następnie podpalono. Podobny los spotkał Wojciecha Kaczkę, którego zastrzelono we własnym domu, a jego gospodarstwo spalono. Jedną z wielu ofiar był także Ignacy Kozak, który został zastrzelony 9 października 1944 r.²

Pomoc Garbulińskich

We wsi Czeremna mieszkała rodzina Garbulińskich. Głową rodziny był Andrzej, urodzony ok. 1884 r. Jego pierwsza żona, Zofia z domu Machowska, zmarła przed wojną. W 1938 r. Andrzej ożenił się ponownie, z Kazimierą z domu Malinowską, która pochodziła z Grodźca, pow. Złotoryja. Andrzej Garbuliński miał ośmioro dzieci, w tym sześcioro z Zofią. Najstarszy syn, Władysław, przyszedł na świat w 1922 r. W 1926 r. urodziła się Eleonora, Marian w 1927 r., Helena w 1931 r., Kunegunda w 1934 r., a najmłodszy z tego związku, Stanisław, w 1936 r. Natomiast z Kazimierą miał dwóch synów: Kazimierza, który urodził się w 1940 r., i Jana urodzonego w 1942 r. W czasie okupacji niemieckiej Andrzej Garbuliński wraz z żoną

Kazimierą i dziećmi mieszkał w Czeremnej, gdzie prowadził gospodarstwo rolne będące ich jedynym źródłem utrzymania. Dom i zabudowania gospodarcze położone były na obrzeżach wsi. Garbulińscy posiadali ok. 6 ha pola, a także spory inwentarz żywy, na który składały się dwa konie, dwie krowy i dwie świnie³.

Przed II wojną światową w Czeremnej mieszkało tylko kilka rodzin żydowskich, m.in. rodzina Elfenbeinów, która trudniła się drobnym

handlem⁴. W bliżej nieustalonych okolicznościach w zimie 1943 r. do domu Garbulińskich przybyła Sara Elfenbein, licząca wówczas ok. 60 lat, z dwójką dorosłych dzieci: synem Majorem liczącym ok. 28 lat i córką Henelą, która miała 18 lat⁵. Garbulińscy udzielili im



Andrzej Garbuliński



Kazimiera Garbulińska z domu Malinowska

Fot. ze zbiorów M. Buś

² S. Cynarski, J. Garbacik (red.), *Jasło oskarża. Zbrodnie hitlerowskie w regionie jasielskim 1939–1945*, Warszawa 1973, s. 165, 168–169, 224, 238.

³ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Rzeszowie, Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Rzeszowie, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Kazimierzy Garbulińskiej z 6 II 1974 r., k. 128.

⁴ AIPN Rz, OKBZH Rzeszów, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Mariana Garbulińskiego z 11 II 1974 r., k. 130–131.

⁵ Marian Garbuliński w protokole przesłuchania podaje, że rodzina Elfenbeinów po ucieczce z obozu pracy w Płaszowie w 1940 r. powróciła do Czeremnej. Oboz pracy w Płaszowie powstał w grudniu 1942 r. (zob. T. Wroński, *Kronika okupowanego Krakowa*, Kraków 1974, s. 242–244). Ustalenie, skąd

schronienia⁶. Stanisław Garbuliński, mający wtedy 6 lat, nie potrafi dokładnie umiejscowić w czasie tego faktu: „Daty dokładnie nie pamiętam, ale było to już w tym czasie, gdy Niemcy utworzyli getta dla Żydów. Do naszego mieszkania przyszła Żydówka ze synem i córką. Przyszli do nas w nocy i prosili ojca, aby dał im trochę żywności. Ojciec dał im żywność”. Początkowo przybysze chcieli się tylko ogrzać, ale później zaczęli prosić Andrzeja Garbulińskiego, żeby dał im schronienie, ponieważ uważali, że miejsce to jest dosyć bezpieczne. Zabudowania Garbulińskich były położone z dala od głównej drogi, w dodatku dojazd do nich był utrudniony, co powodowało, że Niemcy w tej części wsi pokazywali się rzadko. Elfenbeinowie nabrali przekonania, że nic im w tym miejscu nie grozi. Początkowo Andrzej Garbuliński obawiał się udzielić pomocy żydowskiej rodzinie, jednak w końcu się zgodził. Hanela przeważnie przebywała w mieszkaniu Garbulińskich, natomiast jej matka Sara i brat Major urządzili sobie kryjówkę w stajni. W dzień ukrywali się w zabudowaniach gospodarczych, a w nocy gdzieś wychodzili, nie mówiąc dokąd. Przez cały okres ukrywania żydowskiej rodziny, Andrzej w miarę możliwości dostarczał jej pożywienie, jednak w niewystarczającej ilości. Elfenbeinowie na własną rękę starali się o żywność we wsi, dlatego nocami opuszczali gospodarstwo. Pochodzili z Czeremnej, znali więc wielu okolicznych mieszkańców, u których zdobywali jedzenie⁷.

W pomoc żydowskiej rodzinie był także zaangażowany Stanisław Owca, którego gospodarstwo znajdowało się w sąsiedniej miejscowości Święcany i było oddalone od zabudowań Garbulińskich ok. 1,5 km. Elfenbeinowie u Owcy ukrywali się czasowo, może kilka dni, jednak szczegóły tej pomocy są mało znane. Według Andrzeja Rozmusa, Żydzi w zamian za pomoc i przechowanie obiecali Garbulińskim dwie morgi pola, które mieli im przekazać po wojnie⁸.

rodzina żydowska przybyła do Garbulińskich, jest dziś niemożliwe (AIPN Rz, OKBZH Rzeszów, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Mariana Garbulińskiego z 11 II 1974 r., k. 131).

⁶ AIPN Rz, OKBZH Rzeszów, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Stanisława Garbulińskiego z 23 XII 1976 r., k. 61, oraz Kazimierzy Garbulińskiej z 6 II 1974 r., k. 128.

⁷ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Stanisława Garbulińskiego z 23 XII 1976 r., k. 61.

⁸ AIPN Rz, OKBZH Rzeszów, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Andrzeja Rozmusa z 25 II 1969 r., k. 23.



Fot. z AIPN w Rzeszowie

Ogólny widok zabudowań należących do rodziny Garbulińskich, w których ukrywała się rodzina żydowska Elfenbeinów. Stan z 1970 r.



Fot. z AIPN w Rzeszowie

Miejsce pochowania rodziny żydowskiej Elfenbeinów. Stan z 1970 r.

Helena Zajac z domu Garbulińska, która miała wówczas 13 lat, wspomina: „Rodzice dla ukrywających się Żydów zrobili schowek pod stodołą, zaś w ciągu dnia przeważnie przebywali [oni] na stajni lub w oborze. W nocy wychodzili na pole na świeże powietrze”.

Tragedia ukrywanych i ukrywających

Około godz. 5 rano 4 kwietnia 1943 r. do domu Garbulińskich przybyli żandarmi z Jasła wraz z policjantami granatowymi z Szerzyn⁹. Z oświadczeń mieszkańców wsi Szerzyny wynika, że u rolnika Feliksa Filusa w pobliskich Święcanach ukrywał się dwunastoletni żydowski chłopiec, który został aresztowany przez Niemców. Młody Żyd podczas przesłuchania miał wydać Niemcom, że Garbulińscy i Owca ukrywają u siebie Żydów, stąd w niedługim czasie w Czermej zjawili się żołnierze¹⁰. Andrzej Garbuliński, gdy spostrzegł jadące w kierunku jego gospodarstwa samochody niemieckie, dał znać ukrywającym się, aby uciekali. Elfenbeinowie szybko wyszli z kryjówki i uciekali przez pola w stronę lasu. Niemcy,



Stanisław Owca

Fot. ze zbiorów T. Owcy

widząc to, zaczęli za nimi strzelać, w wyniku czego wszyscy ścigani zginęli¹¹. Sara Elfenbein została zastrzelona w odległości ok. 500 m od zabudowań. Jej syn Major uciekł najdalej, bo ponad kilometr, lecz został zastrzelony na polu. Natomiast Henele została postrzelona w twarz w odległości ok. 300 m od miejsca, w którym się ukrywała¹². Niemcy kazali Andrzejowi Garbulińskiemu przynieść ranną Henele do stajni. Tam rozebrali ją, a jeden z Niemców dobił ją kolbą karabinu. W akcji uczestniczyło około pięciu Niemców, wśród których był żandarm Hans Kosma z posterunku w Jasle mówiący po polsku. Policjanci granatowi, którzy towarzyszyli Niemcom, pochodzili z Szerzyn, a wśród nich był komendant posterunku Franciszek Kolarczyk, Mikołaj Leszega pochodzący z Gorlic oraz Kapustka i Stafin pochodzący z Ołpin¹³. Strzały, które dochodziły z zewnątrz, obudziły domowników¹⁴. Niemcy przeszukali mieszkanie oraz zabudowania gospodarcze. W stajni

znaleźli kryjówkę Żydów, wówczas zaarrestowali Andrzeja i Władysława Garbulińskich¹⁵. Niemcy polecili dwóm policjantom, Mikołajowi Leszedze i Kapustce, pójść po Stanisława Owcę. Ten, gdy ich zobaczył, uznał, że mu nic nie grozi, ponieważ ich znał, i nie zdecydował się na ucieczkę. Policjanci jednak aresztowali Owcę i doprowadzili go do gospodarstwa

⁹ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Heleny Zajac z 18 II 1974 r., k. 148, oraz Kazimierzy Garbulińskiej z 6 II 1974 r., k. 128.

¹⁰ *Ibidem*, Sprawozdanie OKBZH w Rzeszowie z czynności dochodzeniowo-śledczych w sprawie rozstrzelania w kwietniu 1944 r. w Szerzynch, pow. jasielskiego, Andrzeja Garbulińskiego, Władysława Garbulińskiego i Stanisława Owcy, oraz rodziny żydowskiej Elfenbeinów przez funkcjonariuszy żandarmerii niemieckiej z 30 IX 1969 r., k. 31; Protokół przesłuchania świadka Józefa Patli z 27 III 1969 r., k. 25.

¹¹ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Heleny Zajac z 18 II 1974 r., k. 148.

¹² *Ibidem*, Protokół przesłuchania Mariana Garbulińskiego z 11 II 1974 r., k. 130–131.

¹³ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Andrzeja Rozmusa z 25 II 1969 r., k. 23.

¹⁴ AIPN Rz, OKBZH Rzeszów, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Mariana Garbulińskiego z 11 II 1974 r., k. 131–132.

¹⁵ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Stanisława Garbulińskiego z 23 XII 1976 r., k. 61.

Garbulińskich¹⁶. Zwłoki zastrzelonych Żydów, matki i syna, zostały zwiezione furmanką na podwórze Garbulińskich. Niemcy wezwali ze wsi Władysława Szutkowskiego, Józefa Patkę oraz mężczyznę o nieznanym nazwisku, który pochodził prawdopodobnie z Szerzyn. Kazali wezwanym ludziom wykopać dół obok stodoły, pod lipą. Tam złożono ciała zamordowanych Żydów i zasypano mogiłę. Niemcy aresztowali oprócz Andrzeja Garbulińskiego i jego najstarszego syna Władysława także przyprowadzonego Stanisława Owcę. Wszystkich trzech wywieźli do więzienia w Jaśle¹⁷.

Dzięki wstawiennictwu komendanta granatowej policji z Szerzyn, Kazimiera Garbulińska i pozostałe dzieci ocalały. Policjant wyjaśnił Niemcom, że Kazimiera i jej dzieci nie wiedziały o Żydach i są niewinni, dzięki czemu żołnierze nie spalili domu i zostawili ich w spokoju¹⁸. Dwa miesiące po aresztowaniu ukazały się obwieszczenia w Skołyszynie i Siepietnicy, na których wymieniono Stanisława Owcę i Andrzeja Garbulińskiego, którzy zostali rozstrzelani w Warzycach za działalność partyzancką¹⁹. Natomiast Władysław Garbuliński z więzienia w Jaśle został wywieziony do więzienia na Montelupich w Krakowie, skąd napisał pierwszy, a zarazem ostatni list do rodziny. W liście tym prosił, żeby mu przysłano cebulę i sól. Władysław został zamordowany w nieznanym miejscu latem 1943 r.²⁰

Po zakończeniu wojny do Czermnej przyjechał nieznaną członkiem zamordowanej rodziny żydowskiej. Wtedy ekshumowano zwłoki pomordowanych, przewieziono do Biecza i tam pochowano na cmentarzu żydowskim²¹.

Sprawiedliwi

W latach dziewięćdziesiątych Marian Garbuliński rozpoczął starania o przyznanie tytułu i medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, który 21 maja 1997 r. nadano Andrzejowi, Władysławowi i Marianowi Garbulińskim oraz Stanisławowi Owcy. Uroczystość, podczas której Marian Garbuliński odebrał medal i dyplom Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, została zorganizowana w czerwcu 1998 r. we Wrocławiu w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego²².

¹⁶ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Andrzeja Rozmusa z 25 II 1969 r., k. 23.

¹⁷ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Mariana Garbulińskiego z 11 II 1974 r., k. 131–132.

¹⁸ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Kazimiery Garbulińskiej z 6 II 1974 r., k. 128.

¹⁹ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Józefa Patli z 27 II 1969 r., k. 25. Obecnie nie sposób ustalić daty dziennej zamordowania Stanisława Owcy i Andrzeja Garbulińskiego, ponieważ żaden ze świadków nie widział egzekucji. Stanisław Garbuliński wspomina, że od niejakiego Szymańskiego, który w tym czasie mieszkał obok stacji kolejowej w Skołyszynie obok Jasła, dowiedział się, że Andrzej Garbuliński i Stanisław Owca zostali zabrani z więzienia i rozstrzelani w Wielki Piątek rano, tj. 4 IV 1943 r. Natomiast Kazimiera Garbulińska, Marian Garbuliński i żona Stanisława Owcy Zofia twierdzą, że egzekucja nastąpiła później.

²⁰ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Mariana Garbulińskiego z 11 II 1974 r., k. 132, oraz Stanisława Garbulińskiego z 23 XII 1976 r., k. 61.

²¹ AIPN Rz, OKBZH Rzeszów, sygn. II Ds. 70/70. Protokół przesłuchania Stanisława Garbulińskiego z 23 XII 1976 r., k. 62.

²² I. Gutman, *The Encyclopedia of the Righteous Among the Nations. Rescuers of Jews during the Holocaust, Poland*, t. 1, Jerusalem 2004, s. 227; Relacja Mariana Garbulińskiego, luty 2009 r.

„NIE ZNOSZĘ, KIEDY KRZYWDZĄ NIEWINNYCH LUDZI”

Do 1942 r. na Wschodnim Górnym Śląsku (*Ost-Oberschlesien*)¹ – zwłaszcza w Zagłębiu Dąbrowskim (Będzinie, Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej) i Zagłębiu Chrzanowsko-Jaworznickim – żyło ok. 100 tys. Żydów. Pierwsze deportacje Żydów z tego regionu do KL Auschwitz przeprowadzono w maju i sierpniu 1942 r. Rok później Niemcy przystąpili do likwidacji tamtejszych gett. Wtedy też pojawiła się pilna konieczność ratowania wielu Żydów i szukania dla nich schronienia po aryjskiej stronie.

W tym czasie w Zagłębiu Dąbrowskim działały cztery żydowskie organizacje młodzieżowe: Haszomer Hacair, Hanoar Hacijoni, Dror i Gordonia, zrzeszające ponad 1,5 tys. osób. Jesienią 1942 r. organizacje te (wtedy należały już do zagłębiowskiej Żydowskiej Organizacji Bojowej) podjęły działania na rzecz zorganizowania przerzutu młodzieży żydowskiej do Palestyny – przez Słowację i Węgry.

W sierpniu 1943 r. Niemcy „zlikwidowali” getta w Będzinie, Sosnowcu i Zawierciu, wywożąc Żydów do KL Auschwitz. Akcję tę przeżyli ci aktywiści organizacji młodzieżowych, którzy schronili się w przygotowanych wcześniej bunkrach lub w różnych miejscach po aryjskiej stronie. Właśnie oni postanowili uratować ukrywającą się jeszcze w bunkrach na terenie gett prawie dwutysięczną grupę Żydów, zatrudnionych przez Niemców do sprzątania gett, oraz kilkusetosobową grupę Żydów, zatrudnionych w największym i „najbezpieczniejszym” dla Żydów szopie (zakładzie) Alfreda Rosnera². Kierownikami akcji, nazywanej przez zagłębiowski ŻOB „ratunkową”, byli: Fela Kac, Schmuel Ron i Kasia Szancer.

Przed wszystkim należało przerzucić z gett na aryjską stronę ludzi, którzy przebywali jeszcze w bunkrach. Z relacji żydowskich działaczy ruchu oporu wiadomo, że zadania tego podjął się **Roman Kołodziej**, dezerterski z wojska niemieckiego i mieszkaniec śląskich Michałkowic. Doprowadzał on Żydów do punktów pośrednich, czyli kryjówek, mieszkań lub

¹ Wschodni Górny Śląsk (niem. Ost-Oberschlesien) to nazwa używana przez władze niemieckie do określenia wschodniej części ziem tworzących rejencję katowicką – jednostkę administracyjną prowincji śląskiej (od 1941 r. – prowincji górnośląskiej), powołanej dekretem Hitlera w październiku 1939 r. Wschodni Górny Śląsk tworzyły: przedwojenne woj. śląskie oraz Zagłębie Dąbrowskie, należące przed II wojną światową do woj. kieleckiego, a także Zagłębie Jaworznicko-Chrzanowskie oraz Olkusz, będące w okresie międzywojennym częścią woj. krakowskiego.

² Alfred Rosner kierował zakładem (szopem) krawieckim w Będzinie. Ocaleni z Holocaustu, których on zatrudniał u siebie, wystawili mu bardzo dobrą opinię, dowodząc, że ochronił setki Żydów z Zagłębia przed wywózkami do obozów pracy i obozów zagłady. Szop ten przetrwał likwidację gett zagłębiowskich i funkcjonował do połowy 1944 r. W 1995 r. Yad Vashem uhonorował go medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

bunkrów znajdujących się głównie w Michałkowicach i Katowicach (mieszkanie Zofii Klemens³). Kołodziej zginął 2 stycznia 1944 r. podczas kolejnej akcji wyprowadzania Żydów z getta będzińskiego⁴.

Także **Nowakowie**, których dom znajdował się bardzo blisko getta będzińskiego, brali udział w akcji ratowania Żydów. Żydowski uciekinierzy przebywali u nich zazwyczaj przez kilka dni, a następnie z pomocą kolegów o „aryjskim wyglądzie” docierali do kolejnych kryjówek⁵.

Uciekinierzy z gett zagłębiowskich trafiali przeważnie do domu rodziny **Kobylców** w Michałkowicach, której członkowie nie podpisali volkslisty i tym samym znaleźli się na liście prześladowanych. Żydowskie organizacje młodzieżowe nawiązały kontakt z Kobylcami jesienią 1942 r. poprzez Mieczysława Kobylca (ur. 19 maja 1924 r.), młodszego syna Piotra i Karoliny Kobylców, który wcześniej, w obawie przed wysyłką do obozu koncentracyjnego, sam ukrywał się w Będzinie w mieszkaniu Żyda o imieniu Meir⁶, a później – w pierwszej połowie 1943 r. – przechowywał Żydów we własnym domu. Kiedy rodzice dowiedzieli się o tym, postanowili zbudować lepszą kryjówkę. Piotr Kobylec, wykorzystując swoje doświadczenie zawodowe z kopalni, zbudował bunkier w kuchni pod podłogą. Wejście, starannie zamaskowane, znajdowało się pod łóżkiem. Bunkier przeznaczony był dla kilkunastu ludzi, ale czasami przebywało w nim nawet trzydzieści osób (w sumie od jesieni 1943 r. do stycznia 1944 r. w mieszkaniu Kobylców znalazło schronienie około siedemdziesięciu Żydów). Żywność dostarczali najmłodszy synowie – Alojzy i Wiktor, którzy rowerami jeździli do Katowic i tam zaopatrywali się w najpotrzebniejsze produkty. W akcji pomocy uczestniczyła także córka Klara Banasik, która oddała do dyspozycji ukrywających się swoje mieszkanie w Dąbrówce Małej. Sama z dwójką małych dzieci (jej mąż w tym czasie służył w Wehrmachcie) przeniosła się do Michałkowic.

Przez dłuższy czas w mieszkaniu Kobylców ukrywał się wspomniany już Meir, który przygotowywał odpowiednie dokumenty dla osób opuszczających kryjówkę. Był on również głównym organizatorem wszystkich akcji przerzutu młodych Żydów na Słowację, a stamtąd – za pośrednictwem żydowskiej organizacji z Budapesztu – na Węgry i do Turcji.

Na Słowację przeprowadzali Żydów przez zieloną granicę trzej przewodnicy: Roman Brzuchański z Bielska-Białej, Franciszek Krzesak, pracownik schroniska na Pilsku, i Wincenty Basik z Korbielowa⁷. Współpracował z nimi Mieczysław Kobylec, który zatrudnił się jako muzyk w restauracji w Wilkowicach-Bystrej. Przewodnicy odbierali swoich „podopiecznych” w Katowicach, Bielsku, Żywcu lub Jeleśni i przeprowadzali przez granicę na Pilsku. Od września 1943 r. do stycznia 1944 r. przeszmuglowano w ten sposób ok. 85 osób. Ostatnią, już nieudaną, akcję przeprowadzono 10 stycznia 1944 r. Tego dnia Brzuchański odebrał na dworcu w Bielsku pięć osób i Kobylca. Podczas przesiadki w Żywcu wszyscy zostali

³ Zofia Klemens została aresztowana przez gestapo za swoją działalność i wysłana do obozu koncentracyjnego. W 1964 r. została odznaczona medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

⁴ Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, Relacje, sygn. 301/3484, Relacja Feli Katz, k. 4.

⁵ Archiwum Yad Vashem, O.3/3511, Relacja Miriam Bar Am Lom z d. Szancer, k. 25.

⁶ W relacjach świadków i ocalonych pojawia się przy tym imieniu nazwisko Hochbaum (zob. relacja Feli Katz) lub Schuman (zob. Józef Goldkorn, *Im Kampfum Überleben*, Konstanz 1996, s. 24).

⁷ AIPN, Akta b. OKBZpNP, sygn. 32/ 67, Zbrodnie dokonane przez funkcjonariusza gestapo Kurta Müllera na terenie Bielska i Żywca, Protokół przesłuchania Franciszka Krzesaka, 8 XI 1971 r.

zatrzymani przez gestapo⁸. I tylko oni zostali wylegitymowani. Trzy dni wcześniej gestapowcy zatrzymali dziesięciu Żydów, których ukrywała u siebie wspomniana wcześniej Zofia Klemens z Katowic⁹. Przewodnicy zostali zwolnieni po kilku dniach, natomiast Mieczysław Kobylca wywieziono do KL Auschwitz.

Tego samego dnia aresztowano także innych członków jego rodziny. Zdarzenie to tak opisała Karolina Kobylec: „Było to w piątek, w dwa dni po wyjeździe ostatniego transportu. W bunkrze pozostał tylko Meir. Przyszedł jakiś nieznamy mężczyzna, mówił, że przyjechał z Wiednia. To był wysłannik ich organizacji, miał nasz adres. Meir był powiadomiony o tym i spodziewał się go. Zauważyłam, że przybysz był zdenerwowany. W ostatniej chwili spostrzegł, że go śledzą. Wyrzłam przez okno; widzę, że cały dom jest okrażony. Do mieszkania wpadli gestapowcy. Skamieniałam, ze strachu nie mogłam słowa z siebie wydobyć. Byłam sama w domu, mąż i moi dwaj najmłodszy byli w pracy na kopalni. Zaraz przystąpili do rewizji. Jak to wyglądało! Zerwali podłogi, połamali meble, wszystko zniszczyli. Mnie bili straszliwie, wrzeszczeli, żebym im powiedziała, gdzie ukryłam pozostałych Żydów. Straszliwi, że wszystkich moich synów już aresztowali, zaś męża nawet rozstrzelali”¹⁰.

Wiktor i Alojzy zostali zatrzymani przez gestapo tego samego dnia. Zatrzymano również Piotra Kobylca. Wszyscy zostali przewiezieni do siedziby gestapo w Katowicach. Po kilku dniach Piotra Kobylca wywieziono do KL Auschwitz, podobnie jak jego syna Mieczysława¹¹.

Piotr, Karolina, Mieczysław, Alojzy, Wiktor i Klara zostali odznaczeni medalami Sprawiedliwy wśród Narodów Świata w 1964 r. (Wiktor Kobylec – w 1992 r.) dzięki staraniom Żydów, których uratowali.



Niemiecki plakat propagandowy
(fot. z archiwum ks. R. Soszyńskiego)

⁸ AP Kat, Fotokopie akt gestapo, sygn. Sprawozdanie dzienne nr 3/I z 14 I 1944 r.

⁹ W latach siedemdziesiątych w ramach sprawy prowadzonej przez OKBZpNP przeciwko funkcjonariuszowi gestapo w Bielsku (zob. przypis 7) pojawił się wątek szmugłu Żydów przez granicę słowacką. Zeznawali wówczas przewodnicy tych wypraw: Brzuchalski i Krzesak. Obaj wskazali na Romana Czarnotę – gajowego w Korbelowie – jako donoszącego do gestapo. Inną wersję zdarzeń przedstawia Józef Goldkorn, *Azyl, [w:] Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945*, oprac. W. Bartoszewski, Z. Lewinówna, wyd. III, Warszawa 2007, s. 321, posądzając o zdradę Romana Brzuchańskiego. Zob. też J. Goldkorn, *Im Kampf...*, s. 27–28.

¹⁰ J. Goldkorn, *Azyl...*, s. 320–321.

¹¹ Mieczysław Kobylec został później (brak daty) przeniesiony do KL Gross-Rosen, gdzie przebywał do 5 V 1945 r., za: I. Pająk, *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia i Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz*, t. 2, Katowice 1998, s. 473.

„CZARNY MECENAS”

„Jerzy Zakulski, zamieszkały swego czasu razem z ojcem śp. Ludwikiem w Krakowie Pogórze, ul. św. Kingi 7, dał mi schronienie w swoim mieszkaniu, kiedy się wymknęła z Getta w nocy razem z trzyletnim dzieckiem, na przemian z rodziną Janów Bahrów. Po pewnym czasie wystarali się u swej krewnej Zofii Strycharskiej o bezpieczne locum, gdzie wraz z dzieckiem w Myślenicach doczekałam szczęśliwie końca wojny. To zeznanie składam pod przysięgą, bo chcę odwdziżyć się, bo oni nam uratowali życie z narażeniem własnego.

(–) Maria Błęzyńska (dawniej Bernstein)

Poświadczam, że osobiście mi znana ob. Maria Błęzyńska (Bernstein) zamieszkała w Krakowie, ul. Długa nr 32 – powyższy dokument wobec mnie własnoręcznie podpisała.

W Krakowie, dane dwudziestego trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

(–) Emil Stąpor notariusz”¹

Cytowany dokument dotyczy jednego z wielu zapomnianych dziś Polaków ratujących Żydów, który nie miał szansy na odebranie należnego mu medalu. Był nim młody krakowski adwokat, Jerzy Zakulski. Świadcstwo to, odnalezione przypadkowo w czasie kwerendy archiwalnej, jest dowodem wdzięczności jednej z ocalonych, tym cenniejszym, że powstało w czasie, gdy jej wybawca sam musiał walczyć o życie przed komunistycznym trybunałem.

Zakulski był od przed wojny działaczem Obozu Narodowo-Radykalnego, formacji politycznej, która obecnie postrzegana jest jako skrajnie antyżydowska. Okazuje się jednak, że ani jego polityczna aktywność, ani przekonania nie przeszkodziły mu w niesieniu pomocy Żydom w czasach Holocaustu.

Jerzy Zakulski urodził się 28 czerwca 1911 r. w Wadowicach w rodzinie nauczycielskiej – ojciec był profesorem miejscowego gimnazjum. Po maturze w 1929 r. młody Jurek rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wówczas związał się z nurtem narodowej prawicy, działał w Związku Akademickim „Młodzież Wszechpolska”, młodzieżówce Stronnictwa Narodowego. Był też korporantem, należał do grona założycieli narodowej Korporacji Akademickiej „Palestra”, skupiającej studentów Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1934 r., po wyodrębnieniu się niezależnego Obozu Narodowo-Radykalnego, opuścił szeregi MW. Nie ma jednak jednoznacznych dowodów na bezpośrednią przynależność Zakulskiego do ONR w tym okresie – krakowska struktura miała charakter kadrowy, a rychłe rozwiązanie obozu przez władze sanacyjne położyło kres jej jawnej działalności. Niewątpliwie jednak był z tą formacją związany środowiskowo, zwłaszcza poprzez przynależność do „Palestry”, która była nieformalną ekspozyturą i kuźnią kadr dla działających tajnie narodowych radykałów. W drugiej połowie lat trzydziestych (prawdopodobnie ok. 1935 r.) został wprowadzony do Organizacji Polskiej, tajnej, wielostopniowej i wewnętrznie zakonspirowanej struktury kierowniczej nielegalnego ONR („ABC”). Ówczesnym jej

¹ IPN BU 944/495, s. 169.

kierownikiem na terenie Krakowa był jego korporacyjny kolega, mecenas Juliusz Sas-Wiślicki. W 1936 r. Zakulski ukończył studia, a dwa lata później zdał egzamin adwokacki, uzyskując prawo samodzielnej praktyki jako obrońca sądowy.

Przed wybuchem wojny Zakulski ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy, został zmobilizowany w stopniu ppor. WP, walczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Wraz z nastaniem okupacji niemieckiej nawiązał przedwojenne kontakty. Pod pseudonimem „Borejsza” odnowił swoją działalność w konspiracyjnych strukturach Organizacji Polskiej. Początkowo należał do jej pionu zbrojnego – Organizacji Wojskowej Związek Jaszczurczy. Jednak w 1942 r., po jej wejściu w skład Narodowych Sił Zbrojnych, został przeniesiony do pionu cywilnego – Służby Cywilnej Narodu. Jako kierownik krakowskiej struktury SCN nadzorował pracę nad tworzeniem podziemnej administracji i opracowywaniem planów powojennej odbudowy kraju. Wszedł również w skład tajnej Okręgowej Rady Adwokackiej w Krakowie. W ramach OP znalazło się duże grono prawników, którzy utworzyli własną strukturę – Związek Odbudowy Prawa, prowadzący szkolenia dla młodej kadry i prace koncepcyjne nad powojenną reformą prawa. W latach 1943–1944 Zakulski pełnił również funkcję kierownika Wydziału Kontrwywiadowczego Komendy Okręgu Kraków NSZ.

To właśnie w tamtym czasie Zakulski pośpieszył z pomocą Marii Bernstein/Błęszyńskiej i jej córce. Nie znamy dokładnych okoliczności, wiadomo jedynie, że ukrywał je na przemian z państwem Bahr (rodziną żony), a następnie wyszukał im bezpieczne schronienie u swojej krewnej, Zofii Strycharskiej w Myślenicach pod Krakowem. Nie wiadomo, czy znał Błęszyńską sprzed wojny i czy może takich osób jak ona było więcej, czy był to jednostkowy akt pomocy. Takich informacji nie ma w powojennych aktach śledczych UB i z procesu sądowego, na które to dokumenty skazani są historycy próbujący obecnie badać tę sprawę.

Po zajęciu Krakowa przez Armię Czerwoną w styczniu 1945 r., wobec trwających aresztowań prowadzonych przez NKWD i UB, dotychczasowe struktury konspiracyjne zaprzestały działalności lub uległy rozwiązaniu. W tym czasie Zakulski współpracował ze strukturami podziemnymi tworzonej na bazie AK antykomunistycznej organizacji „Nie”, a po jej rozwiązaniu z Delegaturą Sił Zbrojnych na Kraj. W maju 1945 r., po aresztowaniu dotychczasowego kierownika OP na Kraków, jego obowiązki, z nominacji Gustawa Potworowskiego („Zycha”, „Pociechy”), przejął Jerzy Zakulski, posługujący się wówczas pseudonimami „Rudolf” i „Czarny Mecenas”. Zakulski zaczął zbierać rozproszonych członków OP z terenu Krakowa. Po kilku miesiącach udało mu się odtworzyć szkieletową strukturę OP, funkcjonującą niezależnie od struktur wojskowych NSZ, również podległych warszawskiej centrali OP. Doprowadził także do powstania związanej z OP organizacji młodzieżowej, skupiającej uczniów i studentów krakowskich szkół wyższych. Organizowane przez Zakulskiego podziemie, oprócz działalności politycznej, zbierało informacje o sytuacji w terenie oraz próbowało przenikać do struktur władzy, zwłaszcza Milicji Obywatelskiej i oficjalnych partii politycznych. Jednym z poważniejszych sukcesów powstałej siatki było wprowadzenie zaprzysiężonego członka OP, Władysława Dybowskiego „Konrada Przemyskiego”, do kierownictwa krakowskiej PPR. Po pewnym czasie został on przeniesiony na stanowisko zastępcy burmistrza Legnicy, gdzie znajdowała się centrala Armii Sowieckiej w Polsce. Dzięki Dybowskiemu organizacja docierała do informacji pochodzących od osób z otoczenia marszałka Rokossowskiego. Dla lepszego wykorzystania zdobytych wiadomości Zakulski, dysponując kontaktami w środowisku byłych członków DSZ, zacieśnił współpracę z wywiadem organizacji Wolność i Niezawisłość (kontakt przez łączniczkę Emilię Malesę, „Marcysię”). Wynikiem tego było obsadzenie działacza OP, Konrada Dybowskiego („Zeta”, syna Wła-

dystawa), na stanowisku kierownika wywiadu WiN w Krakowie. Tą drogą przekazywano bezpośrednio do centrali WiN liczne raporty dotyczące sytuacji w południowej Polsce, m.in. działalności UB i zwalczania partyzantki niepodległościowej, problematyki gospodarczej, obecności Armii Sowieckiej czy konfliktów w legalnych organizacjach społecznych i partiach politycznych.

Stworzona przez Zakulskiego struktura była starannie zakonspirowana i na tyle hermetyczna, że działała bez wpadki przez blisko rok. Jednak w połowie 1946 r. na trop OP w Krakowie naprowadził UB Kazimierz Zaborski vel Wójcik „Łamigłowa”. Należał on do najgroźniejszych agentów i prowokatorów, jakich bezpieka wykorzystywała do walki ze strukturami niepodległościowymi w południowej Polsce (m.in. rozpracował strukturę NSZ na Śląsku). Kilka miesięcy później, 23 października 1946 r., Zakulski został aresztowany przez UB. W tym samym czasie w więzieniach znalazła się także większość jego współpracowników. Wszyscy przeszli ciężkie śledztwo, ciągnące się do początku 1947 r. Wśród oficerów śledczych był m.in. osławiony oprawca UB, Adam Humer.

Przedstawiony Zakulskiemu na początku marca akt oskarżenia zatwierdził naczelnik wydziału śledczego MBP, płk Józef Różański, a z ramienia prokuratury sprawę nadzorował podprokurator Maksymilian Lityński. Głównym zarzutem było organizowanie i kierowanie od 1945 r. siatką szpiegowską – za co groził wyrok śmierci bez możliwości zastosowania złagodzenia kary na mocy ustawy amnestyjnej. W niektórych partiach dokument ten brzmiał nieco groteskowo, gdyż kolejnym z zarzutów była „przynależność w okresie wojny do nielegalnej organizacji OP” – należy przypomnieć, że w okresie okupacji niemieckiej jakakolwiek działalność podziemna miała charakter nielegalny w świetle prawa III Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa. Nie wiadomo, dlaczego po wojnie komunistyczne władze tak upierały się, żeby karać ludzi za walkę z Niemcami.

Rozprawa przeciwko Zakulskiemu rozpoczęła się 29 maja 1947 r. przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie. Wraz z nim na ławie oskarżonych zasiadł działacz OP z Warszawy, mec. Witold Bayer, oraz współpracownicy Zakulskiego z Krakowa: Konrad Dybowski, Władysław Dybowski, Jerzy Sysło, Mieczysław Wąs, Stanisław Morawski i Roman Załucki. Rozprawie przewodniczył płk Jan Hryckowian (który zastąpił jako



jeden z najchętniej szafujących karą śmierci sędziów stalinowskich), a skład uzupełniali mjr Roman Burczak-Abramowicz i kpt. Tadeusz Przesmycki. Oskarżenie reprezentował mjr Mieczysław Dytry, podprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Wyrok ogłoszono 16 czerwca 1947 r. – Jerzy Zakulski został skazany na śmierć. Najwyższy Sąd Wojskowy decyzją z 25 lipca 1947 r. utrzymał wyrok w mocy.

Prośba o łaskę skierowana do prezydenta KRN, Bolesława Bieruta, mimo wstawiennictwa rodziny i przyjaciół, nie została uwzględniona. Wśród osób, które starały się ratować Zakulskiego, była także zawdzięczająca mu życie Maria Błęszyńska, autorka cytowanego we wstępie oświadczenia skierowanego do sądu. Jednak ani sąd, ani Bierut nie wzięli tego dokumentu pod uwagę. Jerzy Zakulski został rozstrzelany w Warszawie 31 lipca 1947 r. Osierocił półroczne dziecko, które urodziło się już po jego aresztowaniu.

* * *

Sprawa Jerzego Zakulskiego nie była jedynym przypadkiem pomocy udzielanej po wojnie przez osoby pochodzenia żydowskiego działaczom podziemia narodowego, skazywanym na śmierć przez sądy komunistyczne. Znamy kilka sytuacji, gdy pomoc ta przyczyniła się do uratowania życia skazanym na śmierć. Tak było np. w przypadku przedwojennego działacza ONR, wysokiego rangą członka Organizacji Polskiej i szefa Biura Informacji i Propagandy Dowództwa NSZ – Mirosława Ostromięckiego, skazanego na śmierć w 1946 r. Ostromięcki został ułaskawiony przez Bolesława Bieruta m.in. dzięki wstawiennictwu Juliana Tuwima i Anieli Steinsbergowej, która zaświadczyła, że Ostromięcki ukrywał jej bratanicę. Gdy w 1945 r. UB aresztowało Jerzego Regulskiego (członka NSZ i OP, obecnie profesora i specjalisty od reformy administracyjnej), pomógł mu Natan Kirwasser, ukrywany w czasie wojny w majątku państwa Regulskich. Podobnie było w przypadku działacza ONR – Edwarda Kemnitza, w czasie wojny żołnierza NSZ i członka Rady Pomocy Żydom „Żegota”, któremu w 1951 r., na podstawie relacji jednego z uratowanych Żydów – Leona Hercberga, obniżono wyrok z dożywocia do dziesięciu lat pozbawienia wolności. W 1983 r. Kemnitz otrzymał medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. To samo wyróżnienie wręczono po latach także Sławomirowi Modzelewskiemu („Lancowi”), podchorążemu NSZ z Warszawy i działaczowi OP, który również ukrywał Żydów. Takich przypadków było zapewne jeszcze o wiele więcej.

Bibliografia

Akta procesowe W. Bayera i towarzyszy: AIPN 944/492; 944/493; 944/494; 944/495.

Polskie Korporacje Akademickie, zes. 13 (Biuletyn na semestr zimowy 1996/1997), Warszawa 1997.

Informator o osobach skazanych za szpiegostwo w latach 1944–1984 (reprint z wydania Biura „C” MSW), Lublin 1994.

D. Węgrzyn, *Aparat bezpieczeństwa państwa wobec środowisk narodowych na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1945–1956*, Katowice–Kraków 2007.

J. Żaryn, *Elity obozu narodowego wobec zagłady Żydów*, [w:] *Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką 1939–1945. Studia i materiały*, Warszawa 2006.

S. Bojemski, *Sprawiedliwi wśród narodowców Polski*, „Fronda”, 25/26, 2001.

Indeks represjonowanych w PRL z powodów politycznych, http://www.ipn.gov.pl/ftp/pdf/represjonowani/Zakulski_Jerzy.pdf.

„A GDYBY TO BYŁO NASZE DZIECKO?”

Gdy Stella Zylbersztajn miała piętnaście lat, trafiła do getta w Łosicach, gdzie, jak mówi, została „antysemitką”. Uciekła w dniu likwidacji getta i przez dwa lata ukrywała się u 25 polskich rodzin. Po wojnie, dzięki jej staraniom, 23 Polaków otrzymało medale Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

– Rodzice nauczyli mnie rozumieć świat, ale nie nauczyli kochać – mówi Stella Zylbersztajn. Wewnętrzny głód wiedzy i głębokiej wiary był stale obecny w jej życiu. Rodzice Stelli byli ateistami. Ojciec sympatyzował z socjalistyczną partią Bund i wierzył, że w Rosji Stalina jest równość, sprawiedliwość i dobrobyt.

Rodzice wysłali córkę do najlepszej w Łodzi Szkoły Powszechnej im. Elizy Orzeszkowej – polskiej szkoły dla żydowskich dzieci. Nawet w święto Jom Kippur ojciec przyprowadził ją na lekcje. Nikt inny, poza Stellą, nie przyszedł.

– Czułam się Polką – mówi o latach nauki w szkole powszechnej. Była zaskoczona, gdy na łódzkiej ulicy starszy chłopak napadł ją słowami „parszywa Żydówka”. Odgryzła się ostro świetną polszczyzną, co wprawiło napastnika w konsternację.

Wychowywana przez ojca w szacunku do prawdy, pragnęła być do niego podobna. Czytając Konstytucję RP, zdziwiła się zapisem, że prezydentem Polski może być każdy obywatel bez względu na płeć i wyznanie, ale powinien złożyć przysięgę na Ewangelię. Podobną, krytyczną opinię miała też po sobotniej wizycie w księgarni. Sprzedawca, pobożny Żyd, wskazywał poszukiwane książki i prosił, aby pieniądze położyć na stole pod obrusem. W szabas religia zakazywała Żydom pracy.

Echa antysemitycznych zdarzeń lat trzydziestych w szkole im. Elizy Orzeszkowej odbierano bardzo aktywnie. Gdy na uczelniach pojawiło się getto ławkowe dla Żydów, wszyscy uczniowie na znak protestu cały dzień stali podczas lekcji. Ojciec Stelli uważał, że przejawy antysemityzmu są haniebne, ale twierdził również, że w pewnej mierze sami Żydzi byli temu winni, bo pozwalali sobie na nieuczciwość w interesach, które prowadzili z Polakami.

W Łosicach

Wybuch wojny zaskoczył wszystkich. „Silni, zwarci, gotowi” okazali się Niemcy. – Nie nawidziłam ich – wspomina Stella. Łódź przyłączono do Rzeszy, a z pobliskiego domu, gdzie był niemiecki komisariat, często dobiegały krzyki torturowanych ludzi. W listopadzie 1939 r. ojciec zdecydował się na ucieczkę do Związku Sowieckiego. Gdy przysłał list, Stella z matką pojechały do Sarnaków nad Bugiem i przez cały styczeń oczekiwały na przekroczenie granicy. – Wszyscy dookoła mówili po żydowsku, a ja nic nie rozumiałam – wspomina Stella.

W lutym 1940 r., gdy już przekonały się, że nie mają szans na przedostanie się przez granicę, pojechały do pobliskich Łosic. Żydzi stanowili w tym miasteczku większość. Mieszkał tam wujek Stelli, Alter Beckerman. Do jego karczmy przychodzili komuniści żydowscy,



Fot. z archiwum J. Rumika

W łosickim getcie

jej sąsiadka Władysława Piotrowska, gdyż Żydzi nie mogli podróżować. Czuła się tak pewnie, że raz pojechała bez dokumentów, przebrana za wieśniaczkę. Szpicel na dworcu wskazał ją Niemcom i wpadła. Na posterunku udawała, że nie rozumie pytań oficera o „legitymation”. Gdy Niemiec zmagął się ze sznurkiem na pakunku z mięsem, krzyknęła z tupetem: – Czego wy wreszcie ode mnie chcecie? Puścili ją.

W listopadzie 1941 r., będąc w Warszawie, wybrała się do getta, by odwiedzić rodzinę. Weszła przez dziurę w murze: podsadził ją policjant granatowy, a po drugiej stronie pomógł zeskoczyć policjant żydowski. Za pomoc zapłaciła po 20 zł.

Uderzyło ją przede wszystkim to, że ulice były pełne ludzi, którzy spacerowali bez celu. Prawie w każdej bramie leżał półnagi człowiek, opuchnięty z głodu. Widok kobiet jak patyki – zrobił na niej straszne wrażenie. Ciocia Estera, niegdyś tęga kobieta, była jak cień. Całą rodzinę utrzymywał czternastoletni Izio, który pracował fizycznie. On jeden miał pracę.

W kawiarni na Lesznie spotkała się z ciocią Zajdową, współwłaścicielką tego lokalu. Było elegancko i pogodnie. – Kandelabry z płonącymi świecami, ktoś grał tango na pianinie, kilka par tańczyło – opowiada Stella. Kelnerka podała kawę z pysznym sernikiem.

Gdy wracała z getta, zaczepił ją polski chłopak, który zażądał pieniędzy. Zapłaciła. Po powrocie do Łosic nikomu nie opowiedziała o tragedii warszawskiego getta. – Nie chciałam

wywołać paniki – tłumaczy Stella. Sama nie mogła spać, budziły ją koszmary. Słyszała jęki konających z głodu i taneczną muzykę. „Wydawało mi się, że tylko Żydzi mogą być tak obojętni na cierpienia swych braci” – napisała we wspomnieniach *A gdyby to było Wasze dziecko?*, dodając: „Niestety, różne wypadki w getcie (łosickim) potwierdzały to”.

Na początku 1942 r. przebywała w Łosicach grupa kilkunastu uciekinierów z warszawskiego getta. Wielu z nich



Fot. z archiwum J. Rumika

Likwidacja łosickiego getta – 22 VIII 1942 r.

zebrało w mieście i okolicy, co nie podobało się Judenratowi. Miejscowi przywódcy żydowsy uznali, że jest ich zbyt dużo i poprosili Niemców, aby ich wygonili. – Żebracy stali pod łaźnią, a naprzeciw nich milczący członkowie Judenratu – opowiada Stella. Znajomy Stelli, nosiwoda Abram, poprosił ją, by zaopiekowała się trójką jego dzieci. Abram zmarł, podobnie jak inni wypędzeni, w czasie forsownego marszu do Warszawy.

Łosiccy Żydzi wrogo odnosili się do rodaków, którzy lekceważyli tradycję. Gdy więc w jedną z sobót Stella wyszła po wodę do studni na rynku, osaczyło ją ze dwudziestu ortodoksyjnych żydów w chałatach. Przeklinali dziewczynę, „że pracuje w sobotę i nie mówi po żydowsku”. Przeklinali też jej ojca, „że taką gojkę wychował”. – Wróciłam do domu rozdygotana, pełna wstępu do nich – wspomina. Ale zapamiętała również to, że krzyknęła na nich, iż nie mają prawa wtrącać się do niej i jej ojca.

Czytając różne książki, natrafiła na biografię syjonisty Teodora Herzla. O książce tej dużo rozmawiała z mamą, która pewnego razu powiedziała, że po wojnie Stella też wyjedzie do Palestyny. – To, że opętany Hitler wsadził mnie do getta, nie czyni mnie Żydówką. Czuję się Polką – oponowała w myślach, nie chcąc sprawić przykrości kochanej matce.

Stella coraz bardziej odczuwała głód wiary. „Namiętnie zaczęłam szukać Boga. Wiedziałam, że nie znajdę go u Żydów. Ich sposób praktykowania religii odpychał mnie. Pragnęłam być ochrzczona, choć przypuszczałam, że Żydzi mnie za to ukamienują” – zapisała we wspomnieniach.

Gdy wiosną rozpoczęły się wywózki z warszawskiego getta do Treblinki, łosickim Żydom zakazano korzystania z poczty. Letnie dni przyniosły złudny spokój – do soboty, 22 sierpnia 1942 r.

– Obudziłam się o godz. 3 w nocy – opowiada Stella. Na rynku stało kilku policjantów. Potem przyszedł kuzyn Nehemia, który był w policji żydowskiej. Kazał wziąć osobiste rzeczy i zgromadzić się na rynku. Kilka tysięcy Żydów było strzeżonych przez prawie pięćdziesięciu Niemców.

– Wiedziałam, że ucieknę. Kiedy kobiety i dzieci wsiadały na wozy, ja popędziłam uliczką do ogrodu Piotrowskich. Mama bała się, strach ją sparaliżował – mówi Stella.

Tułaczka

Ukryła się w wysokich łąpianach. Leżała, nasłuchując strzałów z pobliskiego rynku. Około godz. 15 kolumna Żydów, eskortowana przez Niemców i żydowską policję, opuściła miasto. Wieczorem pani Piotrowska przyniosła jedzenie. Pierwszą noc Stella spędziła w pobliskim Świniarowie u znajomych gospodarzy – Śmieciuchów. Po śniadaniu poszła do Wyczótek. W drodze zaczął ją nieznajomy mężczyzna, który zaproponował schronienie w swojej stodole. Był to Wacław Radzikowski z Szańkowa.

– Nie wiedziałam, że na niedzielnym kazaniu ksiądz wspomniał o ciężkim losie Żydów – mówi Stella.

U Radzikowskich czuła się bezpiecznie. Miała świadomość, że każdy dzień jest darem, a gospodarz naraża całą swoją rodzinę na rozstrzelanie. Wstawała już o godz. 4 rano, aby pomagać w domu i robić na drutach, młodsze dzieci uczyła czytać. Do nauki służył katechizm, jedyna książka w domu. Gdy trafił w jej ręce, przeczytała go jednym tchem.

Spokój trwał trzy tygodnie. W nocy, 14 września, Stella uciekła, słysząc strzały na podwórku. Noc spędziła w lesie, a rano przekradła się do Wyczótek, do sołtysa Hieronima Kalkickiego. Okazało się, że w nocy wystraszyli ją złodzieje, którzy przyszli do Radzikowskich kraść świnie. Strzelali do psa, który szczekał na napastników.

– Aniela Kalicka przyjęła mnie jak własną córkę. Obiad na białym obrusie i łóżko z pościelą, to była rozkosz – wspomina Stella.

Sołtys Kalicki odnalazł matkę Stelli i sprowadził ją do Wyczółek. Była w tzw. małym getcie w Łosicach. Zdołała uciec z kolumny maszerującej do Siedlec, potem szukała córki w okolicznych wioskach.

– Na przywitanie popłakałyśmy się – opowiada Stella. Za radą matki utleniła włosy i zaczęła chodzić do kościoła. Oficjalnie była Polką z Łodzi, ale ludzie zaczęli plotkować i w listopadzie postanowiła odejść. Kalicki przygotował pożegnalną kolację, na której pojawił się gestapowiec z kochanką. Przejeżdżał i wstąpił do sołtysa. Stella uciekła do kuchni, ale gdy Niemiec sobie podpił, wyciągnął ją do tańca. – Był pijany, nie rozpoznał mnie – mówi Stella.

Po rozstaniu z Kalickimi, Stella trafiła do wsi Bolesty, gdzie zatrzymali ją granatowi policjanci, Parzyszek i Rutkowski. Uratowała ją złota pięciorublówka. – Jesteś siostrzenicą Beckermana, ale masz dobry polski akcent, idź dalej, gdzie cię nie znają – poradzili policjanci, sugerując, aby podawała się za uciekinierkę z Zamojszczyzny.

– Chodziłam po wioskach, szukając pracy – wspomina Stella. W zimowy wieczór zapukała do domu Izdebskich, którzy okazali się niezwykle serdeczni. Mieli jedną izbę, której połowę zajmowały zwierzęta, trójka bosych dzieci spała na zapiecku.

– Traktowali mnie jak rodzinę – mówi Stella, ale czuła z każdym dniem ich rosnący strach. Po dwóch tygodniach pożegnała się z nimi, a Izdebski odwiózł ją do kuzyna w Krzesku. Potem znowu była w Szańkowie u Kazimierza Gałęckiego, szwagra Radzikowskiego. Spotkała się z matką, jak się okazało, po raz ostatni. W marcu 1943 r. matkę Stelli wydał syn leśnika w Bolestach. Była bita, ale nie zdradziła, kto ją przechowywał. Niemcy rozstrzelali ją na kirkucie.

Chrzest

Stella wędrowała po wioskach. – U jednych byłam noc, u innych mieszkałam kilka tygodni – opowiada. Jesienią 1943 r. trafiła do Mariana Piechowicza w Kornicy pod Siedlcami. Gospodarstwo leżało na uboczu, pod lasem. Gdy Piechowicz zobaczył Stellę, przestraszył się. Jego żona Lucyna była spokojna. – A gdyby to było nasze dziecko? – zapytała męża.

Stella pomagała w domu i uczyła dzieci czytać, pisać oraz pacierza. Miała swój pokój i czas dla siebie. W niedzielę chodziła do kościoła do Radzikowa. Nie знаła liturgii, dlatego stała na chórze. Gdy po kilku miesiącach ludzie zaczęli szeptać, że u Piechowiczów mieszka Żydówka, opowiedziała o tym wikaremu, ks. Czesławowi Chojeckiemu. W najbliższą niedzielę proboszcz Zygmunt Wachulak powiedział w czasie kazania: – Gdy wam każą wydawać Żydów, nie wolno wam tego czynić, bo mają te same nieśmiertelne dusze. Musicie im pomóc, dać żywność, odzież i przenocować.

Na wsi przestali gadać i znowu czuła się bezpiecznie. Sąsiad Czesław Gorzała zaprosił ją na rekolekcje wielkopostne, które głosił marianin z Warszawy, ks. Henryk Suleja. – Piekło to jest stan duszy, która wie, że Bóg jest, ale nie może Go kochać – usłyszała.

– Tak właśnie czułam się w getcie w Łosicach, byłam „głodna” Boga – mówi Stella. Po Mszy podeszła do rekolekcjonisty i poprosiła go o chrzest. Ksiądz Suleja skierował Stellę do proboszcza. Przez ponad miesiąc przygotowywała się do chrztu. Przyjęła go w zamkniętym kościele po Mszy św. w sobotę przed Zielonymi Świątkami.

– Z ks. Chojeckim i rodzicami chrzestnymi było nas czworo – uśmiecha się Stella. Niemcy odeszli w połowie lipca 1944 r. Akurat do Piechowiczów przyjechali goście, więc Stella poszła spać do stodoły, na siano. Gdy obudziła się rano, na klepisku pokotem spali czerwonoarmiści.

Biały Hermon

Hajfa, ciepłe popołudnie, rozmawiam ze Stellą na balkonie jej domku. – W Polsce odnalazłam Boga, a tutaj, w Izraelu, swoje miejsce na ziemi – mówi szczupła, niska kobieta. Ma 82 lata. Z balkonu widać portową zatokę oraz Galileę. Przy dobrej widoczności można dostrzec Akkę i ośnieżony Hermon na libańskiej granicy. Oglądamy zachód słońca i jednocześnie rozmawiamy.

Stella zdała maturę w 1945 r. Ponieważ kiedyś przeczytała *Dzieje duszy św. Teresy od Dzieciątka Jezus*, która stała się dla niej duchowym przewodnikiem, postanowiła wstąpić do klasztoru karmelitanek bosych w Poznaniu. W szóstą rocznicę likwidacji getta w Łosicach, 22 sierpnia 1948 r., włożyła habit zakonny.

W Karmelu czuła się szczęśliwa. Pracowała, modliła się i czytała. Szczególnie pasjonował ją Stary Testament, przedstawiający m.in. dzieje narodu wybranego. Poznała też o Daniela, Żyda, który działał w ruchu oporu, potem ochrzcił się i wstąpił do karmelitów. Był znanym i szanowanym kapłanem, na jego kazania przychodziły tłumy ludzi. Gdy w latach pięćdziesiątych wyjechał do Izraela, zaskarżył w Sądzie Najwyższym ministra, który odmówił mu przyznania obywatelstwa. Przysługiwało ono, zgodnie z prawem powrotu, każdemu Żydowi. Zakonnik przegrał, otrzymał obywatelstwo, ale bez wpisu „Żyd”. W Polsce i Izraelu było o tym głośno.

– Decyzję podjęłam szybko – mówi Stella. Sprawcą był ks. Edward Szymanek, który po pielgrzymce w Izraelu namówił ją, aby powróciła do „krajów ojców”. Szybko otrzymała wizę, ale musiała zrzec się polskiego obywatelstwa. – Plakałam, gdy wyszłam na ulicę – wspomina Stella.

W 1969 r. była już w Izraelu. Zwiedzając Ziemię Świętą, zapragnęła poznać język przodków. W betlejemskim Karmelu bezskutecznie prosiła o. generała karmelitów o możliwość wychodzenia do szkoły na lekcje hebrajskiego. Potem była w Hajfie, gdzie wszystkie siostry zakonne mówiły po francusku. – Dlaczego śpiewamy psalmy po łacinie, a nie w języku Dawida? – dziwiła się głośno, gorsząc niektóre siostry. Po dwóch latach pobytu w klasztorze w Hajfie poprosiła o zgodę na wystąpienie z zakonu.

Konsulat w Hajfie

– Początki świeckiego życia były trudne. W Karmelu spędziłam 24 lata – tłumaczy Stella.

Podjęła pracę jako pielęgniarka w domu opieki społecznej. Rozpoczęła też naukę hebrajskiego, studiując zarazem filozofię i historię Bliskiego Wschodu. Zakupem domku na Neve Joseph, dzielnicy biedoty i prostytutek, zaskoczyła nawet swoich przyjaciół. Gdy zaś arabscy studenci zostali jej lokatorami, sąsiedzi Żydzi byli przerażeni. Ale po roku–dwóch przestali się bać.

– Pytali, czy nie mam dla nich lokatorów? – opowiada Stella.

Aziz poznał Stellę w 1983 r. w osadzie Neve Shalom (Oaza Pokoju), stworzonej przez dominikanów dla rodzin żydowskich i arabskich. Był, podobnie jak Stella, wolontariuszem.



Fot. M. Jerzman

Pod drzewkiem Wacława Radzikowskiego w Yad Vashem. Od prawej: wnuczka Krystyna Radzikowska, Stella Zylbersztajn i prawnuk Waldemar Miłkowski (sierpień 2001 r.)

Studiował wtedy socjologię i został pierwszym lokatorem Stelli. Po nim pojawili się nowi lokatorzy. – Przygarniała bezdomnych, Arabów, narkomanów – mówi Aziz, obecnie menedżer personalny szpitala Karmel w Hajfie.

Gdy po 1989 r. w Hajfie pojawiła się fala Polaków, Stella pomogła wielu z nich. Po miesiącu poszła fama, że jest Stella, która wszystkim załatwia pracę. Także w polskiej ambasadzie w Tel Awiwie mówiono, że u Stelli w Hajfie jest polski konsulat.

Piątek jest dla Stelli dniem szczególnym. Od wielu lat, w południe, pod ogrodami Bahajów, pikietuje razem z „Kobietami w czerni”, czyli pacyfistyczną organizacją, skupiającą Arabki i Żydówki. Pikietujące kobiety obrzucano arabskimi przekleństwami lub hebrajskimi wyzwiskami.

– To przeszłość, dzisiaj ludzie pragną pokoju – uśmiecha się Stella.

Również w każdy piątek, po powrocie do domu rozpoczyna przygotowania do szabasowej wieczerzy. Po modlitwie łamie się macą z gośćmi i pije wino ze wspólnego kielicha. W sobotę Stella wybiera się na modlitwę do pobliskiej synagogi, a w niedzielę na Mszę św. do „Domu chleba”, kaplicy hebrajskich chrześcijan.

– Jesteśmy Żydami żyjącymi zgodnie z nauką Jezusa. Od 2003 r. mamy swojego biskupa, Jeana Baptiste Gouriona – mówi Stella.

Nasza Żydóweczka

Pod koniec lat siedemdziesiątych spisała historię swojego ocalenia, aby Yad Vashem uhonorował medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata tych, którzy jej pomagali w czasie wojny. Pierwszy wniosek, dotyczący proboszcza Wachulaka, odrzucono. – On nie przechowywał, tylko pomógł – stwierdził notariusz Bronowski.

Pierwszymi Sprawiedliwymi Stelli zostali – w 1981 r. – Aniela Kalicka i Waław Radzikowski. Potem byli kolejni: Irena i Ezechiel Romaniuk, Halina i Zygmunt Ługowscy, Józefa i Andrzej Zdanowscy oraz syn Stanisław, Rozalia i Franciszek Wielgórscy, Józefa i Jan Ułasiuk, Janina i Stanisław Mróz, Władysława Piotrowska, Helena Kaźmierczak-Gruszka, Lucyna i Marian Piechowicz, Józefa i Józef Zbucki, Anna Radzikowska i jako ostatnia – Wacława Jezierska, która została odznaczona w 1994 r. Razem 23 osoby.

– To nie wszyscy, którzy mnie ukrywali – podkreśla Stella. Jej próby uhonorowania kolejnych osób zostały wyhamowane. – To znowu pani? – słyszała często w Yad Vashem. Pracownicy Yad Vashem nie kryli sceptycyzmu co do liczby osób ratujących Stellę. – Jakie ma pani motywacje, składając ciągle nowe wnioski? – pytał Mordechaj Paldiel, dyrektor Działu Sprawiedliwych.

Pierwszy raz odwiedziła Polskę w 1987 r. Odszukała swoich dawnych przyjaciół. – Cieszyli się, jakby wrócił ktoś z ich rodziny – mówi Stella. Halina Ługowska rozplakała się: – Moja ty Żydóweczko!

W Radzikowie podczas Mszy w intencji Czesława Gorzały nowy proboszcz poprosił ją, aby przedstawiła się młodemu parafianom. Zaprosił też na kolację.

Odwiedziła córkę Waławę Radzikowskiego, który opiekował się Stellą przez kilka tygodni. Okazało się, że w bunkrze pod oborą Radzikowski ukrywał przez ponad rok czterech Żydów. Przeżyli.

Zapraszała do Hajfy swoich Sprawiedliwych, ich dzieci i wnuki, pokazując Ziemię Świętą. W 1992 r. wzięła do ręki pióro i napisała wspomnienia *A gdyby to było Wasze dziecko?*. Przedstawiła listę ok. 25 rodzin, które ją przechowywały. Przyznaje, że wszystkich, którzy ją uratowali, już nie pamięta.

„TO DLA MNIE OSTATNIA CHWILA”

Wiosną 2008 r. Roman Liebes, mieszkający aktualnie w Hajfie, zwrócił się do Instytutu Pamięci Narodowej z prośbą o pomoc w odnalezieniu członków rodziny Witalisa Łukasiewicza. W tragicznych latach II wojny światowej uratował on Liebesa – kilkunastoletniego wówczas żydowskiego chłopca – od niechybnej śmierci. Informacji było niewiele – znałem imię, nazwisko i wiedziałem, że po wojnie Łukasiewicz zamieszkał w Szczecinie. Ale, jak się okazało, były to dane wystarczające. Wkrótce odnalazłem jego wnuka – Przemysława Łukasiewicza. Panowie nawiązali kontakt i Roman Liebes mógł zrobić to, o czym jako dorosły już mężczyzna marzył od lat – podziękować. Poniżej fragmenty jego wspomnień.



Fotografia Romana Liebesa, ofiarowana W. Łukasiewiczowi.

Na odwrocie dedykacja:
„Inż. Łukasiewiczowi, który
uratował mi życie, i jednemu
z nielicznych pozostałych
przyjaciół ojca mego”

Mój ojciec, Maurycy Liebes, urodził się 29 czerwca 1897 r. w austriackim wówczas Lwowie. W 1916 r. wstąpił jako ochotnik do armii austriackiej. Na frontach I wojny światowej dosłużył się stopnia chorążego. Do Wojska Polskiego wstąpił, także na ochotnika, 27 czerwca 1919 r. W 1920 r., już jako porucznik 54. pułku piechoty, walczył z bolszewikami na froncie wschodnim. Później studiował na Politechnice Lwowskiej, uzyskując w 1925 r. tytuł inżyniera dróg i mostów. Do wybuchu wojny pracował we lwowskiej firmie budowlanej inżyniera Koguta, m.in. przy wznoszeniu poczty i koszar wojskowych w Łucku.

Matka, Ida Liebes z d. Rosenberg, także lwowianka, przyszła na świat 4 maja 1902 r. Studiowała na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. Od 1928 r., już jako doktor medycyny, pracowała w Kasie Chorych, prowadząc równocześnie prywatny gabinet stomatologiczny.

We wrześniu 1939 r. Sowieci wkroczyli do Lwowa i wyrzucili nas z mieszkania. W czerwcu 1941 r. przyszli Niemcy. Zaczęły się akcje wymierzone przeciwko Żydom, łapanki, egzekucje. Wygnali nas do getta otoczonego murem. Warunki sanitarne były straszne, brakowało wody i żywności. Mieszkaliśmy po kilka rodzin w jednym pokoju. Pamiętam, że w pokoju tym została postawiona dodatkowa ściana – podczas akcji dzieci, kobiety i ci, którzy nie posiadali dokumentów, że pracują w odpowiednim miejscu, ukrywali się za nią. Gdyby gestapo odkryło schowek, wszystkich czekałby jeden los.

Mój ojciec, tak jak inni pracujący, wychodził każdego dnia rano przez bramę getta. To zapewne wtedy, podczas wspólnej pracy na kolei, poznał Witalisa Łukasiewicza – żołnierza Armii Krajowej. Był początek 1942 r. – pewnego dnia, wcześniej rano, brodząc w ciemność-

Ks. Dr. St. Trzeciak (1936):

„Bolszewizm, to nie choroba dusz, ale wielkie oszustwo żydowskie, a kto mówi o komunizmie, a nie mówi o żydach, ten nie ma wprost pojęcia, co to jest komunizm, bo komunizm i judaizm to obecnie prawie równoznaczne pojęcia... W stosunku zaś do chrześcijaństwa, bolszewizm jest najstraszniejszą i najpodlejszą bronią, jakiej kiedykolwiek przeciw niemu używali żydzi... Jest on nową, szatańską formą wiecznej walki judaizmu z chrześcijaństwem.”

ZKW. 1943 – 1488

*Przeklęty niech będzie ten polak który dla interesu
przetrzymuje żydowskie dzieci, albowiem miejsce dla niego
w Oświęcimiu lub na Łąckiego Sw. Łucja. 1:1444:1*

Fragment ulotki „Żydzi w świetle słów Chrystusa i Kościoła św.” z odręcznym dopiskiem: „Przeklęty niech będzie ten polak który dla interesu przetrzymuje żydowskie dzieci, albowiem miejsce dla niego w Oświęcimiu lub na Łąckiego” (przy ul. Łąckiego we Lwowie przed wojną znajdował się komisariat policji, do czerwca 1941 r. gmach mieścił siedzibę NKWD i więzienie). Ulotkę otrzymał W. Łukasiewicz w anonimowej przesyłce latem 1944 r.

Łukasiewicz mieszkał w stosunkowo dobrej dzielnicy, w tej samej kamienicy mieszkało także kilku Niemców. Dawało to pozorne poczucie bezpieczeństwa, ryzyko wpadki było jednak wysokie – ktoś mógł zacząć coś podejrzewać, zawsze też należało liczyć się z koniecznością oddania mieszkania okupantom.

Miałem osiem lat. Nie chodziłem wtedy do szkoły, ale rodzice nauczyli mnie abecadła, więc mogłem czytać. Strach towarzyszył mi każdego dnia. Nikt nie mógł mnie zobaczyć, chowałem się w tylnym pokoju, w szafie, pod łóżkiem, w komórce. Miałem „aryjską metrykę” i polskie nazwisko, ale przecież nietrudno byłoby odgadnąć, że Łukasiewicz ukrywa żydowskie dziecko. Gdy pojawiły się pierwsze podejrzania, zostałem przeprowadzony do innego mieszkania w dzielnicy. Na parterze, w dwóch małych pokojach i kuchni, mieszkały dwie kobiety – starsza kobieta i jej dorosła córka. Za dnia chowałem się w położonym na końcu mieszkania pokoiku, w nocy pomagałem przygotowywać wiązanki jarzyn, które starsza kobieta sprzedawała później na rynku. Przed Bożym Narodzeniem robiliśmy także papierowe łańcuchy na choinkę. Z czasem dowiedziałem się, że były to krewne żony Łukasiewicza. W 1944 r. wróciłem do pierwszego mieszkania.

Coraz częściej zdarzały się ataki lotnicze. Armia Czerwona bombardowała uciekających Niemców. Bombardowanie zburzyło kilka kamienic po drugiej stronie ulicy, w naszym mieszkaniu powypadały szyby z okien. Oczywiście, mnie nie wolno było zejść do schronu. Nie bałem się, wolność była już blisko.

Po wyzwoleniu Lwowa Łukasiewicz chronił mnie jeszcze kilka dni – bał się, że Niemcy wrócą. Kiedy front oddalił się, oddał mnie do domu sierot. Nie chciał, bym został bez opieki, gdy jego aresztuje NKWD. W sierocińcu przebywałem kilka miesięcy. Łudziłem się jeszcze, że moi rodzice żyją. Wkrótce jednak zrozumiałem, że nie mieli żadnych szans. Zginęli w listopadzie 1943 r., w obozie zagłady przy ul. Janowskiej.

Pod opiekę wzięli mnie przyjaciele rodziców (ich z kolei uratowali krewni żony Łukasiewicza mieszkający niedaleko Lwowa). Z nimi opuściłem Lwów, rok spędziłem w Krakowie, a w 1946 r. przeprowadziliśmy się do Szczecina. Mieszkaliśmy najpierw przy al. Piastów, a następnie przy al. Wojska Polskiego. Szczecin wspominam bardzo ciepło, w szkole panowała miła atmosfera, miałem kolegów i przyjaciół, dobrze się czułem i też dobrze uczyłem.

ciach i śniegu, ojcu udało się przeprowadzić mnie przez bramę getta strzeżoną przez ukraińską policję. Trudno dziś wyobrazić sobie, jakie ryzyko wziął na siebie Witalis Łukasiewicz. Ukrywanie żydowskiego dziecka mogło oznaczać śmierć dla całej jego rodziny.

Każda kamienica pilnowana była przez dozorcę, który z reguły informował policję, co się dzieje w budynku. Łuka-

Dowiedziałem się, że Łukasiewicz także mieszka w Szczecinie, gdzieś w okolicy jeziora Głębokie. Pamiętam, że odwiedzając go, musiałem jechać tramwajem al. Wojska Polskiego prawie do końca trasy.

Po ukończeniu szkoły powszechnej przenieśliśmy się na Mazowsze. Mój wuj, dr Emil Wartanowicz, dowiedział się, że przeżyłem i koniecznie chciał, bym trafił pod opiekę jego i żony (byli bezdziejni). Wuj był dyrektorem Sanatorium Polsko-Szwedzkiego dla dzieci chorych na gruźlicę w Otwocku. Mieszkałem na co dzień u wuja, uczyłem się w gimnazjum w Warszawie. Ale w stolicy panowała antyżydowska atmosfera, nie miałem kolegów, osiągałem słabe wyniki w nauce, byłem samotny. Kiedy miałem piętnaście lat, opuściłem wuja, szkołę... wszystko. Wyjechałem sam.

Przed wyjazdem do Izraela w 1950 r. odwiedziłem jeszcze Łukasiewicza, aby się pożegnać. Wymieniliśmy się zdjęciami. Korespondencja, którą prowadziliśmy, z czasem jednak się urwała.

Przez lata bałem się wracać do przeszłości. Teraz doszedłem do wniosku, że jej odkrycie jest moim obowiązkiem, próbą oddania hołdu pamięci moich bliskich. Refleksja przyszła późno. Ludzie, którzy znali moich rodziców, nie żyją, trudno znaleźć jakiegokolwiek dokumenty. Sam mam 74 lata. To dla mnie ostatnia chwila.

Rodziny Witalisa Łukasiewicza szukałem podczas mojej wizyty w Szczecinie w 1992 r. Napisałem też kilka listów do redakcji „Kuriera Szczecińskiego” z prośbą o pomoc w poszukiwaniach – nie otrzymałem jednak odpowiedzi. W 2007 r. zwróciłem się do Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, tam skierowali mnie do Polskiego Czerwonego Krzyża i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – bez rezultatu. Szukałem na własną rękę, przez znajomych, ambasadę, również za pośrednictwem internetu. Znalazłem stronę Instytutu Pamięci Narodowej, dalej pan już wie...

Teraz udało mi się odnaleźć wnuka Witalisa – Przemysława Łukasiewicza. Często korespondujemy. Podjąłem starania, by człowiek, któremu zawdzięczam życie, został pośmiertnie uhonorowany tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Artykuł powstał na podstawie korespondencji z Romanem (Reuvenem) Liebesem z kwietnia 2008 r. Za pomoc w przygotowaniu tekstu autor dziękuje Przemysławowi Łukasiewiczowi oraz Ewie Kozłowskiej z IPN OBUi-AD Szczecin i dr Aleksandrze Namysło z IPN OBEP Katowice.



Fotografia W. Łukasiewicza, przekazana R. Liebesowi podczas ostatniego spotkania w styczniu 1950 r., z dopiskiem: „Idź przez życie śmiało i otwarcie – a przede wszystkim bądź człowiekiem! Na pamiątkę tych parę słów i fotografię ofiaruję Ci inż. Witalis Łukasiewicz”

W czasie przygotowywania do druku niniejszego numeru „Biuletynu IPN” otrzymaliśmy następującą informację: Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem 25 stycznia 2009 r. przyznał Witalisowi i Łucji Łukasiewiczom tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Medal i dyplom zostaną przesłane do Ambasady Izraela w Polsce i podczas uroczystej ceremonii wręczone najbliższej rodzinie. Imiona i nazwiska osób odznaczonych zostaną wyryte na Ścianie Honoru w Jerozolimie.

GDY GRÓB BYŁ DOMEM

Kresowe miasta i miasteczka były dużymi skupiskami ludności żydowskiej. W kilkunastotysięcznym powiatowym Buczaczu Żydzi stanowili przed wojną blisko połowę mieszkańców. Wyznawcy religii mojżeszowej modlili się w dziewiętnastowiecznej synagodze i czterech bożnicach.

W domu modlitwy przy żydowskim szpitalu uczył się judaizmu syn miejscowego rabi-
na, Szmul Josef Czaczkes, który wyjechał do Palestyny w 1907 r. i znany był potem jako
Szemuel Josef Agnon (1888–1970) – laureat literackiej Nagrody Nobla (w 1966 r.), pierwszy
noblista tworzący w języku hebrajskim, autor opowiadań *Od Buczacza do Jerozolimy*. Tutaj
również urodzili się Szymon Wiesenthal (1908–2005), tropiciel zbrodniarzy niemieckich,
Emanuel (Menachem) Ringelblum (1900–1944), historyk i kronikarz warszawskiego getta,
i Ostap Dłuski (właśc. Adolf Langer; 1892–1964), działacz komunistyczny. Z Buczacza po-
chodzili też rodzice znanego psychoanalityka Zygmunta Freuda.

Milek Rosen miał czternaście lat, gdy wybuchła wojna. Mieszkał przy Podhajeckiej 2,
obok nowej poczty, razem z mamą i dwoma braćmi, bo ojciec zmarł w 1935 r. W czerwcu
1939 r. skończył siódmą klasę w szkole powszechnej „Na Barakach”, która nosiła imię Ada-
ma Mickiewicza. Za okupacji sowieckiej przydzielili go do szkoły w Nagórzance.

Pierwsze oddziały Wehrmachtu wkroczyły do Buczacza w samo południe w sobotę,
5 lipca 1941 r., a więc już dwa tygodnie po napaści Niemiec na ZSRS. „Obok budynku ratu-
sza tłumnie zebrani Ukraińcy radowali się i tańczyli. Do dnia dzisiejszego nie wiem, jak się
odważyłem tam pójść i to wszystko obserwować. Od tego momentu poczuliśmy się zagro-
żeni i skazani na śmierć. Stopniowo zaczęły się restrykcje: wprowadzono godzinę policyjną
od piątej po południu do rana, obowiązek noszenia opasek z gwiazdą Dawida, zabroniono
chodzić po chodnikach, a także wprowadzono przymus kłaniania się każdemu Niemcowi
i zdejmowania czapek” – napisał Rosen po pięćdziesięciu latach w swoich wspomnieniach,
opublikowanych w lokalnym piśmie „Głos Buczaczan”.

Latem 1941 r. Niemcy urządzili w mieście wiele pogromów ludności żydowskiej, pod-
czas których życie straciło ok. 750 osób. Później utworzono w Buczaczu getto. W 1942 r.
ponad 4 tys. jego mieszkańców wywieziono do obozu zagłady w Bełżcu, zaś pozostałych
ponad 5 tys. zamordowano na stokach góry Fedor. Jeszcze w styczniu 1944 r. Niemcy oto-
czyli w okolicznych lasach grupę ukrywających się Żydów, mordując trzysta osób.

Gdy 7 października 1942 r. odbywała się pierwsza akcja wyłapywania żydowskich ro-
dzin, Milkowi Rosenowi udało się uciec z matką i dwoma braćmi przez targowisko i doliną
Strypy dotrzeć na polski cmentarz na Fedorze. „Wdrapaliśmy się na strych kaplicy i tak
ocaliliśmy. Całą moją rodzinę wywleczono z domu i stracono” – wspomina. Niemcy prze-
prowadzili potem jeszcze cztery podobne akcje likwidacyjne. Buczacz wolny od Żydów (Ju-
denfrei) ogłoszono 24 czerwca 1943 r. „I tak została rozwiązana kwestia Żydów buczackich,
którzy żyli w tym mieście ponad 500 lat” – dopowiada Rosen.

W swoich wspomnieniach podkreśla, że wielu Polaków i Ukraińców angażowało się
z narażeniem życia własnego i swoich rodzin w pomoc i ratowanie Żydów zgodnie z przy-

kazaniem „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Przed wojną Milek przyjaźnił się z Mieciem, synem grabarza Mariana (Mańka) Świerszczaka. „Mańko to był człowiek-anioł – pisze Rosen. – Często razem z Mieciem pomagałem mu przy różnych pracach cmentarnych i on mnie bardzo polubił. Niestety, Miecio Świerszczak zginął podczas wojny, manipulując przy jakimś niewypale. Kiedy zagrożenie naszego życia wzrosło i zbliżał się nasz koniec, śp. Mańko powiedział do mnie te słowa, których nigdy nie zapomnę: »Słuchaj, Milo, ja ciebie i twoją rodzinę uratuję«. I tak się stało! Mańko znalazł stary grobowiec podziemny, w którym była jedna metalowa trumna; kto tam spoczywał, do dziś nie wiem. Zrobiliśmy zamaskowane wejście, wyścieliliśmy słomą podłogę i tam żyliśmy do zimy. Nocami wychodziliśmy na świeże powietrze, a nad ranem wpełzaliśmy do wnętrza grobowca jak szczury”.

Po wodę Rosenowie chodzili do ogrodu Czyżewskiego, tam bowiem była studnia. W pobliskich sadach i ogrodach zrywali wszystko, co nadawało się do jedzenia. Od czasu do czasu, przeważnie w nocy podczas burzy, gdy nikogo nie było na cmentarzu, rozpalali małe palenisko; na dwóch ceglach ustawiali garnek i gotowali zupę z mąki kukurydzianej. Za opał służyły nawet bramki z boiska.

„Całymi dniami siedzieliśmy skuleni i rozmawialiśmy między sobą tylko na migi. Słońca i światła dziennego nie oglądaliśmy, a marzeniem naszym było krojenie chleba i najeżenie się do syta. Nie mieliśmy wody do mycia i często myliśmy się mokrą trawą i liśćmi pokrytymi rosą. Pewnej nocy letniej zachciało się mnie i mojemu starszemu bratu kąpieli w rzece. Będąc w wodzie zauważyliśmy w pobliżu jakichś wędkarzy. Ledwo uciekliśmy z życiem. Takiego błędu więcej nie popełniliśmy” – pisze Milek, dodając, że mocno stresujące sytuacje mogły zdarzyć się w każdej chwili; na przykład gdy pasące się krowy skubały trawę w pobliżu grobowca albo gdy przy cmentarzu kręciły się zakochane pary.

Świerszczak, który był biednym człowiekiem, zaopatrywał ukrywających się Rosenów w żywność kupowaną za otrzymywane od nich pieniądze. Córka grabarza, mała Staszka, także przynosiła im jedzenie i zostawiała w umówionym miejscu. Ale nigdy ich nie widziała. Stanisława Kurp mieszka obecnie w Bolesławcu. „Jestem z nią w kontakcie i uważam ją i jej rodzinę jak moją własną” – napisał w swej relacji Milek. Zaznaczając dalej, że pomoc dla Rosenów była dla Mańka bardzo ryzykowna, stwierdza: „Ktoś doniósł na milicję ukraińską, że Świerszczak kupuje duże ilości żywności, to na pewno przechowuje Żydów. W czasie przesłuchania na komisariacie koło kina Palace został pobity, ale do niczego się nie przyznał”.

Zimą 1943/1944 r. przebywanie na cmentarzu stawało się coraz bardziej niebezpieczne, bo ślady na śniegu były zbyt widoczne. Grabarz znalazł wyjście, pomagając w budowie schronu pod podłogą trupiarni. W marcu 1944 r. zaczął się odwrót armii niemieckiej. Na boisku, znajdującym się tuż przy cmentarzu, ustawiono działa przeciwlotnicze. Pewnego dnia, gdy podczas wielkiej burzy niemieccy żołnierze, obsługujący te działa, schronili się w trupiarni, podłoga się zarwała i schron został zdemaskowany. „Mama powiedziała do nas: »Dzieci, uciekajcie, może się uratujecie«”. Braciom udało się przeskoczyć do komórki znajdującej się tuż obok trupiarni. Niemcy nie zauważyli ich, między innymi dlatego że w tej samej chwili matka wyszła na zewnątrz i żołnierze na niej skupili swą uwagę. Od razu została zastrzelona. Miała 44 lata.

W nocy bracia postanowili uciekać dalej. Bosi i obdarci zapukali do domu znajdującego się w pobliżu cmentarza, nie wiedząc, kto tam mieszka. Okazało się, że jest to dom Ukrainca, niejakiego Wiszniewskiego, szwagra rzeźnika Piszczuka; gospodarz przyjął ich i wpuszcił do małej komórki. Ukrywali się tam już inni Żydzi.

Pewnego dnia żołnierz niemiecki, który szukał kur lub czegoś do zjedzenia, zerwał kłódkę i zobaczył Rosenów tulących się do siebie. „Myśleliśmy, że to już nasz koniec. Niemiec najpierw zaczął krzyczeć, a później zatrzaskał drzwi komórki i poszedł” – pisze Rosen. Trzeba było jednak szukać nowej kryjówki. Chłopcy postanowili iść do Michała Dukiewicza na Polesiu. „Dukiewicz na nasz żalony widok rozpląkał się i bez wahania ulokował nas w stodole. Pewnego dnia żołnierz niemiecki brał snopy i raptem poczułem jego buty na mojej głowie. Automatycznie wcisnąłem się głębiej, jakbym był świdrem i zostałem uratowany. Pan Bóg miał nas w swojej opiece. Po kilku dniach pobytu Michał przybiegł z krzykiem: »Chłopcy, jesteście wolni!«” – napisał w swej relacji Milek.

Od strony Trybuchowiec jechały sowieckie czołgi, Niemcy się wycofywali. Gdy Rosenowie weszli do domu, rodzina Dukiewiczów była zaskoczona; nic nie wiedzieli o ich istnieniu i ukrywaniu się w stodole. Dziś Rosen utrzymuje stały kontakt z krewnymi nieżyjącego już Michała Dukiewicza, uważając ich za swoją rodzinę. A w swoich wspomnieniach podkreśla: „Te dwa anioły, śp. Mańko Świerszczak i śp. Michał Dukiewicz zostali odznaczeni orderami I klasy Sprawiedliwy wśród Narodów Świata; ich imiona wpisane zostały w Jerozolimie na tablicę bohaterów i posadzone zostały drzewa z ich imionami. W Dniu Zaduszek modłę się za nich i proszę Boga: »Niech ich święte dusze zostaną przyjęte do grona wszystkich naszych świętych. Amen!«”.

Wojna powoli kończyła się. Jeszcze dwanaście dni później Buczacz okrążyła cofająca się armia niemiecka. Jediną wolną drogą na Podzameczek Rosenowie uciekli wraz z wojskiem sowieckim w kierunku Trembowli i dalej do Skalatu. Tam zgłosili się do Wojska Polskiego, bo jak pisze Milek: „byliśmy spragnieni zemsty i to była jedyna droga”. Z Podwołoczysk dotarli pociągiem do Sum, gdzie organizowała się I Armia WP. Milek otrzymał przydział do łączności, jego starszy brat do piechoty, a młodszego odesłano do polskiego sierocińca w Zagorsku pod Moskwą. Obaj starsi walczyli do ostatnich dni wojny. Po zakończeniu działań wojennych Milek został zdemobilizowany i w 1946 r. opuścił Polskę, wyjeżdżając do Palestyny. W latach 1960–1962 był obecny na procesach katów buczańskich i, jak pisze, „także przyczynił się do ich ukarania”.

Z 6 tys. żydowskich mieszkańców Buczacza wojnę przeżyło zaledwie 150. Niemcy i ukraińscy nacjonałiści nie oszczędzili też synagogi; święte zabytkowe zwoje Tory zostały wyrzucone z ich przybytku i powieszzone na barierze mostu nad Strypą. Na prośbę przedstawicieli gminy żydowskiej zaopiekowali się nimi bazylianie; dzisiaj dwie najstarsze Tory spoczywają w jednej ze świątyń jerozolimskich.

Liczący ponad osiemdziesiąt lat Samuel (Milek) Rosen mieszka w Tel Awiwie; jego starszy brat zmarł w Chicago, a młodszy Jachiel w Ejlacie.

Źródła

„Głos Buczaczan” 1992–1999.

M. Rosen, *Życie w grobowcu na polskim cmentarzu*, „Głos Buczaczan” 2005, nr 3 (54).

M. Rosen, *Niezpomniane cmentarne noce*, „Głos Buczaczan” 2006, nr 4 (59).

J.B. Zając, *Buczacz*, Bolesławiec 2003.

DANUSIA Z MIASTECZKA PISZCZAC

W latach czterdziestych Piszczac miał w kurii siedleckiej złą opinię: pełno pijaków, niespokojna okolica. W miejscowości mieszkało wielu Ukraińców. W ciągu dwóch pierwszych wojennych lat w Piszczacu pracowało trzech kapłanów, z których dwóch aresztowali Niemcy. „Chciało mi się tam iść jak nagiemu w pokrzywy” – wspominał po latach ks. Roman Soszyński.

Gdy w 1942 r. otrzymał nominację na administratora parafii, miał trzydzieści lat, z tego pięć spędził w kapłaństwie. „Żydów już nie było w Piszczacu, gdy się tam pojawiłem” – zanotował we wspomnieniach. Przed wojną 653 Żydów stanowiło 30-proc. mniejszość społeczności piszczańskiej. Getto zlikwidowano w 1942 r., pozostałych przy życiu wywieziono do Międzyrzecza Podlaskiego i tam wymordowano. Do brzydkich pożydowskich domów wprowadziła się biedota z okolicznych wiosek.

Dochodziły czasami wieści, że ktoś z Żydów ocalał, jak na przykład młoda córka smolarza o nazwisku Winograd; ocalało kilku tych, co uciekli do Związku Sowieckiego. „Trafiły się też niedobitki z innych terenów” – zanotował ksiądz-kronikarz. „Taką była młoda, dość ładna, o delikatnych rysach, zupełnie bez cech semickich, Helena Zagórska, córka właściciela wiatraka z Zańkowa. W czasie likwidacji Żydów przyszła ona na Kolonię Dworską Piszczac i tam przebywała jako pomoc domowa w domu Anastazji Kadłubowskiej. Wszyscy wiedzieli, kim jest ładna dziewczyna, ale solidarność przeciwhitlerowska była powszechna. Toteż żyła Hela, jakby pod wspólną opieką mieszkańców Kolonii Dworskiej. Wojnę szczęśliwie przetrwała, potem wyszła za mąż za Drożyńskiego Franciszka. Złożyła wyznanie wiary jeszcze przed przybyciem. Potem jej małżeństwo błogosławiłem”.

U Leopolda Skwierczyńskiego, mieszkającego na uboczu, na krańcach Kolonii Dworskiej, do końca wojny pasł krowy za samo wyżywienie Heniek Piekarski, duży chłopiec, którego ojciec, kulawy dorożkarz z Turku, tuż przed zagładą Żydów wysłał z fałszywą metryką chrztu do krewnych na wschód; uratował się na Podlasiu.

Henryk Bogusławski prowadził w miasteczku gabinet dentystyczny. W połowie czerwca 1943 r. spotkał koło poczty w Piszczacu księdza proboszcza i zaprosił go do siebie. Wieczorek z udziałem miejscowego lekarza i aptekarza (obaj w towarzystwie żon) był bardzo miły, gospodarz prezentował się jako ujmujący i dowcipny rozmówca. „Nawiązały się bardzo przyjemne stosunki z Bogusławskimi” – zapisał ks. Roman Soszyński. Dentysta lubił grać w brydża, ogrywał bezlitośnie gości w szachy, inteligentnie konwersował, lubił dobrze zjeść i wypić, co stało się tematem satyrycznych wierszyków; jego żona Bronisława – w przeciwieństwie do męża – była cicha i rzadko zabierała głos.



Ks. Roman Soszyński



Sceny z piszczackiego getta





Fot. ze zbiorów ks. R. Soszyńskiego

Po kilku tygodniach takiej sielanki na plebanię wpadła doktorowa z wieścią, że „Bogusławscy to Żydzi”; „że się tu ukrywają, a ks. proboszcza specjalnie do siebie zapraszają, żeby im był parawanem”. Sytuacja stała się poważna, żandarmeria niemiecka stacjonowała w pobliżu. Następnego dnia przyszedł błąd i roztrzęsiony Bogusławski, opowiadając o swojej strasznej krzywdzie i otaczającej go hańbie, skoro mu się zarzuca żydowskie pochodzenie. Miał żal do całego społeczeństwa piszczackiego. „W rozmowie z nim powiedziałem, by nie tak sprawę ustawiał. Bo nie jest hańbą urodzić się Żydem, jak nie jest zasługą urodzić się Polakiem. I dlatego nie w tym jest sedno sprawy, czy jest on Żydem, czy nie, tylko w tym, jak z tej sytuacji wybrnąć” – zapisał w swej kronice ks. Soszyński. Proboszcz oświadczył też, że będzie nadal utrzymywał przyjazne stosunki z nim i jego rodziną. I jeszcze tego samego dnia poszedł do domu Bogusławskich ze swą siostrą: „w biały dzień, żeby wszyscy widzieli”. Odtąd jeszcze częściej chodził tam „na szachy”; nigdy zresztą nie udało mu się wygrać partyjki z dentystą. Szum powoli ucichł, do Bogusławskich powrócili znajomi.

Ludzie o wszystkim wiedzieli, nikt jednak nie wydał Bogusławskich do końca okupacji. „Takie było wtedy życie w starozakonnym polskim mieście Piszczac!” – zanotował ks. Soszyński.

Po wojnie Bogusławscy powrócili do Krakowa. Proboszcz otrzymywał od nich bardzo miłe listy, prezenty książkowe, a nawet dostał prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”. W 1947 r. przyszły pozdrowienia z Paryża, a potem obszerna korespondencja z Brisbane z opisem warunków życia w nowym kraju. Córka Bogusławskich, Danusia, chodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice. Na list z Australii trudno było odpowiedzieć ze stalinowskiej Polski i kontakt się urwał.

Danusia (Diane) skończyła w Sydney studia, wyszła za mąż i urodziła dwoje dzieci. Pracując jako dziennikarka w australijskiej prasie, zainteresowała się losami swojej rodziny i w 1995 r. – pięćdziesiąt lat po wojnie – kiedy zbierała materiały do książki, przyjechała m.in. do Polski.

Jej rodzice do 1942 r. mieszkali we Lwowie. Ratując się przed Niemcami, ojciec postarał się o fałszywe papiery i zmienił żydowskie nazwisko Baldinger na polskie. Już jako Bogusławski przeniósł się do Piszczaca, gdzie otworzył gabinet dentystyczny. Aby ukryć swą tożsamość, Bogusławscy chodzili do kościoła i zapraszali księdza do swego domu. Codziennie rano ojciec splatał kilkuletniej córeczce włosy w warkoczki, bo od kogoś z miejscowych usłyszał, że Danusia ma „takie kręcone włosy jak Żydóweczka”. Już po przyjeździe do Australii rodzice zastanawiali się, czy napisać do księdza i wyjawić tajemnicę swego pochodzenia.

Podczas krótkiego pobytu w kraju przodków i swego urodzenia Diane Armstrong wraz z dorosłą córką Justine pojechała na Podlasie. Starzy ludzie w Piszczacu wiele opowiadali o dawnych starozakonnych sąsiadach. Po synagodze zburzonej przez Niemców i po Żydach, którzy przez stulecia tu żyli, nie było śladu; na zarośniętym, półhektarowym terenie, gdzie niegdyś znajdował się cmentarz żydowski, nie uchował się ani jeden nagrobek.

Pani Armstrong nie miała pojęcia, że niegdyś w Piszczacu mieszkało wielu Żydów. Podobnie, jak się okazało, myślał jej ojciec. I dlatego, wychodząc z założenia, że podczas okupacji niemieckiej jego rodzina będzie bezpieczna właśnie w małym miasteczku na prowincji, gdzie – jak sądził – nikt nie widział Żyda, przeprowadził się do Piszczaca...

Jedna ze starszych kobiet, Janina Kisiel, pamiętała dentystę Bogusławskiego, bo leczyła u niego zęby. Diane Armstrong rozpoznała również dom swego okupacyjnego dzieciństwa, jednak obecny właściciel zachował się mało gościnnie i nie pozwolił wejść jej do środka.

Największym przeżyciem było spotkanie z ks. Romanem w Białej Podlaskiej. – Mała Danusia, kochana, mała Danusia! Wróciłaś po pięćdziesięciu latach... – przytulił do siebie

kobietę, która wybuchła płaczem. – Płacz, dziecko, masz mnóstwo powodów, by płakać. Po tych strasznych czasach. Wypłacz to teraz. Niech Bóg zawsze ma cię w swojej opiece.

Okazało się, że ks. Soszyński, mający już wtedy ponad osiemdziesiąt lat, jakby przeczuwał tę niezwykłą wizytę, bo akurat dwa dni wcześniej myślał o Danusi. Gdy się dowiedział, że czekają na niego goście z zagranicy, nie miał wątpliwości, kto przyjechał.

– Oczywiście, wiedziałem, że jesteście Żydami. Wszyscy w Piszczacu wiedzieli – powiedział.

„Tylko ksiądz mógł sprawić, że do końca wojny nikt nas nie zadenuncjował. Nasze życie leżało całkowicie w jego rękach” – napisała potem w australijskiej prasie pani Armstrong.

Jej syn Jonathan znalazł w rzeczach dziadków oprawiony w ramki święty obrazek z Jezusem – dość niezwykłą pamiątkę w żydowskim domu. Ledwo czytelny napis na odwrocie zawierał dedykację: „Oby wszechmocna łaska Miłosierdzia Bożego pomagała p. Henrykowi Bogusławskiemu”. Bogusławski przechowywał ten obrazek od 1944 r. do końca swego życia. – To ja go dałem twemu ojcu – usłyszała od księdza Diane. – Wierzę, że to dzięki łasce Miłosierdzia Bożego udało się wam przeżyć, a potem cudownie odmieniło się wasze życie.

Ksiądz Soszyński, ofiarowując jej swoją książkę *Piszczac miasto ongiś królewskie*, gdzie zresztą na dwóch stronach przedstawił historię ocalenia jej rodziny, napisał: „Danusi Bogusławskiej, która żyła w potwornych czasach i razem z najbliższymi musiała walczyć o przeżycie”.

Diane Armstrong opisała swoją podróż do Polski w australijskiej prasie, przeciwstawiając się stereotypowi „polskiego antysemityzmu”. Dzięki jej staraniom, w 1996 r. zasadzono w Jerozolimie aleję 54 drzew na cześć ks. Romana Soszyńskiego.

Ksiądz Roman Soszyński (1912–2003) – pochodził z rodziny drobnej szlachty podlaskiej. Po maturze w Siedlcach wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Janowie Podlaskim i w 1937 r. uzyskał święcenia kapłańskie. Wikariusz w Parysowie, Żelechowie, Krzesku i Mokobodach; w 1942–1967 proboszcz w Piszczacu, 1967–1970 we Włodawie, 1970–1976 proboszcz i dziekan w Żelechowie, od 1976 r. do emerytury proboszcz w parafii św. Anny w Białej Podlaskiej. W 1966 r. otrzymał tytuł honorowego kanonika siedleckiej kapituły katedralnej. Sekretarz Komitetu Odbudowy Kościołów na Białorusi. Historyk-regionalista, autor wielu artykułów i książek na temat dziejów Podlasia i unitów podlaskich.

Diane Armstrong – ur. w 1939 r. w Krakowie w rodzinie polskich Żydów dopiero w wieku siedmiu lat dowiedziała się o swoim pochodzeniu. W 1948 r. wyemigrowała wraz z rodzicami do Australii. Jako niezależna dziennikarka publikowała teksty w prasie wielu krajów, a jej artykuły zdobywały prestiżowe nagrody. Pod wpływem spotkania z ks. Romanem Soszyńskim napisała *Mozaikę wspomnień* – opartą na relacjach bliskich sągę rodziny obejmującą sto lat i losy pięciu generacji rozrzuconych na czterech kontynentach; w 2001 r. książka znalazła się na liście bestsellerów amazon.com, największej księgarni internetowej. W 2002 r. odwiedziła rodzinny Kraków. Napisała także *Podróż ich życia* (reportaż historyczny o rejsie emigrantów z Marsylii do Australii w 1948 r.). Mieszka w Sydney.

D. Armstrong, *Kto ratuje jedno życie...*, „Readers Digest Przegląd”, 4/1998.

D. Armstrong, *Mosaic, a Chronicle of Five Generations*, Random House, 1998.

D. Armstrong, *Return to Piszczac*, „The Australian Magazine”, 24–25 II 1996.

W.B. Kardasz, *Ksiądz kanonik mgr Roman Soszyński (1912–2003)*, [w:] *Dynamiczny Herbarz Rodzin Polskich*.

Ks. R. Soszyński, *Piszczac miasto ongiś królewskie*, Biała Podlaska 1992.

OCALONA NA KASZUBACH

Odsetek Żydów wśród ludności przedwojennego woj. pomorskiego był znikomy i pod koniec 1937 r. wynosił zaledwie 0,4 proc. Wyjątek stanowiła Gdynia, gdzie liczba Żydów wzrosła do 1938 r. do poziomu ok. 4 proc. ogółu ludności. W kaszubskich miastach powiatowych gminy wyznania mojżeszowego skupiały w przededniu wojny zaledwie po kilkadziesiąt osób. Część z nich należała do rodzin osiadłych na tym terenie od kilku pokoleń, inne przybyły po I wojnie światowej. W Kartuzach od XIX w. była znana rodzina Pintusów.

Maks Pintus był kupcem we wsi Chmielno opodal Kartuz, gdzie prowadził sklep, posiadał też gospodarstwo rolne i Jezioro Rekowskie. Udzielał się jako skarbnik w kartuskim Kaszubskim Towarzystwie Ludoznawczym. Cieszył się dużym szacunkiem lokalnej społeczności polsko-kaszubskiej. Zmarł w 1919 r. Miał siedmioro dzieci. Tekst niniejszy dotyczy przeżyć córki Maksa, Else Pintus, urodzonej 15 września 1893 r. w Chmielnie. Dom Pintusów w Chmielnie spłonął w latach trzydziestych, co skłoniło część rodzeństwa, nadal mieszkającą w rodzinnej wsi, do przeniesienia się do Kartuz. Mieszkali tam w niewielkim domu, a środki na utrzymanie czerpali z dzierżawy ziemi i jeziora oraz prowadzenia sklepu i warsztatu zegarmistrzowskiego w Kartuzach. Tam zaskoczył ich wybuch wojny.

Kartuzy zostały zajęte przez Wehrmacht już w pierwszym tygodniu wojny. Okupacja miasteczka rozpoczęła się od aresztowań dokonywanych wśród osób czynnych przed 1 września 1939 r. w polskim życiu publicznym i niektórych Żydów oraz rabowania polskich i żydowskich domów, sklepów i warsztatów. Dokonywali tego najeźdźcy, którym za przewodników służyli miejscowi Niemcy.

Else Pintus postanowiła opuścić Kartuzy, gdzie wszyscy ją znali, i udała się do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Gdańska, stolicy nowego Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie (Reichsgau Danzig-Westpreußen). W Gdańsku funkcjonowała nadal Gmina Synagogałna świadcząca pomoc ok. 1,5 tys. Żydów, którzy nie zdołali wyemigrować przed wybuchem wojny. Do jej głównych zadań należało zaopatrzenie w pożywienie osób starych, chorych niesamodzielnych oraz usuniętych ze swoich domów i mieszkań. Nieprzerwanie trwały negocjacje z zagranicznymi instytucjami na temat pozyskania środków finansowych oraz załatwienia formalności wizowych umożliwiających grupowy wyjazd podopiecznych gminy na tereny niekontrolowane przez nazistowskie Niemcy. Względny, w porównaniu z sytuacją na terenie okupowanej Polski, spokój i bezpieczeństwo, którymi cieszyli się Żydzi w Gdańsku, zniknęły w marcu 1941 r., gdy gestapo przystąpiło do wysyłania kolejnych grup do gett i obozów w Generalnym Gubernatorstwie.

W nowej sytuacji Else Pintus, która w 1939 r. uzyskała posadę pracownicy socjalnej przy gdańskiej Gminie Synagogałnej, postanowiła podjąć ryzyko szukania ratunku u znajomych w Chmielnie. Należy podkreślić, że to miejsce nie było najbezpieczniejsze – położone nad malowniczym jeziorem, w okresie letnim było chętnie odwiedzane przez turystów. Ponadto Pintus znało tam wiele osób. W zorganizowaniu ucieczki i miejsca schronienia pomogła jej

przyjaciółka z Kartuz, Justyna. Obie musiały bardzo uważać. Teren roił się od znajomych Niemców, którzy mogli je rozpoznać i wydać w ręce policji.

Pintus opuściła Gdańsk 13 grudnia 1942 r. o 13.30, a do Kartuz dotarła późnym wieczorem tego samego dnia. Po kilkunastu godzinach spędzonych w mieszkaniu Justyny, udała się w dalszą drogę do Chmielna, do domu Józefa i Klementyny Stencłów, z którymi mieszkały również ich córki Dorota i Regina oraz mąż tej drugiej, Antoni Plichta. W domu mieszkało także troje dzieci: córka Reginy i Antoniego oraz sieroty w wieku dziesięciu i dwunastu lat, których ojca pocztowca zamordowali Niemcy. Ich matka z trzecim dzieckiem przebywała u innych ludzi. Dzieci te nie wiedziały nic o Else. Podobnie zamieszkująca stale pomoc domowa.

Pintusowie udzielili Stencłom przed wojną wsparcia, odstępując dzierzawę jeziora. Tym samym dochód z połowu ryb istotnie zasilił budżet Stencłów, którzy mieli wówczas duże kłopoty finansowe. Początkowo Stencłowie zgodzili się ukryć Else tylko na okres zimy i wiosny, natomiast na lato miała poszukać sobie innego miejsca, ponieważ planowali oni przyjęcie – jak co roku – letników, a ci mogli szybciej niż inne osoby postronne zauważyć obecność Żydówki. Niestety, Justyna, która wstępnie obiecała pomoc w okresie letnim, ostatecznie nie podjęła ryzyka i zresztą w ogóle nie spotkała się już z Else do marca 1945 r. Tym samym cały ciężar i ryzyko pomocy przeszedł na Stencłów.

W obliczu braku innych rozwiązań Stencłowie zdecydowali się ukrywać Pintus nadal, również w okresie letniego sezonu turystycznego. Przebywała wówczas w niez izolowanym pomieszczeniu na poddaszu, w bardzo trudnych warunkach, w upalne dni było tam bardzo duszno i gorąco (zimą był tam dotkliwy chłód). Ponadto była zmuszona zachowywać się bardzo cicho, gdyż tylko cienka ściana odgradzała ją od pokoju letników. Czasami byli to fanatyczni hitlerowcy. W gościnie przebywali przez pewien czas krewni z Berlina, wśród nich, niestety, również zdarzali się hitlerowcy. Duży problem stanowiły dzieci gości, myszujące w nowym miejscu, zaintrygowane pomieszczeniem, do którego nie miały dostępu. Pewnego razu Regina Stencel musiała wymyślić całą historię, aby wyjaśnić obecność kobiety, która mimo środków ostrożności została jednak zauważona w nocy przez krewne przybyłe z Berlina. Na szczęście opowieść została przyjęta do wiadomości.

Pod naciskiem władz we wsi wszczęto proces licznych inwestycji. W jego ramach dokonano również przebudowy domu Stencłów. W konsekwencji w budynku i na terenie posesji pracowało wielu robotników. Zamknięte poddasze prowokowało ich liczne komentarze i podejrzenia, że jest tam przechowywana niezarejestrowana żywność. Wiele emocji wywołała informacja o wizytacji wiejskich inwestycji przez gauleitera Alberta Forstera. Pintus i Stencłowie obawiali się prewencyjnych rewizji prowadzonych przez gestapo w domach, które wytypowano jako cel wizyty namiestnika okręgu.

Aby zabić czas, Else szyła, cerowała, robiła na drutach i szydełkowała. Gdy nie miała innego zajęcia, przez okienko obserwowała przechodniów. Ze względów bezpieczeństwa jedzenie przynoszono jej tylko raz dziennie. Chociaż tego nie opisuje wprost, z kontekstu wynika, że całymi tygodniami nie mogła niemal nic robić, gdyż w przeciwnym razie natychmiast zostałaby usłyszana przez osoby czasowo przebywające w domu. Można też mieć wątpliwość, jak długo naprawdę udało się utrzymać w tajemnicy przed dziećmi jej obecność w starym domu.

W marcu 1944 r. zmarł Antoni Plichta, a trzy tygodnie później Regina Stencel urodziła drugie dziecko. W nowych warunkach sytuacja Else uległa zmianie, niestety – jak wspominała – na gorsze. Pracowała teraz znacznie więcej, m.in. sprząając dom oraz opierając rodzinę. Musiała to robić, zanim dzieci wstały z łóżek i po tym, jak szły spać.

Jesienią 1944 r. zamieszkali u Stenclowej Nagurscy, krewni spod Kościerzyny, których na początku wojny Niemcy wysiedlili w okolice Siedlec, skąd z kolei przyjechali, uciekając przed nadchodzącym frontem. Do swojego gospodarstwa nie mogli wrócić, ponieważ zajął je niemiecki osadnik. Nagurscy wiedzieli o Pintus i odnosili się do niej bardzo życzliwie, pocieszając, że wobec klęsk ponoszonych przez Trzecią Rzeszę wkrótce powinno nadejść wyzwolenie. Jednak zanim to nastąpiło, przez wieś przepłynęły tysiące niemieckich uchodźców z Prus Wschodnich. Szczególnie niebezpieczny był pobyt około siedemdziesięciosobowego oddziału policjantów, których część zakwaterowano na pewien czas również w domu Stenclowej. Jedyna korzystna okoliczność to to, że byli oni obcy i Else mogła występować jako domownik, nie wzbudzając większych podejrzeń. Podobnie rzecz się miała w styczniu 1945 r., kiedy do wsi zawitała na kwatery osiemdziesięciosobowy oddział SS. Jego zadaniem było tropienie dezerterów i więźniów KL Stutthof zbiegłych z konwoju w trakcie lądowej ewakuacji obozu, której trasy wiodły m.in. przez pow. kartuski.

Obecność SS doprowadziła Pintus i jej gospodarzy do stanu skrajnego wyczerpania nerwowego. W każdej chwili obawiali się odkrycia tożsamości Żydówki. Esesmani przeszukiwali domy także w Chmielnie. Else nie chciała mieć na sumieniu rodziny Stenclów, nosiła się z zamiarem opuszczenia domu i zażycia trucizny, by odkrycie jej osoby nie stało się powodem rodzinnej tragedii. Szczęśliwie komando SS opuściło wieś przed dokonaniem przeszukania u Stenclów. Później lokalni urzędnicy gminni wydali rozkaz do ewakuacji pod groźbą rozstrzelania każdej osoby, która próbowałaby pozostać na miejscu. Taki generalny exodus wszystkich mieszkańców mógł łatwo doprowadzić do dekonspiracji Else, ale na szczęście i tym razem lokalni bonzowie NSDAP zbiegli nagle, nie starając się wyegzekwować swoich poleceń.

Żołnierze sowieccy wkroczyli do Chmielna rano 10 marca 1945 r., jednak – z powodu strachu przed ich samowolą i gwałtami – kobiety, w tym Else, zaczęły swobodnie poruszać się po wsi dopiero dwa tygodnie później.

Stenclowie i Else spędzili pod jednym dachem prawie 28 miesięcy. Nie był to okres łatwy z różnych powodów. Zagrożenie ze strony nazistów potęgowało stres, a ten przenosił się na relacje międzyludzkie i wywoływał zadrażnienia. Mimo to nie ulega wątpliwości, że obie strony zdały bardzo trudny egzamin. Zarówno Regina Stencel, która była niezwykle konsekwentna w egzekwowaniu prac wyznaczonych do wykonania, jak też jej rodzice oraz siostra wywiązały się z obietnicy danej w 1942 r., i to im głównie Else zawdzięczała przetrwanie niemieckiej okupacji. A pomoc – co należy podkreślić – była niesiona w ekstremalnie trudnych warunkach, w środku dużej wsi, gdzie znajdowało się mnóstwo fanatycznych hitlerowców, a często w warunkach bezpośredniej obecności funkcjonariuszy państwa niemieckiego.

Else Pintus żyła w Chmielnie do 1947 r., potem wyjechała do Niemiec, gdzie mieszkała w Berlinie aż do śmierci 23 sierpnia 1980 r. Nie wystąpiła o nadanie swoim wybawcom tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, chociaż w 1971 r. przepisała nieruchomości w Chmielnie na córkę Stenclów, Dorotę. Próby uzyskania tytułu dla ratowników podejmowane przez prof. Józefa Borzyszkowskiego ze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego spotkały się z odmowną odpowiedzią Yad Vashem.

Informacje zawarte w artykule pochodzą z maszynopisu wspomnień Else Pintus *Meine wahren Erlebnisse*, przechowywanego w archiwum Yad Vashem w Jerozolimie (sygn. AYW.02.465) oraz książki Else Pintus, *Meine wahren Erlebnisse – Moje prawdziwe przeżycia*, tłum. Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk, Gdańsk 2005.

OBCY WE WŁASNYM MIEŚCIE

Tuż przed wojną mieli po dziewięć, dziesięć lat. Cieszyli się dzieciństwem. Dziewczynki lalkom powierzały swoje tajemnice i w akcie odwagi przymierzały mamy pantofle. Chłopcy grali w piłkę, czasem bawili się w wojnę i strzelali z drewnianych patyków. Dziś są po siedemdziesiątce, mówią piękną przedwojenną polszczyzną – zarówno ci, którzy nie wyjechali z kraju, jak i ci, którzy spędzili wiele powojennych lat poza Polską. W pomarszczonych twarzach mają zakodowaną przeszłość. Także w przestraszonych oczach, odruchach, zwłaszcza gdy opowiadają o swoich dramatach z czasu wojny, kiedy z dnia na dzień stali się obcymi w swoich miejscowościach.

Obrzezany Polak

Jan Karpiński przez sześć lat był ukrywany przed Niemcami przez nieznaną mu rodzinę. Po wojnie kilkanaście lat spędził w Szwecji. Dziś znów mieszka w Polsce, w pięknym domu położonym na skraju Puszczy Kampinoskiej.

– Jestem obrzezanym Polakiem – podkreśla z naciskiem. Choć należy do Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” w Polsce, nie do końca jest przekonany, czy utożsamia się ze społecznością żydowską.

Gdy wybuchła wojna, mieszkał w Krakowie. Miał dziesięć lat i nazywał się Jan Klappe. I jedynie to nazwisko, jak podkreśla, mogło sugerować „niepolskość” jego pochodzenia.

Janek uwielbiał Kraków, włączył z rodzicami po Starym Mieście, wizyty na Wawelu, wpatrywanie się godzinami w ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim i lody, które były inne na Grodzkiej, a inne na Kleparzu.

Chodził do prywatnej szkoły obok redakcji „Ilustrowanego Kuriera Porannego”. Zatrzymywał się tam codziennie, by na jedynej świetlnej tablicy w Krakowie przeczytać wiadomości z kraju i ze świata. Zajmowało mu to dobre pół godziny, a czasem więcej, kiedy pisali o sporcie. Kupował co tydzień „Karuzelę”, żeby śledzić losy swoich bohaterów: Pata i Pataszona. W szkole chodził na religię „katolicką, a nie mojżeszową”.

Ojciec Janka pracował jako inżynier w Solvayu. Matka zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci. Oboje czuli się Polakami. Wprawdzie rodzice Janka utrzymywali kontakt ze swoją żydowską rodziną, ale ani nie znali języka jidysz, ani nie pielęgnowali żydowskiej kultury. Choć byli ateistami, to jednak nie zniechęcali Janka do lekcji religii. Na Boże Narodzenie ubierali choinkę i chodzili na Pasterkę. A na Wielkanoc święcili potrawy.

Matka wyjechała z trzema synami do Lwowa 3 września 1939 r. Ojciec musiał zostać w fabryce. Z najazdu Sowietów na Polskę Janek niewiele pamięta. – Czułem nienormalność, bo choć biegaliśmy po parku Stryjeńskim z sowieckimi rówieśnikami, to bawiąc się w wojnę, po prostu biliśmy ich. Do dziś pamiętam, że uważaliśmy ich za okupantów. Przedostatniego dnia okupacji sowieckiej załadowano nas z całą rodziną do transportu na Syberię, bo jak się wtedy mówiło: „byliśmy obcy klasowo”. Zostaliśmy jednak wykupieni przez rodzinę – opowiada Jan Karpiński.

W kilka dni po wejściu Niemców do Lwowa, jeszcze w czerwcu 1941 r., Niemcy zabrali z domu matkę i jej średniego, szesnastoletniego syna. – Nie czułem grozy. Drugi brat, który był już dorosłym mężczyzną, przypuszczał, że wzięto ich do kopania rowów – wspomina Jan Karpiński. – Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że zostali rozstrzelani następnego dnia. Zostałem pod opieką starszego brata i wkrótce zaczęliśmy się ukrywać u jakichś polskich znajomych. Zupełnie nie pamiętam, jak się nazywali. Może potrafiłbym wskazać ten dom. We Lwowie nie pozostaliśmy jednak długo. Wprawdzie mieliśmy tu znajomych, ale to nie było nasze miasto. Na Boże Narodzenie wróciliśmy do Krakowa – dodaje.



Fot. M. Wyrwich

Jan Karpiński

W Krakowie okazało się, że ich duże, kilkupokojowe mieszkanie w centrum miasta zostało zajęte przez Niemców. Ojciec musiał zamieszkać w getcie. Braci przysparzała była niania Kazia, która miała niewielki dom w Borku Fałęckim. Janek czasem przekradał się do ojca w getcie, mimo że nie było to bezpieczne. – Czułem się odrzucony, jakby czymś zupełnie niepotrzebnym... Do dziś pamiętam to straszne odrzucenie. Miałem potworny żal do murów, do ludzi... Nie mogłem uwierzyć, że oto moje ulubione miasto stało się dla mnie zagrożeniem. Że jestem obcym we własnym mieście. Czułem też strach moich znajomych, z którymi się spotykałem, wychodząc z domu niani Kazi – rówieśników czy ich rodziców. Na Boże Narodzenie 1942 r. odwiedziłem ojca. Przeżyłem wtedy chwile największej rozpaczki. Ale nie płakałem. Nie chciałem ojcu robić przykrości, bo wiedziałem, że on nie może stamtąd wyjść, a ja tak. Staliśmy w Wigilię w getcie za drutami i patrzyliśmy na choinkę na Rynku Podgórskim. Chyba nigdy w życiu już później nie czułem się tak samotny jak wtedy. Taki napiętnowany tym drutem kolczastym. Napiętnowany, całkowicie samotny. Nagle zrozumiałem, co to znaczy obrzezanie – opowiada ze łzami w oczach Karpiński.

Jakiś czas później Niemcy wyrzucili ojca Janka z pracy w Solvayu i zamknęli w obozie, mimo że miał „dobre papiery”. Po kilku miesiącach, jak się później chłopiec dowiedział, ojciec został zamordowany. Niedługo potem aresztowano najstarszego brata. Sąsiedzi zaczęli się bać, że Janek, który bawił się z ich dziećmi, może ściągnąć na nich represje Niemców. Chłopak przeniósł się do getta.

– Przez kilka tygodni chodziłem w getcie z białą opaską i niebieską gwiazdą, sprzedając papierosy. Nie było źle, bo niania Kazia podrzucała mi jedzenie. W połowie marca 1943 r. Niemcy zaczęli likwidować getto. Ludzi wyprowadzano szóstkami do obozu w Płaszowie. Na rozkaz Niemców Polacy wywozili furmankami różne rzeczy. Jeden z nich – pewnie to załatwiła Kazia, a może spontanicznie – ukrył mnie pod jakimiś pierzynami i byłem za gettem. Dostałem, chyba od Kazi, a może od wujka, adres do niejakiego Piątkowskiego,

mieszkającego przy Odolańskiej w Warszawie. Szczęśliwie dojechałem nocnym pociągiem na Dworzec Główny. Ale tam wypatrzyli mnie szmalcownicy. Zrewidowali mnie, a że nie miałem żadnych pieniędzy, więc zaprowadzili na policję granatową. Ale policjanci mnie wypuścili – wspomina.

Janek bez trudu trafił na Odolańską. Tam, w domu polskiej rodziny, ukrywało się już kilkanaścioro Żydów. Spotkał nawet swoją kuzynkę z Krakowa. W następnym tygodniu znów ktoś przybył. Po dwóch tygodniach Janek rozpoczął wędrówkę po warszawskich adresach. Był „przerzucany” nocą z adresu na adres, z dzielnicy do dzielnicy. Mieszkał w cudzych mieszkaniach od kilku tygodni do kilku miesięcy. Jakaś niewidzialna ręka decydowała, gdzie będzie tym razem „rezydował”. Choć był zmęczony tymi ciągłymi przenosinami, cieszył się, że nie mieszka w jakiejś komórce, z której mógłby wychodzić tylko nocami. Starał się jednak nie oddalać od swoich „kryjówek”, żeby w razie jakiegokolwiek zagrożenia móc szybko trafić we właściwe miejsce.

– Do wybuchu Powstania Warszawskiego ukrywałem się pod kilkunastoma adresami. Nie pamiętam nazwisk ludzi, u których mieszkałem. Kto by pytał o nazwiska... W razie wpadki to byłoby wielkie zagrożenie. Znałem ich imiona, nie wiem zresztą, czy prawdziwe. Przez jakiś czas mieszkałem m.in. w domu dziecka. Nauczycielka trzymała mnie w pokoju. Nie mogłem podchodzić do okna i było mi smutno, kiedy dzieci grały na boisku w piłkę. Stamtąd trafiłem do hotelu „na godziny”. Tam zresztą chyba ukrywali się też nie tylko Żydzi, ale i jacyś Polacy. W końcu trafiłem na pl. Napoleona, gdzie poznałem swoją przyszłą żonę. Pracowała z matką jako sprzątaczką w domu przy Sienkiewicza 2. Te kobiety przechowywały tam kilkunastu Żydów, niemalże pod okiem Niemców pracujących na pobliskiej Poczcie Głównej. I właśnie na Sienkiewicza zastało mnie Powstanie Warszawskie. Należałem do Oddziałów Pomocniczych Powstania Warszawskiego i gasiłem domy na Mazowieckiej. Po Powstaniu postanowiliśmy, z rodziną mojej przyszłej żony i grupą Żydów, nie wychodzić z Warszawy. Nie ufaliśmy Niemcom, choć moglibyśmy dostać od AK papiery, że walczyliśmy. Dalej ukrywaliśmy się w piwnicach. Już nie w Śródmieściu, ale niedaleko. W piwnicy znaleźliśmy ogromne zasoby fasoli. I to nam bardzo pomogło. Zdaje się, że 17 stycznia zauważyłem pierwszego polskiego żołnierza. Pięć dni później poszedłem do Komitetu Żydowskiego. Powiedziano mi: „Jedziesz do Palestyny. Do swojego kraju”. Odpowiedziałem: „Mój kraj to Polska” – kończy swą opowieść Jan Karpiński.

Ciemnooka blondynka

Danuta Lis, o panińskim nazwisku Szmeler, przed wojną mieszkała we Lwowie. Jej ojciec był właścicielem firmy konfekcyjnej. Kiedy Sowieci rozpoczęli okupację Lwowa, był poszukiwany przez kilka dni. Okazało się jednak, że za grube pieniądze udało się go wybronić przed więzieniem. A Niemcy, którzy wkroczyli do Lwowa w 1941 r., wyrzucili ich z rodzinnej kamienicy. Rodzina wybudowała ją na rok przed wojną. Musieli teraz zamieszkać w dzielnicy żydowskiej.

– Byłam zupełnie niepodobna do Żydówki. Miałam jasne długie warkoczki. Matka uczyła mnie niemieckiego od dziecka, więc mówiłam całkiem biegle w tym języku. Ojciec załatwił mi aryjskie papiery – opowiada Danuta Lis. – Jakiś czas byłam z rodzicami w getcie. Robili walonki w niemieckiej fabryce. Mieli karty, które upoważniały ich do pobytu poza gettem. Kiedy wiedzieli, że Niemcy będą przeprowadzać w getcie łapanki, wyprowadzali mnie na aryjską stronę i ukrywali u polskich znajomych. Było mi smutno, czasem więc uciekałam do rodziców. Pewnego dnia, w 1943 r., była łapanka na dzieci i starców. W przerwie tej akcji

zjawiłam się w getcie. Rodzicie niemal zamarli z przerażenia. W pokoju, w którym mieszkali, stał stół z długim obrusem. Ojciec mnie tam wepchnął. Niemcy rabowali mieszkanie, byli więc zaafetowani i nie zauważyli mnie. Któryś z nich wprawdzie zaświecił pod stół latarką, lecz ojciec natychmiast odwrócił jego uwagę. Wyjmując sprzężyny do ćwiczeń, zapytał, czy nie chce tego. Kiedy wyszli, ojciec nocą zaprowadził mnie do swojej fabryki za olbrzymią ścianę z walonek, gdzie ukrywało się kilkunastu Żydów. Była tam też rodzina z małym dzieckiem. Zostało ono zaduszone, ponieważ wrzeszczało i stanowiło zagrożenie dla innych. Podawano nam tylko wodę. Po dziesięciu dniach rodzice wyprowadzili mnie stamtąd i zakazali mi przychodzić do getta. Mamy już nigdy nie zobaczyłam. Wzięto ją do obozu i tam zginęła. Tatę widziałam ostatni raz, gdy sprzątał ulicę przed wywózką do Warszawy. Uśmiechnęliśmy się do siebie – mówi Danuta Lis.



Fot. M. Wyrwich

Danuta Lis

Danusia mieszkała u przyjaciół ojca. Jak podkreśla, nie ukrywała się, bo miała aryjskie papiery i blond włosy. Ale świadomość, że jest Żydówką, kazała jej wciąż bacznie się rozglądać, czy nie zostanie przypadkowo rozpoznana przez jakiegoś Niemca, na przykład podczas łapanek. Pewnego dnia dostała informację od polskich opiekunów, że ma odwiedzić rodzinę w Warszawie. – Przywiózł mnie ze Lwowa Żyd ze Śląska, który transportował Żydów za pieniądze. Jak się okazało po wojnie, był typem spod ciemnej gwiazdy. „Sprzedawał” Żydów Niemcom. Po wojnie został osadzony na Montelupich i tam skazany na śmierć. Nie wiem czemu, ale mnie nie zadenuncjował. Z krewnymi się nie spotkałam, bo w getcie rozpoczynało się właśnie powstanie. Przez znajomych rodziców, których adres miałam zaszyty w płaszczu, trafiłam do polskiej rodziny w Konstancinie, która już ukrywała kilkanaścioro żydowskich dzieci – opowiada dalej pani Danuta.

W Konstancinie ukrywała się przez kilka miesięcy. Musiała siedzieć w pokoju. Pozwalano jej wychodzić tylko w nocy. Buntowała się, bo czuła się „aryjką” z blond włosami. Pewnego dnia, latem 1944 r., uciekła z kryjówki. Wieczorem wsiadła do nocnego pociągu jadącego do Lwowa. Była zdesperowana, zmęczona, głodna i przestraszona. Kiedy więc nad ranem dotarła do Lwowa, było jej już wszystko jedno. Poszła do parku Stryjeńskiego, gdzie wówczas znajdowała się swego rodzaju sypialnia dla bezdomnych. Na trawnikach i ławkach koczowało kilkaset osób. Siadła na ławce i przysnęła. Obudziło ją ostre słońce.

– Miałam jeszcze trochę pieniędzy, chciałam kupić jakąś bułkę, poszukać wody, jakoś się ogarnąć. Niewiele uszłam i spotkałam swojego anioła – wspomina Danuta Lis. – Był ode mnie o siedem lat starszy. Sprzedawał ciastka, ale to była tylko przykrywka dla jego działalności w AK. Uśmiechnął się: „Niech panienka kupi ciastka”. Odpowiedziałam: „Nie lubię ciastek”. A on na to: „To proszę się poczęstować”.

Z pewnym ociąganiem, ale wzięłam. Przedstawił się: „Damian jestem. Może jakoś panience pomóc?”

Danusia trochę mu nakłamała: że jest Polką z innego miasta i ma skończone szesnaście lat. Ale powiedziała też prawdę, że rodzice nie żyją i nie ma gdzie się podziać. A on, niewiele pytając, umieścił ją w polskiej rodzinie. Odwiedzał ją. Przynosił dla niej takie jedzenie, którego od kilku lat już nie widziała. I zaraz po wejściu Rosjan do Lwowa zaproponował jej wyjazd do Warszawy.

– Wiedział, że jestem Żydówką. Wiedział, skąd pochodzę i wiele innych rzeczy o naszej rodzinie. Nie zmyliły go te moje „nordyckie” warkocze. Zaopiekował się mną i okazał mi tyle ciepła i serdeczności. Kilka miesięcy później poprosił mnie o rękę. Miałam zaledwie czternaście lat. Ale bałam się przyznać. Myślałam, że jak dowie się, ile mam tak naprawdę, to mnie porzuci.

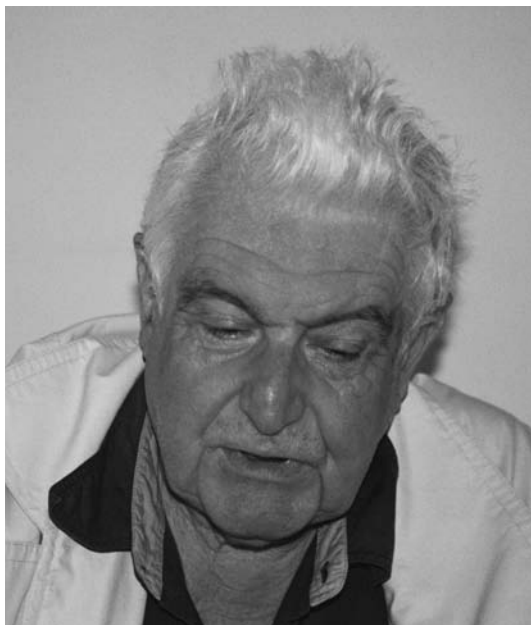
„Ale ja pana nie kocham” powiedziałam. On jednak nie dał za wygraną i powiedział: „To się panienska przyzwyczai”.

– Tak naprawdę byłam w nim zakochana – wspomina. – Przeżyliśmy wspólnie wiele lat. Po wojnie wyjechaliśmy z Polski. Ale ja wciąż bardzo przeżywałam to, co się działo w czasie okupacji. Kiedy Damian wychodził z domu, uważałam, że mnie zostawił. Robiłam mu z tego powodu awantury. Stawałam w oknie i patrzyłam za nim godzinami. Nic nie robiłam, tylko czekałam, kiedy będzie wracał. Byłam bardzo dokuczliwa. Budziłam się z krzykiem w nocy. Śniło mi się, że ludzie są prowadzeni na egzekucję. Słyszałam strzały. Damian radził się lekarzy, jak mi pomóc. Powiedzieli mu, że muszę doznać jakiegoś szoku. I tak się stało: moim szokiem było urodzenie syna. Kiedy jednak zostałam matką, Damian przestał się dla mnie liczyć. Powoli nasze małżeństwo rozpadało się, aż się rozwiedliśmy. Dziś już nie żyje. Ale mam wspaniałego syna i fantastyczną wnuczkę. Polonistkę pracującą w Wiedniu.

– Owszem, czasem spotykam się z „dziećmi Holocaustu”, ale to na mnie źle działa. Kiedy jest jakiś film o okupacji, to wyłączam telewizor. W Izraelu raczej nie rozmawia się o okupacji. Bo tam nikt tak naprawdę nie jest zainteresowany II wojną. W Polsce jest inaczej. Kilka lat temu przyjeżdżałam do Polski na miesiąc. Teraz już na pół roku. I kto wie, czy nie osiadę na stałe – kończy swoją opowieść Danuta Lis.

Żyd nie Żyd

Tomek Prot urodził się w 1930 r. Mieszkał z matką i siostrą na Bielanach w Warszawie. Ojciec, dr inż. Jan Prot, był dyrektorem naczelnym fabryki broni w Pionkach pod Radomiem. Przyjeżdżał do domu raz na tydzień albo i rzadziej. Rodzice przeszli na katolicyzm i nie widzieli powodu, by mówić synowi, że są Żydami. Matka wywozдила się



Tomasz Prot

Fot. M. Wyrwich

z rodziny Dajchesów, mieszkających w Krakowie już pod początku XVII w. Ojciec pochodził z żydowskiej rodziny Protów, również od dawna osiadłej w Polsce. Chłopiec dowiedział się, że jest Żydem w ostatnie wakacje przed wojną od swoich kuzynów, którzy przekonywali go: „Skoro my jesteśmy Żydami i twoimi kuzynami, to i ty musisz być Żydem”. Ale i tak nie bardzo rozumiał, jakie to może mieć znaczenie dla jego dziecięcych zabaw.

Tomek był dumny z ojca, bo już w pierwszej klasie mógł się chwalić, podczas obchodów 11 listopada 1938 r., że jego ojciec był legionistą, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, dosłużył się stopnia majora i przez jakiś czas pracował w sztabie generalnym z marszałkiem Piłsudskim. W 1939 r., w czasie wakacji, mały Tomek był u ojca i zwiedzał fabrykę broni. Czuł się wtedy bardzo ważny.

– Byłem śniady. Miałem czarne włosy. Wyglądałem, nazwijmy to, orientalnie. W szkole miałem trochę przykrości – wspomina. – Z jednej strony byliśmy stuprocentowymi Polakami, a z drugiej – podejrzewano w szkole, że jestem Żydem, bo przyjaźniłem się z Żydówką.

Podczas bombardowań Żoliborza we wrześniu 1939 r. mama Tomka przeniosła się wraz z nim do śródmiejskiego mieszkania rodziny Wilderów – przed wojną znanych polskich antykwariuszy. Następnego dnia bomba uderzyła w kamienicę, w której mieszkali, i zawałiła część mieszkania. Zginęła Elżunia, rówieśnica Tomka, która bawiła się w sąsiednim pokoju.

– Wtedy poczułem tę straszną groźbę wojny – mówi Tomasz Prot. – Wracaliśmy do domu ulicą Miodową, przy której paliły się niektóre domy. To był dla mnie przerażający widok.

Po jakimś czasie Tomek dowiedział się, że Żydzi muszą schodzić z chodnika, kiedy idzie Niemiec. Był dumny, że jego to nie dotyczy, bo jest Polakiem, katolikiem i jest nieobrzezany.

– Mimo tej „polskości” mieliśmy fałszywe papiery na węgierskie nazwisko Koshut – opowiada. – Byłem ochrzczony, jednak mama nie chciała za bardzo ryzykować. Niemcy przecież wiedzieli, że sporo Żydów to katolicy, więc staraliśmy się nie wchodzić im w łapy. Byliśmy zaprzyjaźnieni z siostrami w Laskach i z ks. Kornilowiczem, który przygotował mnie do Pierwszej Komunii. Zamieszkaliśmy więc w Laskach i byliśmy tam do późnego lata 1941 r. Podobnie jak kilka, może kilkanaście rodzin żydowskich. Były tam też zakonnice pochodzenia żydowskiego. Później ukrywałem się w Warszawie, przyhołubiony przez panią Stefanowską mieszkającą na Żoliborzu. Nie wychodziłem z domu. Bała się o mnie okropnie, bo jej dzieci działały na konspiracji. Przynosiły jakieś podziemne gazetki. Zginęły w czasie Powstania Warszawskiego.

Od 1941 r. kolejnym miejscem ukrywania się Tomka był internat zorganizowany dla dzieci oficerów przez Radę Główną Opiekuńczą. Po powstaniu w getcie matka coraz bardziej się bała, że mogą zostać zadenuncjowani. Postanowiła więc ukryć syna w podwarszawskim sanatorium, gdzie również przebywały inne żydowskie dzieci. I tak, wciąż przenosząc się i ukrywając, dotrwali do Powstania Warszawskiego.

– Pod koniec wojny mój lęk o siebie, czyli chłopaka, który nie do końca wie, czy jest Polakiem, czy Żydem, powodował, że odczuwałem groźbę ściganego – opowiada Tomasz Prot. – Byłem bardzo religijny. Wielokrotnie modliłem się: „Panie Boże, jeżeli mam zginąć, to nie jako Żyd”. Wydawało mi się, że „śmierć żydowska” jest gorsza od „śmierci polskiej”. Oczywiście, najchętniej bym chciał zginąć w walce z Niemcami, a nie być przez nich zabitym, ot tak, na ulicy... No, jak Żyd... Wolny i dumny ze swego polsko-żydowskiego pochodzenia poczułem się dopiero w czasie Powstania Warszawskiego, kiedy przygotowywaliśmy powstańcom jedzenie – podkreśla Tomasz Prot.

JEDENASTE: PRZYMIJ BLIŹNIEGO POD SWÓJ DACH

Od 4 lutego 1944 r., kiedy Niemcy aresztowali Katarzynę Filipkę z Tokarni, do jesieni 1985 r., gdy odkryto tajemnicę leśnej mogiły pod Ludźmierzem, dzieci Katarzyny nie wiedziały, jaki los spotkał ich matkę. Dwa tygodnie przed jej zatrzymaniem, w styczniu 1944 r., Niemcy znaleźli na strychu w domu Filipków żydowską rodzinę: trzy kobiety z dwójką dzieci i dwóch mężczyzn. Najstarszy z nich, Samuel Sterling, był przed wojną właścicielem sklepiku w Krzczonowie. Żołnierze wywieźli wszystkich Żydów do Jordanowa i tego samego dnia rozstrzelali.

Katarzynę z jej siedmiorgiem dzieci zostawili wtedy w spokoju. Do 4 lutego wydawało się, że niepojętym zrządzeniem losu uniknęła zemsty gestapo. Tymczasem w lutym 1944 r. Niemcy wrócili – nie tylko po Katarzynę, ale też po Stefana Barglika, sołtysa Tokarni, i jego żonę Marię. Wywieźli troje Polaków do Jordanowa, skąd następnego dnia odesłali ich do więzienia w Nowym Targu. Katarzyna Filipkowa i Maria Barglikowa znalazły się w jednej celi z Heleną Mrugałą, dwudziestoletnią dziewczyną z Białego Dunajca, także podejrzaną o udzielanie Żydom pomocy. Stefan Barglik trafił z Nowego Targu do krakowskiego więzienia przy ul. Montelupich. Gdzie i kiedy zginął – nie wiadomo.

W dokumencie Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich – Instytutu Pamięci Narodowej z 1990 r. znaleźć można informację o skazaniu 21 lutego 1944 r. Katarzyny Filipkę, Marii Barglik i Heleny Migiel¹ przez Sąd Doraźny w Zakopanem na śmierć oraz

¹ W tym miejscu wyjaśnienia domaga się sprawa nazwiska Heleny Mrugały, wymienianej w wielu dokumentach – na przykład we wspomnianym powyżej piśmie z 1990 r. – jako Helena Migiel. Urodzona w 1924 r., była panią dzieckiem Ludwiny Mrugały. Matka w 1929 r. poślubiła Macieja Migla, przyjmując jego nazwisko. Ponieważ w lutym 1944 r. Miglowie byli rodzicami czworga dzieci noszących nazwisko „Migiel”, przypisano je także piątemu dziecku, Helenie Mrugale. Ludwina sama przyczyniła się do powstania zamieszania w papierach. „Umieściliśmy na grobie tablicę z nazwiskiem córki »Helena Migiel«, gdyż takie nazwisko nosi mój mąż i całe jej młodsze rodzeństwo” – wyjaśniła w 1985 r. Helena Migiel pojawia się zatem nie tylko w dokumentach Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich (IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 62, Postanowienie Wicyprowokatora Wojewódzkiego o częściowym zawieszeniu i częściowym umorzeniu postępowania karnego przeciw Arnoldowi Schmischowi a także Sprawozdanie z wyników śledztwa w sprawie zbrodni gestapo zakopiańskiego w latach 1939–1945; IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 61, Sprawozdanie końcowe z wyników śledztwa Ds. 6/70 w sprawie zbrodni popełnionych w latach 1939–1945 przez funkcjonariuszy gestapo w Zakopanem), ale i w artykule prasowym o rodzinie Filipków z 1985 r. oraz na liście Anny Poray-Wybranowskiej, która zawarła w książce *Those Who Risked Their Lives* (Chicago, kwiecień 2008) wyniki swojej trzydziestoletniej pracy: ponad 5 tys. nazwisk Polaków zamordowanych przez Niemców za ratowanie Żydów oraz tysiące krótkich biografów. Znalazły się tam zarówno odszukane przez autorkę nazwiska osób, których jerozolimski Instytut Yad Vashem nie uznał z powodów proceduralnych, jak i lista uhonorowanych medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Materiały zgromadzone przez Annę Poray-

o ich rozstrzelaniu 6 marca pod Nowym Targiem². Wiadomo też, że po trzech dniach zakopiańskie gestapo wysłało do Zarządów Gmin w Szaflarach oraz Łętowni zawiadomienie o egzekucji i polecenie, by nazwiska trzech kobiet wykreślić z ewidencji.

Po wojnie dzieci Katarzyny Filipek szukały jej grobu, a dzieci Barglików – mogiły obojga rodziców. Wszyscy zainteresowani: Ludwina Migiel, rodzina Filipków i dzieci Barglików przez lata znali poszczególne elementy układanki – rzecz w tym, że każdy miał w ręku tylko swoje. Najwięcej wiedziała, nie zdając sobie z tego sprawy, Ludwina Migiel, która 6 marca 1944 r. patrzyła, ukryta za świerkami w lesie przy szosie z Nowego Targu do Ludźmierza, na egzekucję córki i dwóch innych kobiet. Pamiętała, że gestapowcy udeptali dokładnie ziemię na świeżej mogile i odjechali ciężarówką. Wtedy rozejrzała się po okolicy, żeby dobrze zapamiętać to miejsce³. Jej mąż w domu zbił z desek małą kapliczkę, krzyż i tabliczkę z nazwiskiem. Kapliczkę przybili do świerka, a krzyż i tabliczkę zostawili na mogile.

Prokuratura zainteresowała się sprawą Katarzyny Filipek i Marii Barglik w 1985 r. Na posterunek MO w Tokarni 10 lipca dotarło pismo z prośbą o „pilne sprawdzenie drogą wywiadu wśród ludności miejscowej, w najbliższym Urzędzie Stanu Cywilnego lub parafii i kole ZBoWiD”, kim były dwie kobiety z Tokarni „aresztowane i przez pewien czas przetrzymywane w więzieniu gestapo »Palace« w Zakopanem, a następnie rozstrzelane w więzieniu w Nowym Targu pod zarzutem udzielania pomocy Żydom”. Odpowiedź potwierdzająca fakt aresztowania Katarzyny Filipek i Marii Barglik nadeszła 28 lipca. Wymieniono w niej również męża Marii, Stefana Barglika, i podano nazwiska świadków.

W połowie sierpnia Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich zwróciła się do Prokuratury Rejonowej w Lublinie z prośbą o przesłuchanie Stanisława Barglika, syna Stefana i Marii. Jego rodzice – jako pierwsi w Tokarni – dali schronienie rodzinie Samuela Sterlinga: córkom Rózi i Salce, mężowi Rózi i dwóm czternastoletnim wnukom⁴. Trzecia córka, Gizela, wysta-

-Wybranowską dostępne są w internecie pod adresem www.savingjews.info. Autorka podejmowała wielokrotnie starania o uznanie przez stronę izraelską zasług Polaków zabitych za pomaganie Żydom, jednak wymagania Instytutu Yad Vashem nie pozwoliły jej doprowadzić części spraw do końca (podstawowy warunek – złożenie przez osobę uratowaną zeznań w Izraelu – nie może zostać spełniony np. w przypadkach rozstrzelania Żydów wraz z ukrywającymi ich Polakami). W czasie wojny służyła we Włoszech jako bibliotekarka II Korpusu Wojska Polskiego, na emigracji w Montrealu kierowała Biblioteką Polską w latach 1977–1988. IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 59, Protokół przesłuchania świadka Ludwiny Migiel przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 20 VI 1985 r.

² IPN Kr, Archiwum Podręczne Prokuratorów KŚZpNP w Krakowie [APP], Ds. 6/70, t. 62, Postanowienie Wiceprokuratora Wojewódzkiego o częściowym zawieszeniu i częściowym umorzeniu postępowania karnego przeciw Arnoldowi Sehmischowi, ur. 10 III 1905 r. w Dreźnie, 24 I 1990 r.

³ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 59, Protokół przesłuchania świadka Ludwiny Migiel przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 20 VI 1985 r.: „Zrobiłam sobie znak i nic już więcej zrobić nie mogłam” – powiedziała Ludwina Migiel.

⁴ Bronisława Gawlik i Stanisław Barglik, dzieci Stefana i Marii Barglików, podali nazwisko „Sterling” (IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 60); w zeznaniach Stanisławy Zielińskiej, córki Katarzyny Filipek, pojawia się nazwisko „Sterlig” lub „Sterlik” (IPN Kr, APP, Ds. 19/70, t. 2; Ds. 6/70, t. 29); pismo Instytutu Pamięci Narodowej do Prokuratury Rejonowej w Nysie zawiera nazwisko „Sperling” (IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 30); na liście Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, opublikowanej przez Annę Poray-Wybranowską, znajduje się informacja o ukrywaniu przez Filipkową Żydów o nazwisku „Sztternlicht” Samuela, córki Samuela, Stelli Geschir z mężem i dziesięcioletnim synem oraz drugiej córki Samuela, Rózi, także z dziesięcioletnim synem. W notce o Katarzynie Filipek na liście

rała się wcześniej – jak zeznał Stanisław Barglik – o tzw. aryjskie papiery, żeby wyjechać na roboty do Niemiec⁵.

Sołtys ukrywał ich przez kilka tygodni, ponieważ jednak po wsi rozeszła się wieść, że „trzyma u siebie Żydów”, zdecydował w lipcu 1943 r., że musi znaleźć dla szóstki Sterlingów inne miejsce. Katarzyna Filipek zgodziła się przyjąć ich pod swój dach, chociaż mieszkała z siedmiorgiem dzieci. Męża Mateusza pochowała w 1939 r. Tuż przed wojną urodziła najmłodszego syna Franciszka Mariana. Najpierw sołtys sam ją przekonywał, żeby się zgodziła, potem przyszła Różia, błagając o pomoc. „Daty dokładnie sobie nie przypominam, ale jednej nocy w lipcu 1943 r. przyszła do naszego domu jedna z Żydówek o imieniu Różia, oświadczając matce, że skierował ją do nas sołtys wsi Tokarnia z prośbą o ukrycie jej oraz pozostałej rodziny – zeznał najstarszy syn Jan, gospodarzący po wojnie w Tokarni. – Matka nie chciała się zgodzić na przyjęcie do nas do domu tych Żydów, obawiając się konsekwencji ze strony Niemców, zwłaszcza że miała liczną rodzinę. Różia przekonywała ją, że mieszkamy na uboczu wsi i nikt ich u nas nie będzie szukał, a sołtys zapewni rodzinie żydowskiej wyżywienie. [...] W rezultacie nalegań Rózi matka zgodziła się na ukrycie tej rodziny żydowskiej w naszym domu. Ja słyszałem osobiście treść rozmowy pomiędzy matką i Rózią”⁶.

Najmłodszy syn, Franciszek Marian, po wojnie wyjechał do Zabrze, gdzie pracował na budowach. „Z opowiadania wiem, że do matki przyszedł miejscowy sołtys i zaproponował jej, by przyjęła rodzinę żydowską – wspominał. – Tłumaczył matce, że niedługo wojna się skończy. Matka zgodziła się”⁷. Jak podał Jan Filipek, po rozmowie Rózi z jego matką tego samego wieczoru przyszedli Sterlingowie: „Początkowo ukrywali się w stodole, a następnie po żniwach matka przeniosła ich na strych naszego domu i tam przebywali. W zasadzie nie opuszczali oni strychu, a jedynie Różia czasem nocą udawała się do sołtysa, od którego przynosiła żywność”. Kilkuletni Franciszek Marian widział wówczas, jak „wieczorem schodzili Żydzi na posiłek”. Katarzyna nigdy nie mówiła dzieciom, nawet tym najstarszym, że w domu są Żydzi⁸.

W pamięci świadków zapisało się wiele faktów z tamtych dni. W styczniu 1944 r. po Mszy św. w kościele sołtys Barglik oświadczył, że we wsi są Żydzi, i wezwał wszystkich, którzy im pomagali, by się zgłosili i podali miejsca ich pobytu. Powiedział, że od następnego dnia sam będzie przeszukiwał domy, bowiem Niemcy zagrozili śmiercią wszystkim mieszkańcom, jeżeli nie wydadzą Żydów – spamiętał Jan. Przybiegł do domu z tą wiadomością, budząc przerażenie matki. „Matka powiedziała o tym Rózi. W nocy z niedzieli na poniedziałek Różia ze mną poszła do domu sołtysa i tam z nim rozmawiała. Po przyjściu do domu oświadczyła matce, aby niczego się nie obawiała, albowiem sołtys oświadczył, że poszukiwania

autorstwa Anny Poray-Wybranowskiej wymieniono nazwisko „Sztternlicht”, lecz w informacji o Marii Barglik na tej samej liście mowa jest o rodzinie „Steinbergów”.

⁵ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 60, Protokół przesłuchania świadka Stanisława Barglika przez asesora Prokuratury Rejonowej w Lubinie, 2 IX 1985 r.

⁶ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, Protokół przesłuchania świadka Jana Filipka przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 5 IX 1985 r.

⁷ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, Protokół przesłuchania świadka Franciszka Mariana Filipka przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 14 VIII 1985 r.

⁸ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 28; Ds. 6/70, t. 30, Protokół przesłuchania świadka Stanisławy Zielińskiej przez Prokuraturę Rejonową w Prudniku, 25 IX 1987 r.: „Ja sama widziałam, że na strychu w sianie ukryci byli Żydzi. Wydaje mi się, że byli pół roku” – zeznała Stanisława Zielińska.

rozpocznie w innej części wsi” – pamięta Jan. Otuchy dodawała Katarzynie myśl, że to Barglik przysłał do niej Sterlingów, że obiecywał opiekę i dawał im żywność. Polegała też na jego słowach wypowiedzianych tej nocy do Rózi. Rankiem zobaczyła sołtysa zmierzającego z jakimiś ludźmi przez pole w kierunku jej domu. Nie wchodząc do domu, wspiał się po drabinie prosto na strych i tam „znalazł” Żydów. Sam pobiegł do wsi, a „zakładnikom” kazał pilnować obejścia, żeby nikt nie uciekł. Rózi udało się za nim wyrwać, zatrzymywała go i błagała o życie. Daremnie, bowiem Barglik dotarł szybko na posterunek w Łętowni, a po drodze wysłał – jak mówi Jan – ze swego domu „podwodę dla przewiezienia Żydów do jego domu”. Do Tokarni wrócił z żandarmami po Sterlingów.

Ludzi ratujących Żydów mordowano, a w najlepszym przypadku wysyłano do obozów. Chroniąc tę żydowską rodzinę, sołtys zapewne sądził, że uda mu się ocalić i Sterlingów i Filipków, lecz w chwili zagrożenia ogarnął go strach o życie własne, żony i trojga dzieci. Wypełnił zatem polecenie Niemców.

Po dwóch tygodniach od rozstrzelania Sterlingów, kiedy Filipkowie trochę się uspokoili, do Tokarni przyjechało samochodem dwóch gestapowców. Sami weszli do domu Barglików, a ludzi ze wsi wysłali po Filipkową. Przyszła od razu, lecz Niemiec stojący na straży przed domem Barglików kazał jej się wynosić – tak zeznał Jan, nie podając źródła swojej wiedzy. Katarzyna nie posłuchała strażnika, nie próbowała nawet uciekać. Czekwała w pobliżu, u sąsiadów, jakby kierował nią jeden impuls: powstrzymać Niemców przed szukaniem jej w domu, gdzie zostawiła dzieci⁹.

W tym czasie gestapowcy zajmowali się Barglikami. Zamknęli się z nimi na godzinę w pokoju, a córce kazali iść do kuchni. Bronisława nie wiedziała, dlaczego Niemcy przyjechali do rodziców, nie podejrzewała nawet, czego mogli od nich chcieć¹⁰. Dziesięcioletniego brata Ludwika nie było w domu, ale lada moment miał nadejść starszy brat. Uprzymiśla sobie, że powinna go uprzedzić i – niestrzeżona przez nikogo – wybiegła do stajni. Stanisław, wcielony przymusowo do batalionu roboczego przy regulacji rzeki i budowie dróg, wracał do domu na soboty i niedziele. Tym razem z daleka zobaczył duży czarny samochód osobowy. Na podwórzu stał Niemiec z pistoletem maszynowym. Siostra cicho zatrzymała Stanisława, sprowadzając go do stajni i ostrzegła, że Niemcy pytali również o niego. Kiedy znów weszła do kuchni, drzwi pokoju się otworzyły. „Pierwsza wyszła moja matka. Całą twarz miała czerwoną, jakby zapuchniętą z jednej strony. Ojciec szedł oniemiały” – zapamiętała. Stanisław przemknął się tymczasem ze stajni do komórki na podwórku, żeby więcej widzieć i słyszeć. Kiedy ojca wyprowadzono pod eskortą, zdecydował się wejść do domu. Został tam dwóch Niemców i matkę, zapłakaną, ubraną już do drogi. Bronisława usłyszała tylko od matki prośbę, żeby dzieci podzieliły się we trójkę majątkiem, jeżeli oboje z ojcem nie wrócą.

Jeden z gestapowców rzucił na odchodnym, że zabierają rodziców za ukrywanie Żydów. Tłumacz zarzucił Stanisławowi, że jest w tę sprawę wmiieszany, ale przekonało go zaświad-

⁹ „Pamiętam dzień aresztowania mojej matki – powiedział Marian. – Zapamiętałem, że nie chciałem matki puścić, chciałem, by zabrała mnie ze sobą. Matka uspokajała mnie, że zaraz wróci”. Protokoły zeznań dzieci Filipkowej kończą się podobnie: „Do dziś nie wiemy, gdzie i w jakich okolicznościach pozbawiono ją życia” (Marian Filipek, 14 VIII 1985); „Na temat losów mojej matki po zabraniu jej z Tokarni nikt z naszej rodziny nie ma informacji” (Jan Filipek, 5 IX 1985); „Nic już więcej nie wiem na temat śmierci mojej matki” (Stanisława Zielińska, z d. Filipek, 25 IX 1987).

¹⁰ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 60, Protokół przesłuchania świadka Bronisławy Gawlak przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 13 VIII 1985 r.

czenie z Baudienstu o zatrudnieniu poza Tokarnią. W czarnym samochodzie, do którego wpełniono rodziców, dostrzegli Katarzynę Filipkę. Wtedy właśnie Bronisława przypomniała sobie, że dwa tygodnie wcześniej Niemcy wywieźli z Tokarni i rozstrzelali rodzinę Sterlingów. Nie wiedziała, że latem 1943 r. właśnie jej ojciec wysłał Stanisława, by odprowadził Sterlingów w kierunku gospodarstwa Filipków. Po odjeździe Niemców Stanisław dowiedział się od siostry, że jeden z gestapowców uderzył matkę w twarz tak mocno, że upadła¹¹. Następnego dnia dzieci Filipkowej i Barglików zaczęły szukać rodziców. Najstarsza córka Katarzyny, Maria, pojechała do Jordanowa, gdzie dowiedziała się, że wszystkich zatrzymano tam na jedną noc, a potem odesłano do Nowego Targu. Rozpytywała też daremnie o matkę w więzieniu nowotarskim. Dzieci Katarzyny „zajmowały się sobą nawzajem”, jak powiedział Jan¹².

Wreszcie nadeszły pierwsze wieści o Marii Barglik. „Po upływie chyba dwóch tygodni dano nam wiadomość z Łętowni, że matka jest przetrzymywana w więzieniu w Nowym Targu. Do Łętowni przesłała taką wieść nieznaną mi z nazwiska kobieta – mieszkanka Łętowni, przetrzymywana właśnie w tym czasie w więzieniu w Nowym Targu, a znająca moją matkę” – zeznała Bronisława¹³. Pojechała zatem ze starszym kuzynem do Nowego Targu. „Kiedy powiedzieliśmy klucznikowi nazwisko matki, czy taka przebywa, ten zapytał, za co zabrana. Powiedzieliśmy, że za Żydów. Usłyszawszy te słowa, klucznik prędko zamknął drzwi, że żadnej wiadomości nie udziela się” – tak skończyła się próba dotarcia do matki. Po miesiącu, w pierwszej połowie marca 1944 r., przyszło zawiadomienie o rozstrzelaniu Marii Barglik „za przechowywanie Żydów”. „Gdzie została rozstrzelana, nie podano na tej karteczce. Nie wiedzieliśmy, że to ważny dokument i kartkę zniszczyliśmy” – wyjaśnia Bronisława. Wiadomość o śmierci matki potwierdziła się w marcu, kiedy do Urzędu Gminnego przyszło pismo z poleceniem wykreślenia Marii Barglik z ewidencji. Kuzyn Barglików, zatrudniony w urzędzie jako woźny, zdołał dowiedzieć się o tym liście, a poza tym widział obwieszczenie z listą Polaków rozstrzelanych w Krakowie. Na dziewiętnastej pozycji znajdowało się nazwisko Stefana. Tymczasem w kwietniu nadszedł od ojca list bez adresu zwrotnego¹⁴.

Trzecia z kobiet z jednej celi w Nowym Targu, Helena Mrugała, została zatrzymana w domu Łojasów w Leśnicy. Zamknięto ją i męczono w willi Palace, zakopiańskiej siedzibie gestapo, katowni znanej na całym Podhalu. Tam spędziła sześć ostatnich tygodni życia. Przed egzekucją wywieziono ją na kilka dni do nowotarskiego więzienia. Matka chodziła do Zakopanego z paczkami, nie wiedziała jednak, czy córka je dostaje. W marcu ktoś przyniósł do domu Migłów gryps od Heleny z Nowego Targu. Skatowana dziewczyna napisała własną

¹¹ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 60, Protokół przesłuchania świadka Stanisława Barglika przez asesora Prokuratury Rejonowej w Lubinie, 2 IX 1985 r.

¹² Zostało ich siedmioro: cztery siostry – najstarsza Maria miała wówczas 22 lata, młodsza Stanisława – 21 lat, Hania – 19, Józka – 10 i trzech braci: Jasiiek – 15 lat, Józef – 6, Marian – 5. Maria wyszła za mąż, a Stanisławę przyjęto w Wieliczce na służbę.

¹³ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 60, Protokół przesłuchania świadka Bronisławy Gawlak przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 13 VIII 1985 r.

¹⁴ „Z datownika pocztowego dowiedziałem się, że był wysłany z Krakowa”. Ojciec pisał: „Jestem zdrowy, jest mi dobrze, nic mi nie trzeba, przyślijcie mi igłę i nici” – zeznał Stanisław. W Krakowie pod więzieniem przy ul. Montelupich strażnicy powiedzieli mu, że żadnej informacji nie otrzymali. I znów w zeznaniach powtarzają się te same słowa: „O ojcu nie mieliśmy wiadomości i nic nie wiemy do tej pory” (Bronisława Gawlak, z d. Barglik, 13 VIII 1985); „Ja już więcej rodziców nie widziałem” (Stanisław Barglik, 2 IX 1985).

krwią, używając szpilki do włosów, że od sześciu dni nic nie jadła. W Nowym Targu wyśpowiadała się i oddała list księdzu¹⁵.

Ludwina Migiel dotarła do Nowego Targu 6 marca 1944 r. Zobaczyła córkę, dwie inne kobiety i trzech mężczyzn w „budzie” odjeżdżającej spod więzienia w kierunku Ludźmierza. Nie wiedziała, co dalej robić. „Ludzie na ulicy mówili, że tak wywożą osoby na rozstrzelanie” – wspomina. Usłyszała także, że poprzedniego dnia z więzienia zabierano ludzi do kopania mogiły. Uprosiła zatem woźnicę jadącego w tamtą stronę, żeby ją zabrał. W lesie między Nowym Targiem a Ludźmierzem zobaczyli stojącą na poboczu ciężarówkę¹⁶. Wtedy wysiadła z sań, weszła do lasu i zobaczyła córkę z dwiema innymi kobietami.

Zeznania świadków oraz dokumentacja niemiecka pozwoliły w 1985 r. połączyć fakty z nazwiskami i wreszcie z końcem października Jan Filippek, mieszkający wciąż w Tokarni, otrzymał odpowiedź na prośbę o wskazanie mogiły matki¹⁷. Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że szczątki Katarzyny Filippek spoczywają w zbiorowej mogile w Nowym Targu. Na grobie widnieje jedno nazwisko – Heleny Migiel, bowiem tylko jej matka wiedziała o leśnej mogile i dbała o nią. Kiedy władze podjęły decyzję o budowie na terenie lasu zakładów obuwniczych, Migłowie dostali zawiadomienie o planowanej ekshumacji. „Chciałam zwłoki córki zabrać na miejscowy cmentarz w Białym Dunajcu, ale zażądano ode mnie, żebym zabrała wszystkie trzy kobiety. Na to nie miałam pieniędzy” – zeznała Ludwina Migiel. Dokonano zatem ekshumacji na koszt państwa i pochowano szczątki w Nowym Targu.

Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywa Stefan Barglik. Informacja podana przez jego syna Stanisława o liście zakładników z nazwiskiem jego ojca na dziewiętnastej pozycji okazała się po zweryfikowaniu mylna¹⁸.

Po raz pierwszy dzieci Filipkowej i Barglików mogły zapalić rodzicom świeczki na nowotarskim cmentarzu w 1985 r. Rok później przy grobie matki Stanisława spotkała po raz pierwszy w życiu Ludwinę Migiel – kobietę, która odważyła się towarzyszyć swojej córce w ostatniej drodze, a potem przez lata dbała o grób Katarzyny Filippek, Heleny Migiel i Marii Barglik.

¹⁵ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 59, Protokół przesłuchania świadka Ludwiny Migiel przez wiceprokuratora Prokuratury Wojewódzkiej delegowanego do OKBZH w Krakowie, 20 VI 1985 r.: „Prosiła, bym koniecznie przyjechała pod więzienie 6 marca, gdyż w tym dniu będzie razem z dwiema kobietami z Tokarni, też aresztowanymi za przetrzymywanie Żydów, rozstrzelana” – mówi Ludwina Migiel.

¹⁶ *Ibidem*: „Mówiłam, że jadę do Ludźmierza wyrwać ząb, który mnie bardzo boli. Byłam bowiem bardzo spłakana i ten przyglądał mi się, a w Ludźmierzu istotnie mieszkał mężczyzna, który trudnił się wyrywaniem zębów” – powiedziała do protokołu Ludwina Migiel. I dodała: „Chłop wiozący mnie zorientował się, że coś mnie łączy z tą egzekucją i prosił, bym zachowała spokój, bo mogliby nas zastrzelić”.

¹⁷ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, Pismo Instytutu Pamięci Narodowej do Jana Filipka, 17 X 1985 r.

¹⁸ IPN Kr, APP, Ds. 6/70, t. 62, Sprawozdanie z wyników śledztwa w sprawie zbrodni gestapo zakopiańskiego w latach 1939–1945. Barglik skazany został w Krakowie na śmierć 21 lutego 1944 r. za udzielanie schronienia Żydom. Na obwieszczeniach rozwieszonych po mieście tego samego dnia figurował pod numerem 13. Ponieważ jednak wiadomo było, że jeszcze w kwietniu był więziony przy ul. Montelupich w Krakowie, zweryfikowano zeznania Stanisława i stwierdzono, że pomylił albo daty, albo numery. W końcowym sprawozdaniu prokuratura uznała, że najprawdopodobniej zginął w Kuźnicach w masowej egzekucji.

KIEDY LUDZIE ŻYLI JAK ZWIERZĘTA

Przedstawione poniżej dwie relacje ukazują działalność konspiracyjną i pomoc niesioną Żydom w okresie okupacji przez dr. Jana Żabińskiego i jego żonę Antoninę. Antonina z Erdmanów Żabińska, ur. 18 lipca 1908 r. w Petersburgu, była członkiem Związku Literatów Polskich, napisała kilka książek dla dzieci. Doktor Jan Żabiński, ur. 8 kwietnia 1897 w Warszawie, był – od 1929 r. – pierwszym dyrektorem Ogrodu Zoologicznego w Warszawie. Był też znany ze swoich osiągnięć naukowych, popularyzacji wiedzy o życiu zwierząt, a zwłaszcza z pogadanek w radiu na ten temat dla dzieci i młodzieży. W czasie okupacji niemieckiej dr Żabiński zaangażował się w działalność konspiracyjną oraz w ratowanie Żydów, których razem z żoną ukrywał na terenie zoo i w swoim domu. O tym właśnie mówią poniższe relacje.

Relacja Ireny Meizel¹

Nazywam się Irena Meizel. Urodziłam się w Warszawie w domu [Żydów] zasymilowanych. Ojciec nazywał się Elias, matka Helena z domu Fabrykant². Przez cały czas mieszkałam w Warszawie. Po ukończeniu warszawskiej szkoły żydowskiej Strauch-Schlesingerowej rozpoczęłam pracę w Konserwatorium jako sekretarka działu koncertowego. Później, w 1931 r., wyszłam za mąż za adwokata Ludwika Weissa, który zginął w czasie akcji lipcowej w getcie³ i zostałam sama. Rodzeństwa nie miałam, byłam jedynaczką. Do szkoły żydowskiej chodziłam dlatego, że do dobrych polskich szkół nie chcieli mnie przyjąć jako Żydówki, [a inne] szkoły polskie były na stosunkowo niskim poziomie, więc rodzice uważali, że lepiej będzie, gdy będę chodziła do żydowskiej szkoły.

Do getta weszłam zaraz na samym początku, to zdaje się był październik. Do tego czasu, od momentu kiedy wyrzucili nas z mieszkania przy ul. Poznańskiej, mieszkałam u różnych znajomych. 12 lipca, kiedy była akcja adwokacka, tzn. wtedy, kiedy gestapo aresztowało stu kilkudziesięciu adwokatów, a wśród nich także mojego męża⁴. Znalazł się na Pawiaku, gdzie przesiedział pół roku. I właśnie w tym czasie znalazłam się w getcie razem z matką mojego męża. Robiliśmy wszystko, aby jak najszybciej wydostać go z więzienia; zresztą, aresztowano

¹ Irena Meizel wyemigrowała do Izraela i wraz z innymi ocalonymi przez dr. Żabińskiego przyczyniła się do nadania jemu i jego żonie Antoninie medalów Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Ceremonia wręczenia medalu i posadzenia drzewka miała miejsce w dniu 7 X 1965 r. Archiwum Yad Vashem, M.31/170.

² Archiwum Yad Vashem, relacja Ireny Meizel z września 1965 zapisana przez Miriam Peleg-Mariańska, O.3/2887.

³ Autorka relacji ma na myśli wielką akcję wysiedleńczą z getta warszawskiego do obozu zagłady w Treblince, która rozpoczęła się 22 VII i trwała z przerwami do 12 IX 1942.

⁴ Była to jedna z licznych akcji aresztowań inteligencji żydowskiej. Podczas tejże akcji aresztowano kilkudziesięciu adwokatów. Wydarzenie to odnotował m.in. Ludwik Landau w swoich dziennikach. Zob. L. Landau, *Kronika lat wojny i okupacji*, vol. I, wrzesień 1939–listopad 1940, Warszawa, 1962, s. 579.

go przypadkowo, ponieważ gestapo przyszło po naszego sublokatora, adwokata, którego też aresztowali. Męża zabrali, bo zorientowali się, że jest żydowskim adwokatem.

Matka zmarła śmiercią naturalną w 1939 r., a ojciec popełnił samobójstwo. Było to tak: 20 października 1939 r. gestapowcy przyszli do fabryki, aby zabrać towary. To była dość duża fabryka i pralnia bielizny „Opus”, której ojciec był współwłaścicielem i jednocześnie jednym z dyrektorów. Przyszli po klucze i towary, a przy okazji chcieli zabrać wujka, głównego krojczego, kuzyna i mojego ojca. Ojciec powiedział: „Żywcem mnie nie wezmą” i wyskoczył z trzeciego piętra. Natychmiast przewieziono go do szpitala, ale zmarł następnego dnia z samego rana.

W getcie mieszkaliśmy razem z teściową w jednopokojowym mieszkanku. Mąż, który po pół roku został wypuszczony z Pawiaka za dużą łapówkę, pracował w instytucji zajmującej się pomocą biednym Żydom. Ja nie pracowałam, teściowa też nie, prowadziłyśmy jako tako gospodarstwo. Materialnie nie było nam źle, ale moralnie, wiadomo, tak jak w getcie. Potem rozpoczęły się prace w tzw. szopach. Pracowałam w szopie, ponieważ był to jedyny sposób na ocalenie życia. Mąż pracował w innym szopie, mniejszym. W lipcowej akcji na Miłej został zabrany razem z teściową⁵, ja otrzymałam tzw. zielony numer, który pozwolił mi przejść przez wszystkie kontrole, i dzięki temu uratowałam się. Mąż z teściową zostali wywiezieni podobno do Majdanka, gdzie, jak się dowiedziałam, będąc już po aryjskiej stronie, oboje zginęli. W getcie zostałam do początku grudnia 1942 r., potem – dzięki aryjskiej przepustce – przeniosłam się na stronę aryjską. [...]

Po raz pierwszy z dr. Janem Żabińskim zetknęłam się bodaj na początku 1940 r., gdzieś na wiosnę, w mieszkaniu u państwa Frenklów, na ulicy Elektoralnej. Wtedy dr Żabiński jeszcze poruszał się zupełnie swobodnie; jako pracownik Zarządu Miejskiego miał przepustkę stałą do getta. On był Polakiem, ale nie każdy Polak mógł mieć przepustkę, nie każdy mógł się przedostać do getta. [...] Doktor Żabiński przychodził do getta, żeby rozdzielać pieniądze z ramienia organizacji polskiej, która zajmowała się pomocą biednym Żydom; a więc było to rozdzielanie pieniędzy i wyszukiwanie mieszkań po aryjskiej stronie. Już wtedy były takie wywiady, jak i co; pierwsze nawiązywanie kontaktów. Prawdopodobnie były również i inne cele, politycznej natury, w to teraz nie wchodzę, bo to nie jest w tej chwili istotne; w każdym razie, jakie były dokładne cele i motywy działań dr Żabińskiego – nie wiem; wiem tylko, że miał do swojej dyspozycji pieniądze organizacyjne, tymi pieniędzmi dysponował i rozdzielał je wśród tych, którzy byli rzeczywiście w wielkiej potrzebie.

[...] Miałam już wtedy [fałszywe] dokumenty. Miałam kenkartę [...], no i jakoś dzięki mojemu tzw. „dobremu wyglądowi” mogłam się swobodnie poruszać po stronie aryjskiej. Zadzwoiłam do dr Żabińskiego, powołując się na dr. Frenkla. Niemał natychmiast, bo może po niecałej godzinie, zjawił się dr Żabiński. Doktor Frenkel, który był znajomym państwa Żabińskich, chciał się dowiedzieć, jak zginęła jego żona. Błogosławionej pamięci Frenklowa zginęła w Chełmnie czy Bełżcu, już nie pamiętam. W każdym razie [dr Frenkel] został sam, ukrywał się w getcie i chciał bardzo przejść na aryjską stronę. Wtedy dr Żabiński powiedział, że weźmie dr. Frenkla do swojej willi w Ogrodzie Zoologicznym. Tak rozpoczął się mój kontakt z dr. Żabińskim.

Po jakimś czasie doktor poprosił mnie, żebym przyjęła funkcję tzw. łączniczki. Doktor miał różne polecenia z organizacji, chodził czasami z bardzo dużą ilością pieniędzy po mieście, i ja miałam go asekurować. Bo gdyby mu się coś stało, miałam zawiadomić o tym określone osoby. Któregoś dnia doktor poprosił mnie, żebym albo coś zaniósła, albo coś za-

⁵ Patrz przyp. nr 3.

Fot. z Archiwum Yad Vashem



Irena Meizel

łatwiła w jego domu. Wtedy poznałam panią Żabińską, która razem ze swoim mężem bardzo pomagała Żydom.

Gdy kiedyś przyszedłam do państwa Żabińskich, zastałam u nich dr. Frenkla. Willa państwa Żabińskich była jednopiętrowa, miała bardzo liczne pomieszczenia i pokoje. Były tam też szafy ściennie. Mieli dwoje czy troje służby, co oczywiście narażało osoby, które tam przebywały, na różne niepotrzebne spotkania, donosy itd. To odbywało się tak: z chwilą gdy służąca przychodziła i sprzątała, to ukrywające się tam osoby chowały się po prostu do szafy, zamykano je na klucz i nikt o tym nie wiedział. Służba wychodziła, ci ludzie zaczynali normalnie funkcjonować. Oczywiście nie było o tym mowy, ażeby ktokolwiek z nich wychodził poza willę, już nie mówię poza teren ogrodu. [Ukrywający się Żydzi] mogli schodzić tylko na dół – na obiad; i wtedy też trzeba było uważać, żeby nikt ich nie zauważył.

W tym czasie w willi przebywał dr Frenkel i rodzina składająca się z czterech osób. To był adwokat, jeden ze znanych adwokatów, nazwiska niestety nie mogę sobie przypomnieć⁶. Były dwie dorosłe dziewczyny, siostry, których rodzice zginęli; nazwisko aryjskie – Krzyżanowskie. [...] Pamiętam, któregoś dnia przyszedłam do willi i zastałam sytuację dosyć nieprzyjemną [...]. Okazało się, że ta właśnie, [...] która mieszkała na pierwszym piętrze w tej chwili, w przystępie jakiegoś ataku szału, wyskoczyła przez okno. To była niedziela, w ogrodzie było pełno ludzi i dużo niemieckich żołnierzy. Sytuacja była bardzo groźna [...], ale wszystko dobrze się skończyło [...]. Później, kiedy zagęszczenie Żydów po stronie aryjskiej coraz bardziej się wzmacniało, wiem, że na teren ogrodu przychodzili także inne osoby. Wśród nich było

⁶ Według odręcznej notatki w dokumencie, podano, że adwokatem tym był Lewi [-Lubkowki].



Fot. z Archiwum Yad Vashem

Dr Jan Żabiński (czwarty od prawej) i Antonina Żabińska (druga od lewej) wraz z grupą ocalonych przez nich Żydów, podczas uroczystego sadzenia drzewka w Yad Vashem

sporo przedwojennych dostawców warzyw, jarzyn, nabiału. A byli to głównie biedni Żydzi, którzy utrzymywali się tylko z tego handlu.

Chciałabym tu zaznaczyć, że doktor pomagał nie tylko inteligencji żydowskiej, nie tylko ludziom, którzy byli niezależni materialnie, ale przede wszystkim ludziom biednym, takim jak ci dostawcy. Jeżeli którykolwiek z nich cokolwiek zarobił i chciał zapłacić za ukrywanie w jakiegokolwiek postaci, czy to w pieniądzu czy w towarze (bo w zasadzie słonina, tłuszcz, mąka i cukier to były obiegowe monety) – państwo Żabińscy nigdy żadnych tego rodzaju opłat nie przyjmowali. Sami bardzo skromnie żyli, bo [...] doktor utrzymywał się tylko z lekcji udzielanych na tajnych kompletach uniwersytetu i szkół średnich. [...] Ci biedni ludzie, ci biedni dostawcy, w ciągu dnia jakoś się ukrywali. Jeżeli ktoś z nich miał lepszy wygląd, to jako tako poruszał się po mieście, choć było to bardzo groźne; inni musieli się ukrywać w pomieszczeniach dawnych zwierząt, gdzieś w jakichś skałach, pieczarach, pod jakimiś konarami [...]. Nawet ja sama byłam w takiej sytuacji przez parę nocy i dni, gdyż nie miałam się gdzie podziąć; nie miałam mieszkania, bo tam, gdzie poprzednio mieszkałam, była jakaś wsypa, zresztą nie żydowska, tylko polityczna, bo wykryli rodzaj fabryki dynamitu, więc ja i jeszcze jedna Żydówka musiałyśmy się stamtąd wynieść. Znalazłam się więc w takiej sytuacji, że musiałam się zwrócić do doktora, który umieścił mnie w jakiejś pieczarze i spędziłam tam dwa czy trzy dni. Ci biedni ludzie właśnie w ten sposób się ukrywali. A po godzinie policyjnej, kiedy już ogród pustoszał i nie było żadnej służby na terenie ogrodu i w samej willi, ci ludzie przychodzili do willi, spali albo w piwnicy, albo na podłodze czy werandzie, lub w jakimś kącie. [...]

Chcę nadmienić, że Żydzi, którzy byli po stronie aryjskiej, musieli się tak zachowywać, jakby się w ogóle nie znali. [...] Także ja nie znałam nikogo z tych ludzi, którzy korzystali z pomocy państwa Żabińskich. Nie znałam na przykład Racheli Auerbach, która jest obecnie pracownicą Yad Vashem, a przecież korzystała ona z pomocy państwa Żabińskich może w większym stopniu niż ja [...].

Później, dzięki staraniom dr. Żabińskiego, [...] dostałam jakąś pracę w fabryce bielizny damskiej i tam pracowałam do wybuchu Powstania Warszawskiego. Cały okres Powstania spędziłam w Warszawie jako autentyczna łączniczka dr. Żabińskiego: przносиłam broń, bo doktor był porucznikiem.

Dziewiątego dnia Powstania dr Żabiński został bardzo ciężko ranny kulą karabinową w szyję. Kula przeszła na wylot przez szyję, uszkadzając jakiś mięsień. Doktora natychmiast przewieźli do szpitala, ja w dalszym ciągu sprawowałam swoje funkcje jako łączniczka. [...] Potem już doktor wyszedł ze szpitala w bardzo ciężkim stanie fizycznym, miał niedowład prawej ręki, bardzo mu to utrudniało życie i trzeba było przy nim różne funkcje spełniać już jako pielęgniarka. Był zupełnie niezdolny do normalnego funkcjonowania. Natychmiast po poddaniu się Warszawy doktor poszedł do obozu jenieckiego⁷. [...]

Doktor Żabiński wrócił z niewoli jenieckiej, zdaje się że po roku, czy może później. Przez ten czas kontaktowałam się z panią Żabińską, która mieszkała w jakimś wynajętym pokoju. [...] Doktor stopniowo wracał do siebie, rozpoczął pracę naukową, radio rozpoczęło swoją działalność i doktor został zaangażowany. Wygłaszał pogadanki ze swojej dziedziny – zoologii. Wydawał książki, wspomnienia różne, poza tym pogadanki o zwierzętach. Od tego momentu rozpoczął już swoją normalną działalność naukową. [...]

W każdym razie wiem, że ci wszyscy, którzy korzystali z pomocy doktora w czasie okupacji i mieli kontakt z doktorem, podziwiali jego opanowanie, jego absolutną bezinteresowność i chęć niesienia pomocy słabym, wyjętym spod prawa [...]. Nikt się nigdy nie zawiódł. Jeżeli ktokolwiek się do niego zwracał, to nigdy nie powiedział: „Nie, ja teraz nie mam czasu, przyjdźcie później”.

Relacja dr. Jana Żabińskiego i Antoniny Żabińskiej⁸

Do żadnej partii nie należę i żaden program partyjny nie był moim przewodnikiem w okresie okupacji. Jestem indywidualistą i nie lubię być krępowany reżimem. Nie można mnie podciągnąć pod jakikolwiek strychulec. Jestem demokratą – Polakiem. Czyny moje były i są konsekwencją pewnego nastroju psychicznego w wyniku wychowania postępowo-humanistycznego, jakie otrzymałem zarówno w domu rodziców, jak i w gimnazjum Kreczmarra. Wiele razy pragnęłam zanalizować przyczyny niechęci do Żydów i nie znalazłem innych, poza sztucznie utworzonymi. Co się tyczy mnie, to przynajmniej, że nie mogłem znaleźć

⁷ Jan Żabiński został wzięty do niewoli jako żołnierz Armii Krajowej w stopniu porucznika w dniu 2 października 1944 r. W owym czasie był ranny. Przebywał początkowo w obozie jenieckim – Stalag XI A/Altengrabow (numer jeniecki 47200/XI A). W dniu 2 lutego 1945 został przeniesiony do Stalagu X B/Sandbostel. Powyższe dane pochodzą z kartoteki Placówki Informacji Wehrmachtu do spraw Zaginionych i Jeńców Wojennych (*Wehrmachtauskunftstelle für Kriegerverluste und Kriegsgefangene*), sygn. WAST-St.XIA,1.1aPW, której kopia znajduje się w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu. Informację uzyskano dzięki uprzejmości dr Violetty Rezler-Wasielewskiej.

⁸ Archiwum Yad Vashem, M.49.E/5704 (Archiwum ŻIH, zespół 301, rel. 5704). Relacja Jana i Antoniny Żabińskich. Antonina Żabińska uzupełniała relację męża, która jest jednak zaprotokołowana, jakby była tylko jego relacją.

jakichkolwiek cech charakteru usprawiedliwiających nienawiść bądź niechęć do Żydów; po prostu dlatego, że jest mi całkowicie obojętne, czy mam do czynienia z Duńczykiem, Żydem czy Anglikiem. To przeświadczenie pogłębiłem w ciągu całego swego życia. Cechę tę uważam za właściwą każdemu przyzwoitemu człowiekowi. Dlatego też nie traktowałem naszej pomocy [...] jako jałmużny, tylko jako obowiązek wobec najbardziej gnębionych i poniżonych, jakimi wówczas byli Żydzi – obowiązek podyktowany względami ludzkimi. W tym czasie nie myślałem o grożących nam wszystkim konsekwencjach. Te same motywy, jakie mnie skłaniały do udzielania czynnej pomocy Żydom – to uczucie musu i poczucie obowiązku – równocześnie zaprowadziły mnie do czynnej dywersji w AK.

U nas w willi mieścił się ośrodek materiałów wybuchowych. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z konsekwencji w naszym postępowaniu, gdzie z jednej strony udzielaliśmy azylu Żydom, a z drugiej strony wystawialiśmy nas wszystkich na najwyższe niebezpieczeństwo w przypadku „wsypy” grupy dywersyjnej, do której należałem. Napomykałem co prawda delikatnie o tym moim pensjonariuszom, ale oni nie chcieli opuścić naszego domu ani myśmy nie śmieli ich pozbawić iluzji bezpieczeństwa. Ponadto w naszej willi nie było żadnej skrytki, gdyż to uniemożliwiała jej współczesna architektura. Na domiar złego dom nasz był położony na terenie niedziałającego zoo, w pobliżu składów niemieckich, gdzie ustawicznie odbywały się kradzieże i następujące po nich dochodzenia i rewizje. Kończyło się zwykle na przykrych wizytach Niemców, których przyjmowałem u siebie w gabinecie. Pensjonariusze nie mieli z tego powodu przykrości. Nie było więc u nas bezpiecznie, ale za to panował nastrój beztrojski, po części dlatego, że nie panikowaliśmy i nie wprowadzaliśmy atmosfery psychicznego podekscytowania.

Mieliśmy sporo przyjaciół Żydów, z którymi dr Szymon Tenenbaum (zoolog) z rodziną i Kazimierz Kramsztyk – nasi najbliżsi przyjaciele – zamieszkali w getcie warszawskim. Udało nam się utrzymać z nimi kontakt dzięki moim stosunkom w Zarządzie Miejskim w Warszawie. Udało mi się mianowicie uzyskać przepustkę do getta na zbieranie odpadków dla tuczarni świń: w ten sposób mogłem przenieść gryps, boczek, masło i załatwić pewne zlecenia moich przyjaciół. Dookoła obu wymienionych rodzin istniał krąg znajomych, których częściowo znaliśmy, jak prof. Ludwik Hirszfeld i Róża Amzelówna z Państwowego Instytutu Higieny, a częściowo poznaliśmy; i stopniowo zostałem wciągnięty w akcję pomocy.

Złość człowieka ponosiła, że Niemcy wszystko czynili, by na oczach świata zagłodzić i skazać na śmierć pół miliona ludzi, których jedynym przestępstwem była przynależność narodowa. O ile mogłem zrozumieć zbrodnie niemieckie w stosunku do Polaków – jako represje za zbrojny opór i ciągłe nękanie okupanta – to już żadną miarą nie mogłem pojąć uporczywej i aktywnej wrogości wobec narodu żydowskiego w Polsce, który jako taki nie wypowiedział przecież Niemcom wojny.

Dzięki Szymonowi Tenenbaumowi, który znając kierownika Urzędu Pracy dla dzielnicy żydowskiej – Liegera, również zoologa, poznał mnie z nim i miałem możliwość przechodzenia na stronę getta poprzez Arbeitsamt, zdejmując tam opaskę lub ją nakładając, w zależności od tego, czy wracałem względnie udawałem się do getta. Liczyłem, że nawet w wypadku zdekonspirowania mnie, Lieger nie zrobi mnie krzywdy. Jakoś szczęśliwie się nie naciąłem.

Głównie chodziło mi o wyprowadzenie żony i córki dr. Tenenbauma (on sam zmarł w getcie) i siostry Kazimierza Kramsztyka (sam Kramsztyk zmarł w getcie na tyfus). Umieściłem je u nas w willi. Ponadto przebywali u nas krewni Kazimierza Kramsztyka – rodzina adwokata Marcelego Lewi-Lubkowskiego (działacza PPS – zmarł w 1944 r. na tężca), razem trzy osoby, następnie adwokat Maurycy Frenkel (zatrudniony w dziale podatkowym Judenratu

warszawskiego), bliski znajomy rzeźbiarki Magdaleny Gross, pracującej na terenie ZOO (pomimo złego wyglądu, nie poszła do getta, powierzając się swojej odwadze). Gdy się jej zaczął palić grunt pod nogami, urządziliśmy ją na stałe u Rędznerów na Saskiej Kępie (on jako inżynier był zatrudniony w Elektrowni Miejskiej), a od czasu do czasu przebywała u nas. Ponadto opiekowaliśmy się rodziną Kenigswein (przyszła do nas w grudniu 1943 r., gdy już straciła wszelkie oparcie finansowe; i do końca figurowała na naszej ewidencji). Pan Kenigswein, bokser z „Makabi”, był zięciem dostawcy zoo Sobola i przyszedł do nas, gdy inne możliwości po polskiej stronie zawiodły.

W naszej ewidencji figurowali ponadto: mecenasowa Weissowa, żona adwokata Weissa, pani Poznańska, rodzina Keller (małżeństwo i dziecko), Kramsztykówna Jolanta, córka Andrzeja Kramsztyka, Marysia Aszerówna, „Aniela” (Rachela Auerbach) i Genia Sylkes. Obie dostały się do nas poprzez Janinę Buchholz, również działającą na odcinku ratownictwa. „Aniela” sprowadziła do nas na czasowy pobyt Bera Warma (Bolka). Genia Sylkes przebywała u nas w ciągu dnia, pomagając żonie w gospodarstwie domowym, szyjąc, cerując, porządkując.

W końcu 1943 r. zwrócił się do mnie Marek Arczyński i ofiarował mi pewną sumę na potrzeby pomocowe. Później otrzymywałem dotacje pieniężne z Rady Pomocy Żydom poprzez Wandę Ryglową, łączniczkę RPŻ. My, tzn. ja i żona, nie byliśmy częścią Rady i niewiele moglibyśmy powiedzieć o działalności RPŻ i jej schemacie organizacyjnym, ale stanowiliśmy jeden z jej nurtów.

OPRACOWAŁ WITOLD MĘDYKOWSKI



Dyplom Antoniny
i Jana Żabińskich

KSIĘŻA KATOLICCY Z POMOCĄ RABINOM...?

Jednym z najmniej znanych źródeł do dziejów pomocy świadczonej ludności żydowskiej przez Polaków jest powstała po wojnie literatura w języku jidysz. Kierowana do czytelnika żydowskojęzycznego, wkrótce po ujrzeniu światła dziennego popadała w zapomnienie, a to głównie z przyczyny coraz bardziej ograniczonego kręgu odbiorców. Starsze pokolenie wymierało, młodsze zaś asymilowało się do otaczającej kultury i języka, nie sięgając po książki napisane w niezrozumiałym dla niego języku. Informacje zawarte w tej literaturze – często bardzo cenne, bo utrwalone w pierwszych latach powojennych, gdy pamięć świadków o wydarzeniach była jeszcze świeża i nieodkształcona przez powstałą nieco później literaturę naukową oraz wspomnieniową – nie przedostawały się do świadomości społecznej. Ten stan rzeczy zmienia się bardzo powoli dopiero obecnie, wraz z pojawiającymi się na rynku wydawniczym przekładami.

Relacja, którą zdecydowałem się zaprezentować czytelnikom, pochodzi z książki Menasze Ungera *Der gajstiker vidersztand fun jidn in getos un lagern (Duchowy opór Żydów w gettach i obozach)*, która ukazała się w Izraelu w roku 1970, nakładem wydawnictwa HaMenora. Wydana została tuż po śmierci autora. Wstępem opatrzył ją przyjaciel Ungera, podpisany jako Eliezer Wizel.

Lektura tego rodzaju literatury zawsze rodzi pytania co do jej autentyczności. Niezależnie od tego, co mówią publicyści i ludzie zainteresowani bardziej sensacją niż próbą dotarcia do prawdy, historyk musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dane źródło historyczne można uznać za wiarygodne (nie inaczej jest w tym wypadku).

Przeciw świadczyć może fakt, że autor, przygotowując publikację, nie stosował zasad warsztatu historycznego, a jego książka nie miała charakteru naukowego, lecz raczej popularny, by nie powiedzieć – propagandowy. Jak wyjaśniono to w przedmowie, Menasze Unger tę i inne swe publikacje poświęcił zwalczaniu wszelkich negatywnych opinii na temat żydowskich ofiar II wojny światowej – wspomnianie o przypadkach kolaboracji czy innego rodzaju demoralizacji wśród społeczeństwa żydowskiego nazywał „powtórny mordem popełnianym na europejskich Żydach”. Menasze Unger żył w poczuciu misji, której celem było nie tylko zachowanie pamięci o żydowskich ofiarach, ale też „ocalenie pamięci o wysokim poziomie ich moralności”. Z obiektywnego punktu widzenia uprawiał on więc czystą apologię, idealizował obraz opisywanej społeczności, co w badaniach naukowych nie może być akceptowane. Dodatkową trudnością jest enigmatyczność przytaczanej przez niego relacji. Nie wiadomo, kiedy dokładnie rozgrywa się akcja – prawdopodobnie między lipcem 1942 r. a kwietniem 1943 r., a w każdym razie w końcowym okresie istnienia getta warszawskiego. Nie podano też żadnych szczegółów dotyczących hierarchów Kościoła katolickiego, którzy mieli jakoby zaoferować ratunek trzem warszawskim rabinom. Co więcej, sam pomysł – w świetle dotychczasowej wiedzy historycznej – wydaje się mocno wątpliwy. Osobiście nie napotkałem w innych źródłach i publikacjach dotyczących tego tematu żadnych wzmianek, które mówiłyby o takiej inicjatywie. Razi także język, który momentami przypomina bardziej umoralniającą opowiastkę aniżeli wiarygodną i autentyczną relację.

Z drugiej jednak strony istnieją czynniki, które sugerują, że opowiedziana historia może być prawdziwa (to, że dotychczas nie była ona znana, nie może być argumentem, iż nigdy nie miała miejsca; wciąż przecież odkrywamy wydarzenia, o których wcześniej nie słyszeliśmy). Wątek katolicki, czyli polski, jest w tej relacji poboczny i nie ma on dla autora większego znaczenia. Jego zamiarem nie było mówienie o pomocy, ale o bohaterstwie warszawskich rabinów, którzy mieli zrezygnować z ratunku dla siebie i swych rodzin tylko po to, by do końca pozostać z resztką żyjącej społeczności żydowskiej. Unger chciał pokazać siłę żydowskich duchownych, a nie empatię polskich księży. Za autentycznością relacji przemawia fakt, że o tych ostatnich rabinach wyrażają się bez szczególnego uznania, by nie powiedzieć – lekceważąco. Oferta pomocy dla rabinów i ich rodzin przedstawiona jest jako wielkopolski gest, prawie kaprys ogólnie niechętnych Żydom dostojników kościelnych. Menasze Unger pisze o tym tak, jakby nie znał realiów okupacyjnych, jakby nie wiedział, z jakim ryzykiem było to związane. Gdyby więc świadomie fałszował wydarzenia, nie potrzebowałby w taki sposób odwoływać się do stereotypu antysemitycznego duchowieństwa katolickiego. Nie musiałby mówić o chęci pomocy z ich strony. Co więcej, Menasze Unger powołuje się w tym wypadku na artykuł autorstwa osoby podpisanej jako „Marian Żyd”, który ukazał się w amerykańskim czasopiśmie „Forverts”¹. Można więc uznać, że był on przekonany o autentyczności historii i nie negował jej podstawowych faktów. Wiedział przecież, że jego czytelnicy z łatwością do tego czasopisma mogą zajrzeć i sprawdzić, czy mówi prawdę; nawet sama redakcja mogłaby zaproponować, widząc, że ktoś próbuje nadużyć nazwy czasopisma. Dla wiarygodności tej relacji istotny jest także fakt, że mówi ona o prawdziwych osobach, rabinach, którzy rzeczywiście przebywali w getcie warszawskim. Byli to: Dawid Szpiro (w tekście jako Dowid Szapiro), Szymon Sztokhammer (w tekście jako Szimszon Sztokhammer) oraz Menachem Ziamba (w tekście jako Menachem Zemba)².

Podaję więc tę historię, mając nadzieję, że wcześniej czy później uda się potwierdzić jej autentyczność lub udowodnić, iż opisane w niej wydarzenia nie są zbieżne z tymi, które rzeczywiście miały miejsce.

RELACJA:

(zachowano pisownię oryginalną)

„Ofiarność trzech warszawskich rabinów

W dniach likwidacji getta warszawskiego, gdy żydowską społeczność miasta wywożono na rzeź do Treblinki, nadeszła niespodziewanie z najwyższych instancji kościoła rzymsko-katolickiego w Warszawie, propozycja pomocy dla trzech ostatnich rabinów, którzy jeszcze ostali się w getcie. Byli to: rabi Menachem Zemba, rabi Szimszon Sztokhammer oraz – szczęśliwie ocalały – rabi

¹ Dziwnie dość brzmiący pseudonim autora artykułu, na który powołuje się M. Unger, stanowi dodatkową wątpliwość względem wiarygodności tej historii. Niestety, przed ukazaniem się niniejszego numeru „Biuletynu” nie było możliwe odnalezienie wspomnianego artykułu.

² Wszyscy trzej byli członkami rabinatu warszawskiego, do którego prócz nich zaliczali się także: Icchak Meir Kanał, Jezechiel Hirsch Michelson, Noach Rogoźnicki, Abraham Wajnberg i rabin Szymon Huberband (współpracownik Emanuela Ringelbluma, członek Oneg Szabat).

Dowid Szapiro. Katolicycy dostojnicy, ni stąd, ni zowąd, postanowili ukryć ich trzech wraz z rodzinami w bezpiecznym miejscu. Gdy wiadomość dotarła do rabinów, musieli oni coś zdecydować. Działać należało szybko, nie było czasu na długie myślenie. Niemcy wciąż wypytywali działaczy Gminy [Żydowskiej], czy są jeszcze jacyś rabini w getcie.

Trzej ostatni rabini warszawscy usiedli w pokoju i omawiali ową rzymsko-katolicką propozycję. »Omawiali«... tj. siedzieli i milczeli. Nie padło ani jedno słowo. A tymczasem presja czasu stawała się coraz silniejsza. Każdy odgłos z zewnątrz mógł być krokiem nadchodzącej śmierci.

Wreszcie cisza została przerwana. Uczynił to rabi Dowid Szapiro. Przemówił tak: »Jestem najmłodszy. Słowa moje nie będą więc dla was zobowiązujące. Wiemy, że już nie możemy ludności w żaden sposób pomóc. Jednak samą obecnością, nie opuszczaniem, wzmacniamy ich, dodajemy im sił. To jest ostatnia posługa, jakiej udzielić możemy ostatnim Żydom. Ja po prostu nie mam siły, by pozostawić tych nieszczęsnych ludzi«.

Słowa te, cicho wypowiedziane przez rabi Dowida Szapiro, były końcem dramatycznie milczącej narady. Poczuli, jak gdyby zdjęto im z pleców i z serc ciężki kamień. W końcu znaleźli odpowiedź, ostateczną.

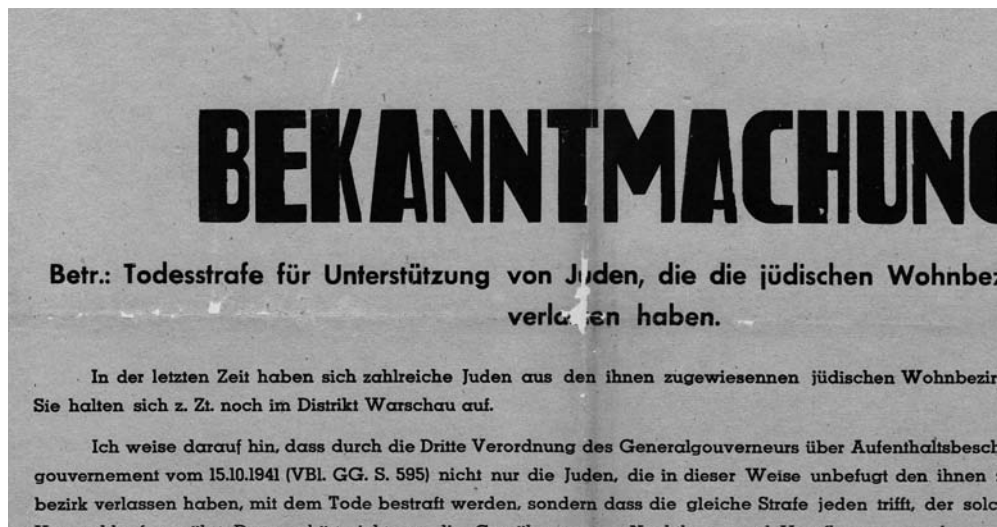
– »Bóg, który jest tam, jest także tu«.

I znów zapadło milczenie pomiędzy trzema rabinami. Tylko serca ich głośno płakały. Był to płacz nieszczęścia, ale też szczęścia, że i tę próbę przetrwali.

Nie prowadzono więcej rozmów z tymi wysokimi dostojnikami kościoła rzymsko-katolickiego, którzy nagle wpuścili do swych serc promyk humanizmu.

Koniec jest znany. Rabi Menachem Zemba i rabi Szimszon Sztokhamer zostali zamordowani jak wszyscy. Jedyne rabi Dowid Szapiro nie został zabity. Uratował się i dźmierzy ów niesamowicie tragiczny tytuł »ostatniego warszawskiego rabina«. Ostatni rabin z [całego] miasta rabinów“.

Marian Żyd, *U ostatniego warszawskiego rabina*, „Forverts”, 1947.



„OPÓR”? „ODWET”? CZY PO PROSTU „POLITYKA HISTORYCZNA”?

O ŻYDACH W PARTYZANTCE SOWIECKIEJ NA KRESACH II RP

Wejście na polskie ekrany filmu Edwarda Zwicka *Opór* z Danielem Craigiem w roli głównej, który przedstawia w zbeletryzowanej formie dzieje funkcjonującego w ramach partyzantki sowieckiej żydowskiego oddziału braci Bielskich (kryjącego się w Puszczy Nalibockiej i nadniemeńskich lasach, woj. nowogródzkie II RP) oraz opublikowanie poświęconej temu samemu zagadnieniu książki pióra żurnalistów „Gazety Wyborczej” – Piotra Głuchowskiego i Marcina Kowalskiego *Odwet. Prawdziwa historia braci Bielskich* – rozpętało publiczną dyskusję na rzadko spotykaną skalę. Hasłem wywoławczym dyskusji stał się udział czerwonych żydowskich partyzantów w pacyfikacji polskiej osady Naliboki w maju 1943 r. Jednak tak naprawdę dotyczyła ona nie tylko sprawy Naliboków, ale także miejsca zajmowanego przez żydowskie oddziały w partyzantce sowieckiej na Kresach i rzeczywistego charakteru ich działalności, jak też oceny stosunku czerwonych żydowskich partyzantów do państwa polskiego – którego wielu spośród nich było przecież obywatelami.

Przebieg tej dyskusji okazał się na tyle zaskakujący, że warto dokonać próby jej podsumowania, uwzględniając – siłą rzeczy – jedynie najistotniejsze wypowiedzi. Piotr Zychowicz w „Rzeczpospolitej” z 23 stycznia br. napisał artykuł *Bielski pomagał Żydom, ale też ich wykorzystywał*, w którym stwierdził m.in.: „Bohater filmu uratował 1,2 tysiąca Żydów, ale sposób, w jaki to zrobił, zdecydowanie odbiega od tego, co zobaczymy w amerykańskiej superprodukcji”. W tym samym numerze Zychowicz opublikował rozmowę z Nechamą Tec (autorką podstawowej pracy o oddziale Tewjego Bielskiego), która na jego pytanie: „Czy to prawda że [Bielski] terroryzował mieszkańców swego obozu?” – odpowiedziała: „To wszystko są bzdury. Wiem, że w Polsce pojawiło się kilka atakujących Tewjego artykułów. **Mamy do czynienia z antysemicką nagonką** [podkreślenie – K.K.]”. Andrzej Żbikowski z Żydowskiego Instytutu Historycznego 25 stycznia br. w wywiadzie dla „Super Expressu” stwierdził, że „**władze [polskiego] państwa podziemnego nie zaopiekowały się Żydami w czasie wojny**” [podkreślenie – K.K.], stawiając jednocześnie pytanie, dlaczego w tej sytuacji Żydzi mieliby być lojalni wobec państwa polskiego, którego byli obywatelami. Dwa dni później Kazimierz Krajewski w wypowiedzi dla „Super Expressu” ocenił współpracę Bielskich z sowieckimi władzami okupacyjnymi i udział w zwalczającej polski ruch niepodległościowy partyzantce sowieckiej – jako zdradę kraju, którego byli obywatelami, a ich działalność – jako pozbawioną charakteru bojowego. Pogląd ten powtórzył w dyskusji nad

Oporem, prowadzonej na falach rozgłośni Radio dla Ciebie. W tym też czasie w „Trybunie” stwierdzono, że prezentowanie tego rodzaju poglądów to „niegodziwość”. Rafał Wnuk z wirtualnego „Muzeum II wojny światowej” – w wypowiedzi telewizyjnej autorytatywnie orzekł, że ponieważ jego zdaniem grupa Bielskiego stacjonowała w maju 1943 r. ok. 100 km od Naliboków – nie mogła uczestniczyć w nalibockiej masakrze (dodajmy: autor wypowiedzi pomylił się – grupa Bielskiego stacjonowała wówczas w lasach jasionowskich koło Wsielubia, a więc ok. 50 km od Naliboków, a jej patrole wypuszczały się na grabieżcze wyprawy, tzw. *bambioszki* – nawet po 80–100 km od miejsca bazowania). W kolejnym numerze „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł Bogdana Musiała *Bielski w puszczy niedomówień*, w którym autor zauważa, że: „Trudno zrozumieć postawę żydowskich partyzantów z dzisiejszej perspektywy, nie mając pełnej wiedzy o kontekście tamtych wydarzeń”. Wątpliwości ze zrozumieniem złożonego kontekstu sprawy Bielskich i innych żydowskich partyzantów nie miał – na szczęście – Leszek Żebrowski, który w „Naszym Dzienniku” z 23 stycznia br. w artykule pod znamienym tytułem „*Opór*”. *(Nie)prawdziwa historia braci Bielskich* zrecenzował krytycznie pracę Głuchowskiego i Kowalskiego. W „Rzeczpospolitej” z 24–25 stycznia br. Krzysztof Jasiewicz w artykule *Opór przed rzeczywistością* stwierdził m.in., że: „Filmowa historia Tewje[go] Bielskiego to opowieść oderwana od podstawowych realiów, która przypomina bogaty w detale budynek, tyle że zaczynający się na wysokości drugiego piętra”. W artykule tym dokonał analizy stosunków polsko-żydowskich w okresie pierwszej okupacji sowieckiej w latach 1939–1941, podczas której ogromna liczba Żydów – obywatele RP (jak ocenia autor – blisko ćwierć miliona) wzięła udział w czynnych wystąpieniach antypolskich, opowiadając się po stronie zwycięskiego agresora – Związku Sowieckiego. Scharakteryzował też partyzantkę sowiecką, zwracając uwagę na jej wybitnie antypolski charakter. W „Gazecie Polskiej” Kazimierz Krajewski opublikował 28 stycznia br. artykuł *Bielski, Zorin i inni, czyli jak to było z żydowskim oporem*. Zwracał w nim uwagę na programowe zwalczanie przez partyzantkę sowiecką polskich struktur niepodległościowych, a także podjął próbę odpowiedzi na pytanie, na czym polegała w rzeczywistości działalność grup żydowskich w ramach partyzantki sowieckiej. Wątek ten podjęli Dariusz Jarosiński i Krzysztof Hejke w opublikowanym na łamach „Niezależnej Gazety Polskiej” (z 6 lutego br.) artykule *Bielscy i inni*, odsłaniając udział czerwonych żydowskich partyzantów w kolejnych, nieznanych dotąd zbrodniach sowieckich (w pacyfikacji trzech nadniemeńskich wiosek białoruskich w czerwcu 1944 r.).

Na początku naszych rozważań należy jednak przypomnieć, że literatura w języku żydowskim i angielskim dotycząca „wątków żydowskich” z lat wojny 1939–1945 na polskich Kresach Północno-Wschodnich jest niezwykle obszerna. Zarówno film *Opór*, jak też książka *Odwet* – wywodzą się z tego właśnie, nieznanego szerzej polskiemu odbiorcy nurtu, będącego wyrazem konsekwentnie prowadzonej od lat polityki historycznej. Polski odbiorca wytworów owego nurtu z zaskoczeniem zorientuje się, że obraz wydarzeń rozgrywających się na Kresach Wschodnich II RP w owych latach, wykreowany we wspomnianej literaturze i produkcjach artystycznych, odbiega daleko od sposobu, w jaki zapamiętali tamte lata nasi ojcowie i dziadowie – polscy mieszkańcy Ziem Utraconych (tj. Kresów anektowanych przez Związek Sowiecki). Autorzy wspomnianych publikacji anglojęzycznych i żydowskojęzycznych pokazują barwną panoramę partyzantki sowieckiej, prezentowanej jako istotny element sił zmagających się z „nazistami” (wyrazu „Niemcy” raczej się tam nie używa – „naziści” mogą oznaczać niekoniecznie Niemców), stosunki ludnościowe, politykę hitlerowską, martyrologię ludności żydowskiej i jej próby przetrwania. Partyzantka żydowska pojawia się w literaturze tego rodzaju

jako swego rodzaju „trzecia siła”, lub przynajmniej twór funkcjonujący na zasadach autonomicznych w ramach rosyjskiego – sowieckiego „ruchu partyzanckiego”. We wspomnieniach i nawet pracach naukowych wskazuje się na jej narodowy, żydowski charakter, samodzielność i realizowanie własnych celów. Film *Opór* ukazuje aktywną walkę żydowskich partyzantów z Niemcami i przypisuje Bielskim oraz jego podkomendnym wybitne dokonania bojowe.

Zacznijmy jednak od faktów podstawowych, bez których nie da się uporządkować złożonej materii tematów zasygnalizowanej dyskusji. Czuję się jednak zwolniony z podejmowania głębszej polemiki z Andrzejem Żbikowskim, dotyczącej rzekomej bierności państwa polskiego i jego podziemnych struktur wobec tragedii ginących Żydów – mającej jakoby zwalniać ich z lojalności wobec Polski, której byli obywatelami. Wszystkich zainteresowanych odsyłam do fundamentalnych prac Andrzeja K. Kunerta i Władysława Bartoszewskiego *Polacy – Żydzi 1939–1945. Wybór źródeł* (Warszawa 2001) i „*Żegota*”. *Rada Pomocy Żydom* (Warszawa 2002), mówiących o rzeczywistym stosunku polskich cywilnych i wojskowych władz państwowych wobec tragedii żydowskich obywateli Rzeczypospolitej. Stosunek ów miał przełożenie na poczynania struktur Polskiego Państwa Podziemnego w tej kwestii. Ktoś – na przykład Andrzej Żbikowski – może powiedzieć: to tylko piękne słowa i szlachetne deklaracje, jakie były ich praktyczne rezultaty? Ano takie, że najwięcej Sprawiedliwych wśród Narodów Świata to mieszkańcy Polski, jedynego kraju, w którym za pomoc udzielaną Żydom niemieckie władze okupacyjne – na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej – karały śmiercią „sprawców” owej pomocy wraz z rodzinami. Dodajmy, rezultaty działań „pomocowych” były mierzone realnymi możliwościami Armii Krajowej i Delegatury Rządu. Jak podają autorzy III tomu *Polskich Sił Zbrojnych* (Londyn 1950), straty AK w wyniku działań niemieckich wyniosły ponad 62 tys. żołnierzy – nie licząc strat w Powstaniu Warszawskim i ofiar represji sowieckich (zabitych, zamęczonych w śledztwie, rozstrzelanych w egzekucjach – a przede wszystkim aresztowanych, wysłanych do obozów koncentracyjnych). Zdołano odbić z rąk Niemców może dwa, może cztery tysiące aresztowanych – to i tak bardzo dużo. Nie odbito nawet gen. Roweckiego, nie zaatakowano ani jednego obozu koncentracyjnego; nawet gdyby to uczyniono, nie zdołano by „rozprowadzić” w terenie uwolnionych więźniów! Autorzy III tomu *Polskich Sił Zbrojnych* przyjmują liczebność AK w największym momencie jej rozwoju na 350 tys. ludzi: zatem co szósty akowiec padł ofiarą akcji niemieckiej, a organizacja nie była w stanie żadnemu z nich dopomóc! Czy to oznacza, jak chciałby Andrzej Żbikowski, że obywatele ci – oraz ich rodziny – zostali zwolnieni z lojalności wobec państwa polskiego? Nie, wręcz przeciwnie: jeśli załamali się w śledztwie i spowodowali „wsypę”, Wojskowe Sądy Specjalne AK skazywały ich za zdradę na karę śmierci. Niemcy dokonali pacyfikacji setek polskich wsi. Oddziały AK zdołały podjąć przeciwdziałanie w kilkudziesięciu przypadkach. Czy oznacza to, że rodziny mieszkańców wsi – spalonych żywcem, zastrzelonych, wybitych granatami (na przykład w Borowej, w której za współpracę z NSZ w kilka godzin zabito ponad tysiąc osób) – zostały zwolnione z lojalności wobec Polski? Z pewnością nie. Czy członkowie rodzin wymordowanych na Wołyniu i w Małopolsce przez oddziały UPA, których akowskie samoobrony nie zdołały uratować, zostali zwolnieni ze zobowiązań wobec Polski? Nie – to właśnie ich zobaczymy jako ochotników w szeregach zmobilizowanej kilka miesięcy potem 27. Dywizji Piechoty AK. Czy warszawiacy, gdy podnoszą sztandar powstania Armia Krajowa nie uratowała od zagłady 200 tys. mieszkańców stolicy, czuli się zwolnieni z patriotyzmu w chwilach najcięższej próby? Każdy zna odpowiedź na to pytanie, brzmi ona – nie. Pogląd Andrzeja Żbikowskiego, że brak możliwości ochrony wobec obywatela ze strony państwa zwalnia tego obywatela z elementarnej lojalności wobec państwa,

wydaże się zupełnie kuriozalny. Chyba że uważa on, iż mamy do czynienia z jakąś szczególną kategorią „nad-obywateli”.

Zastanawiając się nad *Oporem* i *Odwetem*, musimy odpowiedzieć sobie także na tak zasadnicze pytania, jak: jaką rolę odgrywała na polskich Kresach partyzantka sowiecka, jakie miejsce zajmowały w jej ramach grupy złożone z Żydów, jak były liczne, na czym w rzeczywistości polegała ich działalność? Analiza dokumentacji wytworzonej przez dowództwo sowieckiego „ruchu partyzanckiego” wskazuje jednoznacznie, że oddziały żydowskie nie były żadną „trzecią siłą”, ani nawet siłą autonomiczną wewnątrz partyzantki sowieckiej. Stanowiły jej integralną część, podlegając sowieckiemu Białoruskiemu Sztabowi Partyzanckiemu i władzom partii bolszewickiej. Miały dowództwa wyznaczane przez partię bolszewicką, własne komórki partyjne i komsomolskie, i oczywiście podległe NKWD „wydziały specjalne”, zajmujące się likwidowaniem wszelkich „nieprawomyślności” – z bolszewickiego punktu widzenia. Włączone były do poszczególnych brygad czy zgrupowań sowieckich i realizowały zadania wyznaczane przez dowództwa tych jednostek. W ostatecznym efekcie sprowadzało się to do realizacji sowieckich celów państwowych na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

Oddziały partyzantki sowieckiej operujące na Kresach Północno-Wschodnich II RP złożone były przede wszystkim z elementu zamiejscowego, z obywateli Związku Sowieckiego tzw. *okrążęńców* – żołnierzy Armii Czerwonej różnych narodowości (Rosjan, Ukraińców, Mongołów, Kałmuków, najróżniejszych Azjatów i przedstawiciele narodów Kaukazu – najmniej było tam chyba Białorusinów) i *wastoczników* – cywilnych funkcjonariuszy sowieckich, którzy nie zdążyli uciec w czerwcu 1941 r. Początkowo ludzie ci spokojnie siedzieli w polskich i białoruskich wsiach i nie rwali się specjalnie do walki za Związek Sowiecki. Jednak rozkazy niemieckich władz okupacyjnych wpychające ich do obozów, w których panowały straszliwe warunki, spowodowały, że zaczęli chronić się w lasach, organizując się w oddziały, nastawione początkowo głównie na przetrwanie. Te masy ludzi były stopniowo organizowane przez liczną kadrę przyslaną przez dowództwo sowieckie zza linii frontu (utworzono zwarte oddziały, łączone w brygady, te zaś – w zgrupowania). W latach 1943–1944 liczebność szeregów partyzantki sowieckiej na Nowogródczyźnie wahała się w granicach kilkunastu, okresowo nawet 20 tys. ludzi. Tak liczne siły, rzucone tu do akcji, miały przede wszystkim realizować cele polityczne, polegające na zapewnieniu trwałości władzy sowieckiej na niedawno anektowanych obszarach. Były one jak gdyby przednią strażą Armii Czerwonej. Jednym z celów postawionych przed nimi było rozpracowanie i zwalczanie polskiego podziemia niepodległościowego oraz sterroryzowanie niechętnej Sowiетom ludności cywilnej. Z jednakową zaciętością zwalczano zarówno polską konspirację niepodległościową, jak też i proniemiecki białoruski ruch narodowy (z rąk czerwonych partyzantów zginęły tysiące białoruskich działaczy terenowych, nauczycieli, pracowników kultury, administracji i kolaboranckich formacji policyjnych). Niezależnie od skrajnie trudnych warunków i widocznej złej woli Rosjan, dowództwo Nowogródzkiego Okręgu AK starało się zrealizować rozkazy KG AK i doprowadzić do porozumienia z „nieproszonymi gośćmi”, jacy pojawili się na terenie polskich Kresów Wschodnich, występując jako „sojusznicy naszych sojuszników”. W sumie około dziesięciokrotnie dochodziło na tym terenie do pertraktacji polsko-sowieckich, które jednak nie na wiele się zdały, gdyż stronie rosyjskiej nie zależało na porozumieniu, a jedynie na rozpracowaniu i zniszczeniu polskich struktur niepodległościowych (w jednym przypadku, w maju 1943 r. w pow. szczuczyńskim, wymordowana została cała polska delegacja). Trudno w to uwierzyć, ale zdarzenia takie, jak spalenie polskiego dworu i wymordowanie jego mieszkańców (jak na przykład w Woronicy w czerwcu 1943 r.), wy-

sadzenie kościoła, spacyfikowanie polskiej wsi niechętniej bolszewikom czy spalenie białoruskiej szkoły i zabicie nauczycieli – traktowane były jako normalne operacje bojowe, za które dostawało się pochwały i nagrody! Spośród poważniejszych antypolskich wystąpień partyzantki sowieckiej można odnotować spalenie miasteczka Derewno, pacyfikację osady Naliboki, wioski Koniuchy, Szczepki, Prowżały, Kamień, Niewoniańce, Izabelin, Kacze-wo, Babińsk i Ługomowicze, pacyfikacje w rejonie Dokudowa, wymordowanie oddziału „Kmicica” nad jeziorem Narocz, likwidację batalionu AK w bazie nad jeziorem Kromań i w Derewnie oraz kilku oddziałów AK na Polesiu. Zainteresowanych można odesłać do pracy historyka z Białorusi – Zygmunta Boradyna *Niemen – rzeka niezgody. Polsko-sowiecka wojna partyzancka na Nowogródzczyźnie 1943–1944* (Warszawa 1999).

Jednym z elementów olbrzymiej maszyny partyzantki sowieckiej, realizującej opisane powyżej zadania, były też grupy żydowskie. Na ziemi nowogródzkiej w czerwonych oddziałach służyło stosunkowo wielu Żydów. Największe jednostki żydowskie bazowały w kompleksie leśnym Puszczy Nalibockiej. Były to: oddział Tewjego Bielskiego (początkowo im. Żukowa; z czasem podzielony na dwa oddziały: im. Kalinina i im. Ordżonikidze; w końcowym okresie okupacji liczebność ich wynosiła ok. 1,2 tys. ludzi – w tym 162 uzbrojonych) oraz oddział nr 106 dowodzony przez Szymche Zorina, wchodzący w skład Brygady im. Stalina (562 ludzi – w tym 72 uzbrojonych). Oddział im. Ordżonikidze zimą 1944 r. został skierowany do Brygady im. Kirowa, operującej na południe od Lidy, za Niemnem. Ponadto sporo Żydów było rozproszonych w mniejszych grupkach po różnych oddziałach sowieckich (w strefie lidzkiej na 4850 partyzantów sowieckich – ok. 1,2 tys. to Żydzi, czyli 1/4 składu osobowego!). Skupiska Żydów istniały też w obozowiskach sowieckich w Puszczy Lipiczańskiej, Nackiej i w lasach Byeńskich. To rzeczywiście dużo – powstaje jednak pytanie o realną wartość tych sił i ich użyteczność. Czy rzeczywiście podkomendni Bielskiego toczyli boje z Niemcami – takie jak filmowi bohaterowie *Oporu*? Minimalna ilość broni znajdującej się w rękach żydowskich partyzantów nie wystarczała nawet do zapewnienia sprawnego systemu wart i ubezpieczeń, przesądzając o możliwościach działania oddziałów, w których służyli. Były to, jak określali Sowieci – tzw. *siemiejne otriady* (oddziały, czy też raczej obozowiska, rodzinne), mające charakter grup przetrwaniowych, a nie partyzanckie oddziały bojowe, zdolne do realizacji zadań wojskowych. Dlatego też głównym zadaniem, jakie dowództwo partyzantki sowieckiej stawiało przed podległymi sobie Żydami, było ściąganie zaopatrzenia z ludności. Nawiasem mówiąc, w Puszczy Nalibockiej biwakowało stale kilka tysięcy sowieckich partyzantów (5–10 tys. – co piąty był Żydem komunistą), opodal przebiegała jedna (sic!) linia kolejowa, na której zadania dywersyjne mogło realizować kilka małych patroli wysyłanych do wysadzania torów. Nie było żadnego uzasadnienia, prócz sowieckich celów politycznych, by trzymać tam tę masę ludzi żyjących kosztem miejscowej ludności. Z sowieckiego punktu widzenia nie było potrzeby, by oczekiwać od Bielskiego i Zorina aktywnych działań przeciw Niemcom, do których zresztą nie byli oni, jak wspomniano, zdolni. Według raczej zawyżonego sprawozdania złożonego przez Tewjego Bielskiego w listopadzie 1943 r. dowództwu sowieckiego zgrupowania baranowickiego, w ciągu blisko dwóch lat istnienia jego oddziału, liczący blisko tysiąc ludzi, miał zabić 14 Niemców i 17 policjantów białoruskich oraz 33 szpiegów i prowokatorów (można sądzić, że ta ostatnia liczba odnosi się głównie do zamordowanych chłopów niechętnych partyzantce sowieckiej lub stawiających opór wobec grabieży). Jak na ponad dwa lata działalności, kilkunastu zabitych Niemców to raczej niewiele. Wbrew obrazowi ukazanemu w *Oporze* wartość bojowa ludzi Bielskiego była nikła. Gdy w ostatnich dniach okupacji jego obóz został zaatakowany przez nieduży

oddział wycofujących się na zachód niemieckich frontowych rozbitków, żydowscy partyzanci nie byli w stanie stawić im oporu; kto zdążył, rzucił się do ucieczki (i nie było tam, jak w filmie, żadnych czołgów ani armat). Przytaczana niekiedy wypowiedź Bielskiego, który jakoby zwykł był mawiać: „Wolę uratować jedną starą Żydówkę, niż zabić dziesięciu Niemców”, wydaje się nie mieć żadnego odniesienia do rzeczywistości. Tadeusz Gasztold w jednej ze swych prac przytacza relacje mieszkańców obrzeży Puszczy Nalibockiej, mówiących o tym, jak wiosną 1943 r. pędzono Żydów z Rubieżewicz w kierunku Nowogródka, gdzie w getcie ostatecznie czekała ich zagłada. Eskortę stanowili głównie funkcjonariusze żydowskiej służby porządkowej. Sowieci, w tym setki „czerwonych Żydów”, nie podjęli ani jednej akcji w celu ratowania tych nieszczęśników – nie padł ani jeden strzał! Przytaczane przez Duffy’ego buńczuczne wypowiedzi Bielskiego wydają się w świetle tych faktów zupełnie gołosłowne, tym bardziej że nie trzeba byłoby zabijać ani jednego nawet Niemca, tylko rozpedzić żydowskich porządkowych i paru białoruskich policjantów. O walorach bojowych podkomendnych Bielskiego świadczy też okoliczność, że gdy zimą 1943/1944 z jego obozu wydzielono młodych, uzbrojonych Żydów jako oddział im. Ordżonikidze i skierowano do Brygady im. Kirowa z zadaniem udziału w działaniach dywersyjnych, uciekli z powrotem do bazy w Puszczy Nalibockiej, gdzie można było spokojnie grabić bezbronnych chłopów, nie narażając się na niebezpieczeństwa walki (uciekł nawet brat Bielskiego).

Wobec niezdolności oraz nieprzydatności podkomendnych Bielskiego i Zorina do walki z Niemcami, sowieckie dowództwo wyznaczało im inne zadania. Obozowiska Bielskiego i Zorina były raczej skupiskami „ludzi sowieckich” pochodzenia żydowskiego, którym powierzano zadania gospodarczo-administracyjne. Stały się one bazami gospodarczymi i kwatermistrzowskimi. Tu organizowano warsztaty krawieckie, szewskie, szwalnie, polowe młyny, piekarnie i szpitale, świadczące usługi na rzecz „liniowych” jednostek partyzantki sowieckiej. Jedyne samodzielne „operacje”, jakie powierzano im do realizacji, sprowadzały się do działań „zaopatrzeniowych”, czyli „wyciskania” żywności i zaopatrzenia z kompletnie zubożałej ludności, oraz działań pacyfikacyjnych wobec odpornej ludności. W zakresie owych „operacji gospodarczych” żydowscy partyzanci wykazywali się istotnie wybitną aktywnością. Podstawowe wyniki tego rodzaju działań prowadzonych przez podkomendnych Bielskiego podaje Boradyn w przytaczanej już pracy – na podstawie raportów dowództwa partyzantki sowieckiej. Nie ma tu, jak w filmie *Opór*, efektownych walk z niemieckimi czołgami czy wysadzonych pociągów itp.; zabrano za to ludności cywilnej i przekazano dowództwu sowieckiemu: 200 t ziemniaków, 3 t kapusty, 5 t buraków, 5 t zboża, 3 t mięsa i tonę kiełbasy (ile zatrzymano dla siebie – nie wiadomo). W sowieckich raportach pominięte zostały dane dotyczące ilości zagrabionej odzieży, które także były znaczne (zabierano nawet firanki, ludność chowała swój dobytek w najróżniejszych przemysłowych kryjówkach). Łatwo sobie wyobrazić, co znaczyło to dla mieszkańców terenu, który latem 1943 r. poddany został totalnej pacyfikacji niemieckiej (60 spalonych wsi, ponad 4 tys. rozstrzelanych, 20 tys. wywiezionych do robót w Rzeszy lub do obozów). W miejscach spalonych przez Niemców wsi ludzie wegetowali bez środków do życia, kryjąc się w ziemiankach i wykopanych jamach. Można się domyślać także, jakie uczucia żywiła żyjąca w takich warunkach ludność wobec „zaopatrzeniowców” Bielskiego i Zorina, którzy zabierali jej – dosłownie – ostatni kawałek chleba. Zygmunt Boradyn ocenia jednoznacznie charakter tych działań, pisząc dosłownie: „Najbardziej bezwzględne rekwizycje przeprowadzały oddziały żydowskie”. Działania „gospodarcze” grup żydowskich wobec ludności były prowadzone w sposób tak bezwzględny i okrutny, że podczas pertraktacji pomiędzy dowództwem Nowogródzkiego

Okręgu AK i dowództwem sowieckim (reprezentowanym przez Brygadę im. Lenina z Puszczy Lipiczańskiej), do jakich doszło w czerwcu 1943 r., strona polska jako jeden z warunków porozumienia żądała, by Sowietci nie wysyłali Żydów na rekwizycje, „[...] bo ci się znęcają, gwałcą kobiety i [mordują nawet?] małe dzieci [...] obrażają ludność, straszą późniejszą zemstą Sowietów, nie mają miary w swej nieuzasadnionej złości i rabunku”. Charakter działań żydowskich oddziałów funkcjonujących w ramach sowieckiej partyzantki potwierdza szef sztabu oddziału Zorina, Anatol Werthaim. Píše on m.in.: „Jedzenia było pod dostatkiem, a nawet gromadziły się zapasy. [...] Nadwyżki jedzenia posyłałiśmy nawet do Moskwy. Raz w tygodniu lądował na polowym lotnisku w puszczy samolot: przywoził gazety i materiały propagandowe, a zabierał z powrotem samogon, słoninę i kiełbasy własnego wyrobu”.

Oddziały Bielskiego i Zorina nie miały żadnej własnej „żydowskiej linii działalności”, po prostu realizowały sowieckie cele państwowe na terytorium Polski i wykonując rozkazy swych sowieckich przełożonych, uczestniczyły w zwalczaniu polskiej działalności niepodległościowej. Okoliczność, że Bielski był obywatelem RP, ma wymiar moralnie i prawnie jednoznaczny (kwalifikuje się to jako zdrada główna). Z Szymche Zorinem, sowieckim komunistą z Mińska Białoruskiego, nie ma takiego problemu; tyle tylko, że „działał” on na polskim terytorium państwowym, bo w sowieckiej części Białorusi nie byłoby czego grabić w kołchozach.

Wspomniałem już, że czerwoni żydowscy partyzanci Bielskiego i Zorina nie byli wysyłani na samodzielne „akcje bojowe”. Dołączano ich jednak, głównie jako przewodników, do liniowych oddziałów partyzantki sowieckiej, wykonujących „operacje” przeciwko Armii Krajowej oraz antykomunistycznie nastawionej ludności polskiej i białoruskiej. Najbardziej znanym antypolskim wystąpieniem jest ich udział w pacyfikacji osady Naliboki, dokonanej 8 maja 1943 r. przez Brygadę im. Stalina. Nie będziemy przesądzać, czy uczestniczący w masakrze Żydzi należeli do obozu Bielskiego, czy Zorina (najprawdopodobniej była to podlegająca Bielskiemu grupa Izraela Keslera, recydywisty pochodzącego z Naliboków). Pod pretekstem rozprawienia się z miejscową *samoachową* (samoobroną) powołaną przez białoruską administrację, dokonano masakry ludności, zabijając 129 mieszkańców (osada spłonęła, wraz ze sprofanowanym kościołem). Ponieważ nalibocka placówka AK miała zawartą z partyzantką sowiecką umowę o nieagresji, została kompletnie zaskoczona i nie była w stanie stawić oporu. Pacyfikacja osady została opisana w raportach sowieckich jako operacja bojowa, w której „rozgromiono” faszystowski policyjny garnizon, zaś straty „przeciwnika” określały na ok. 300 zabitych (w rzeczywistości w Nalibokach nie było nawet posterunku policji; jedyny [sic!] białoruski policjant, który znalazł się wśród zabitych, przybył do mieszkającej tu rodziny na urlop; reszta zamordowanych to cywilni mieszkańcy).

Pacyfikacja Naliboków to jednak tylko czubek góry lodowej. Nawet nader życzliwi Bielskiemu autorzy *Odwetu* – Głuchowski i Kowalski – stwierdzają, że kilkudziesięciu jego podkomendnych uczestniczyło 1 grudnia 1943 r. w podstępnej sowieckiej napaści na bazy Batalionu Stołpeckiego AK (oddział, który miał dwukrotnie zawierane umowy o współdziałaniu z partyzantką sowiecką, został zlikwidowany, kilkunastu żołnierzy zamordowano na miejscu, w ciągu kilku najbliższych tygodni zginęło blisko 50 dalszych). Potwierdzają też udział podkomendnych Bielskiego w sowieckim ataku na osadę Kamień, pow. Stołpce, w maju 1944 r. Osada została spalona wraz z kościołem, poległo 23 żołnierzy AK i przeszło 20 cywilnych mieszkańców. Dziejopis oddziału Bielskiego – Peter Duffy – pisze o działaniach prowadzonych przez oddział im. Ordżonikidze zimą 1944 r. na terenie pow. lidzkiego, wspominając, że 5 marca tr. „czerwoni” zabili 47 Polaków. Znamienne, Duffy nie użył określenia „partyzantów polskich” czy „białopolaków”. Zapewne świetnie wiedział, że w rzeczywistości

chodziło tu o działania pacyfikacyjne, tym razem w rejonie Filonowców i Dokudowa, podczas których Sowietci i Żydzi z oddziału im. Ordżonikidze wymordowali wiele polskich rodzin podejrzanych o sprzyjanie AK. Doszło też wówczas do kilku walk z oddziałami AK, które wystąpiły w obronie ludności (tylko w jednym z tych starć poległo ośmiu polskich partyzantów). Z kolei Dariusz Jaroszyński i Krzysztof Hejke podają nieznaną dotąd szczegóły z pacyfikacji białoruskich wiosek nad Niemnem – Kupisk Lubczański, Kupisk Pierwszy i Kupisk Kazionny – dokonanej przez sowieckie brygady partyzanckie 13 czerwca 1944 r. I znów ocaleni mieszkańcy zapamiętali, że w „operacji” tej uczestniczyli Żydzi. Pod pretekstem rozprawy z dziesięcioosobowym punktem białoruskiej *samoachowy*, ochraniającym most, spalono blisko pięćset gospodarstw i zabito nieustaloną liczbę mieszkańców (do białoruskich wieśniaków – w tym kobiet i dzieci – bolszewicy strzelali jak do kaczek).

Naliboki, Derewno, polska baza nad jeziorem Kromań, osada Kamień, chutory w rejonie Dokudowa, trzy nadniemeńskie Kupiski, setki spalonych domostw, setki zabitych, wystrzelanych i spalonych polskich i białoruskich mieszkańców to już nie pojedyncze, „przypadkowe incydenty”, ale masowe zbrodnie komunistyczne, w których uczestniczyli bohaterowie *Oporu*. Próżno by jednak szukać informacji o nich w filmie Edwarda Zwicka.

Stosunki wewnątrz oddziału Bielskiego to zupełnie odrębne zagadnienie, często przedstawiane w sposób dalece wyidealizowany. Czy tak jak w filmie *Opór* bolszewickie oddziały im. Żukowa i Ordżonikidze były „nową Jerozolimą”, a Tewje Bielski „nowym Mojżeszem” przeprowadzającym wiernych żydowskim ideałom współbraci przez morze (raczej bagno) okupacji niemieckiej lub „nowym Dawidem” skutecznie stawiającym czoło okupacyjnemu hitlerowskiemu Goliatowi? Nie, członek WKPB, Tewje Bielski, z pewnością „nowym Mojżeszem” nie był; służył czerwonej gwiazdzie Stalina, a nie żydowskiej gwiazdce Dawida. Ciesząc się, dzięki „podarunkom”, protekcji Wasilija Czernyszowa „Płatona”, dowódcy sił sowieckich w obwodzie baranowickim, był w swym obozowisku małym dyktatorem. Kilku podkomendnych, niezadowolonych z jego autokratycznych rządów, po prostu zastrzelił, innych wyeliminował, wykorzystując swe możliwości organizacyjne jako sowieckiego dowódcy (konflikt z Bielskim kosztował życie nawet wspomnianego już w tym szkicu Izraela Keslera). „Gospodarka finansowa” Bielskiego była tak specyficzna, że zwróciła uwagę jego bolszewickich przełożonych. Od osób trafiających do jego obozu pobierał opłaty za „ochronę”, co jakiś czas urządzał też zbiórki pieniędzy na „zakup broni” (w sowieckiej partyzancie broń była przydzielana ze zrzutów – a nie kupowana!). Dowództwo sowieckie zamierzało podjąć dochodzenie w sprawie haraczy zdzieranych przez Bielskiego, a jeden z jego przełożonych sugerował nawet aresztowanie go i rozstrzelanie (oczywiście – po odebraniu mu zagrabionych środków finansowych). Zygmunt Boradyn, opierając się na sowieckich materiałach archiwalnych, pisze: „Bielski wzbogacał się kosztem rodaków, od których brał i przywłaszczał pieniądze pod pretekstem zakupu broni. W tej sprawie Stepan Szupienia wystosował list do gen. Płatona”: „[...] Bielski nie zajmował się pracą bojową, a spekulował w oddziałach. Brał od swoich partyzantów złoto na zakup broni i przywłaszczał je, a broni nie dawał. Sugerowałbym, by zaproponować Bielskiemu, by przekazał złoto państwu (u niego znajduje się ponad kilo carskich złotych monet), potem tego Bielskiego aresztować i oddać pod sąd”. Boradyn przytacza też fragment wspomnień „czerwonego” partyzanta Józefa Marchwińskiego z grupy Keslera: „[...] Bielski bardziej kochał pieniądze i wystawne życie od swych własnych bliźnich, którymi rządził w obozie. Żądny władzy, a jeszcze bardziej pieniędzy, bez skrupułów obierał swych współbraci z ich skromnych oszczędności, kiedy ci przybywali do obozu, [...] pieniądze te zasilały prywatną kasę Tewjego Bielskiego i jego otoczenia”.

Podobnie zachowywał się Szymche Zorin. Mimowolne świadectwo stosunków panujących w jego oddziale dał w swych wspomnieniach Anatol Werthejm, cytowany już szef sztabu tej grupy. Opisuje on zwykłe, codzienne śniadania Zorina i jego otoczenia, tak wystawne, że zwykli mieszkańcy rejonu Puszczy Nalibockiej nie mogli sobie pozwolić na taki „stół” nawet w czasie pokoju w okresie świątecznym. Opisuje też słynne wyjazdy Zorina w teren w celu „żenienia się”, które podejmował co kilka lub kilkanaście dni. Polegały one na dokonaniu najazdu kilkunastu lub kilkudziesięciu uzbrojonych Żydów na wybrany chutor, w którym Zorin wykorzystywał dziewczyny, jakie „wpadły mu w oko”. Orgie trwały po dwa – trzy dni, a rodzice „wybranki” musieli przy tym żywić Zorina i jego ludzi. Bez wątplenia tego rodzaju „wyczyny” przysparzały popularności „czerwonym” żydowskiemu dowódcy jedynie wśród ich zauszników, ale nie wśród uciskanej ludności.

Wielokrotnie cytowany Zygmunt Boradyn podaje w swym dziele: „Zachowanie się grup i oddziałów żydowskich w terenie wywoływało oburzenie nie tylko ludności miejscowej, ale i partyzantów sowieckich i innych narodowości. Przesłany z Moskwy kpt. Kowalow, w czerwcu 1943 r. meldował Czernyszowowi: »[...] Ludność Żydów nie lubi. Kiedy grupa żydowska przechodzi przez Niemen, były wypadki rozbrajania ich przez naszych partyzantów, którzy oddają zabraną broń chłopom i wspólnie biją Żydów, wołając ‘Bij Żydów – ratuj Rosję’«”.

Kolejne pytanie, na które musimy odpowiedzieć: czy udział obywateli polskich pochodzenia żydowskiego we wrogiej partyzantce sowieckiej to nieuchronna konieczność, czy wybór? Można bowiem niekiedy napotkać pogląd, że polscy, kresowi Żydzi nie mieli innej możliwości niż przyłączenie się do bolszewików. Nic bardziej błędnego. W oddziałach AK obowiązywało obywatelskie podejście do żołnierzy ochotników. Każdy obywatel RP mógł ubiegać się o możliwość służby w podziemnej armii. Licznie korzystali z niej prawosławni – zarówno Polacy, Białorusini, jak i tzw. tutejsi. W niektórych oddziałach prawosławni stanowili 30–40 proc. ich składu. Co więcej, w każdym batalionie partyzanckim AK na Nowogródczyźnie znajdowali się jacyś obywatele sowieccy – najczęściej antykomuniści, dezertery z formacji kolaboranckich w służbie niemieckiej (Rosjanie, Kozacy, Ukraińcy, Azjaci). Nie było więc tu jakiegось szowinizmu narodowego czy religijnego. W wielu polskich oddziałach AK służyli też Żydzi. Najwięcej chyba w 1943 r. w Batalionie Stołpeckim, operującym na obszarach działalności Bielskiego i Zorina (znajdowali się głównie w służbach pomocniczych: kwatermistrzostwie, taborach, służbie zdrowia). Dołączenie do polskiej partyzantki AK było kwestią wyboru z ich strony – mogli pójść do bolszewików, wybrali jednak „białopolaków”. Innego wyboru dokonał Bielski. Ciekawy opis rozmowy grupy Żydów z oficerem AK por. Kacprem Miłaszewskim „Lewaldem”, dowódcą batalionu partyzanckiego zwanego potocznie „legionem”, zawierają przytaczane już wspomnienia Anatola Wertheima. Opisuje on życzliwą postawę akowców wobec Żydów. Ostatecznie o możliwości wstąpienia do AK decydował stosunek Żydów do państwa polskiego: „Panowie, powiedział [Miłaszewski], tych spośród was, którzy pochodzą z centralnej lub zachodniej Polski, przyjmujemy do Legionu bardzo chętnie. Wiem, że jesteście patriotami. Nie możemy natomiast przyjąć nikogo z miejscowych. Tutejsi Żydzi sprzyjają Sowietom, nie mamy do nich zaufania”. Ale nawet odchodzącym z jego obozu miejscowym Żydom – zwolennikom bolszewizmu – wystawił przepustkę, w której prosił wszystkie oddziały z terenu Puszczy Nalibockiej, by udzieliły im pomocy. To dopiero późniejsze wydarzenia, zdradziecka napaść Sowietów na polskie obozowiska i rozpętanie otwartej wojny z AK, spowodowały, że przepaść pomiędzy Polakami i czerwoną partyzantką, także żydowską, stała się nie do pokonania.

Dla współczesnych mieszkańców USA czy Europy Zachodniej skomplikowane realia wojny na północno-wschodnich Kresach II RP są kompletnie niezrozumiałe. Nie pojmą

oni, czemu postać Bielskiego i jego towarzyszy nie wzbudza wśród Polaków oczekiwanego entuzjazmu? Przypomnijmy: Bielski to dobrze sytuowany obywatel RP, podoficer rezerwy Wojska Polskiego, który w czasie pierwszej okupacji sowieckiej 1939–1941 kolaboruje z władzami okupacyjnymi (był pracownikiem aparatu sowieckiego), potem zaś wstępuje do partyzantki sowieckiej, zwalczającej polską działalność niepodległościową i niszczącą polską społeczność na Kresach. Stał po stronie sił niosących zagładę nie tylko Polsce, ale całemu „staremu światu”. Amerykanin powie, że może to kwestia jego poglądów i konieczności, przed jaką stanął. Ale ten sam Amerykanin, zapytany, jak sklasyfikować postawę obywatela USA, który z powodów ideowych czy religijnych zdecydował się na zaangażowanie po stronie terrorystów islamskich zwalczających Stany Zjednoczone AP – nie będzie miał wątpliwości. To człowiek, który zdradził swój kraj.

I ostatnia kwestia. Łatwo się zorientować, że *Opór* Zwicka to nie opis faktów historycznych, ale barwna opowiadka dla „pokrzepienia” żydowskich (amerykańskich) serc. A co z książką Głuchowskiego i Kowalskiego *Odwet. Prawdziwa historia braci Bielskich?* Pisana pod z góry założoną tezę, że Bielskich w Nalibokach nie było, jest przykładem, jak nie należy przygotowywać tego rodzaju publikacji. Nie zamierzam wdawać się w jej szczegółową recenzję, podam kilka refleksji odnoszących się do jej tendencyjności. W opisie zagłady kresowych Żydów cały czas pojawiają się w *Odwiecie* jacyś polscy policjanci, na ogół okropnie zachowujący się. Dziennikarze „Gazety Wyborczej” nie zdołali ustalić, że na terenie obejmującego Nowogródczyznę Generalnego Komisariatu Białorusi nie było żadnej polskiej policji! Funkcjonowała tam natomiast białoruska policja pomocnicza, w której, podobnie jak w kolaboranckiej terenowej administracji białoruskiej, nawet używanie języka polskiego było zakazane. Tymczasem Głuchowski i Kowalski doszukali się nawet formowanego pod Mińskiem „polskiego” batalionu SS (chodzi im zapewne o sformowany w Generalkommissariacie Białorusi 13. batalion SS – tyle że był on białoruski). Eugeniusz Klimowicz, komendant samoobrony w Nalibokach, poufale zwany przez Głuchowskiego i Kowalskiego Żenią, to ich zdaniem człowiek, który „najprawdopodobniej parał się szmalcownictwem”. Trudno o bardziej haniebny zarzut, nie sformułował go nawet komunistyczny sąd, przed którym dwukrotnie Klimowicz stawał. Informacja, że jako żołnierz AK uczestniczył w zdobyciu Iwieńca, jest kompletną bzdurą, potwierdzającą niewiedzę autorów (to znaczy: AK rozbiło garnizon w Iwieńcu, ale Klimowicz w akcji tej nie brał udziału). Autorzy *Odwetu* z właściwą sobie lekkością podają: „W roku 1944 zniknął”. Znow nie zauważyli, że tak sponstponowany przez nich Żenia Klimowicz dowodził 2. kompanią 7. batalionu 77. pp AK, którą wraz z legendarnym por. „Ponurym” prowadził do ataku – pod ogniem cekaemów i granatników – na niemieckie bunkry w Jewłaszach.

Podobne uwagi można mnożyć na dziesiątki – trudno o bardziej tendencyjną, niechlujną i nierzetelną książkę jak *Odwet*. Najbardziej zaskakujący jest jednak finał historii tej publikacji. Wkrótce po ukazaniu się jej na rynku „Gazeta Wyborcza” wycofała się z jej promocji, a zaraz potem nakład poszedł na przemiał. Książka znikła. Czyżby z powodu błędów merytorycznych, jakich dopuścili się jej autorzy? Raczej nie. Książka *Sąsiedzi* Grossa była napisana w sposób jeszcze gorszy, a „Wyborcza” tego nie zauważała. Okazało się natomiast, że *Odwet* jest w znacznych partiach zbyt dalece „zapożyczony” z pracy izraelskiej badaczki Nechamy Tec. Tak więc książka o braciach Bielskich stała się dla osób piszących o historii przestrogą nie tylko na płaszczyźnie merytorycznej, ale i warsztatowej. A dyskusję nad nią zamknął Leszek Żebrowski opublikowanym w „Naszym Dzienniku” (z 16 lutego br.) artykułem *Od afirmacji do kompromitacji*.

O POMOCY ŻYDOM W IFiS PAN – KILKA UWAG

Pomoc, jaką ludność polska – i niepolaska (państwo niemieckie realizowało tzw. *Endlösung* na całym okupowanym przez siebie terytorium) niosła ludności żydowskiej w czasie II wojny światowej, wzbudza zainteresowanie zarówno badaczy, jak i opinii publicznej. Nic dziwnego, temat ten dotyka najbardziej tragicznych, ale też czasami najpiękniejszych kart w katalogu postaw Polaków i Żydów w okresie hitlerowskiej okupacji.

Nie jest przypadkiem, że powstałe niedawno przy IFiS PAN Centrum Zagłady Żydów (dalej jako CZŻ) postanowiło temu właśnie tematowi poświęcić uwagę w ostatnim numerze wydawanego przez siebie rocznika „Zagłada Żydów. Studia i materiały” 2008, nr 4 (dalej jako ŻŻ). Bez wątpienia inicjatywa godna jest pochwały. Dzięki wysiłkowi badaczy skupionych przy CZŻ oraz licznie zaproszonych gości z zewnątrz czytelnik może zetknąć się nie tylko z bogatym materiałem faktograficznym dotyczącym pomocy Żydom, ale także zapoznać się z ustaleniami socjologów i psychologów. Cenne jest także to, że zaprezentowano działania podejmowane poza granicami kraju na rzecz badania dziejów okupacji hitlerowskiej (Ukraina) oraz streszczono artykuły, jakie ukazały się w latach 2006–2008 w izraelskim czasopiśmie „Dapim”.

Niestety, większość tego wysiłku minęła się z celem, czyli z próbą przedstawienia kwestii pomocy udzielanej Żydom przez Polaków. Bezpośrednio temat ten porusza zaledwie kilka tekstów, większość zaś artykułów dotyczy zagadnień będących jedynie marginesem tej tematyki. Poczyniony przez redakcję wybór nadesłanych materiałów (z których wiele w innym kontekście i w innym miejscu stanowiłoby ważny wkład w wiedzę o mordzie na europejskich Żydach) tutaj merytorycznie jest niedopasowany. Nie będę więc analizował poszczególnych artykułów. Podzielę się kilkoma podstawowymi krytycznymi uwagami, które pozwolą czytelnikom ŻŻ zwrócić uwagę na tendencje, niekoniecznie ułatwiające obiektywne odczytanie obrazu przeszłości¹.

Główną uwagą pod adresem redakcji ŻŻ jest to, że o rzeczywistej pomocy stara się ona w ogóle nie pisać. Kiedy zaś nie sposób jej przemilczeć, opisuje ją w takim kontekście, by czytelnik nie miał wątpliwości, że „pomoc” tak naprawdę żadną pomocą nie była. (Co najwyżej stanowiła dla Polaków dobrą okazję do okradania najbardziej pokrzywdzonych przez okupanta i skazanych na śmierć)². Wstępem do tego jest próba utożsamienia instrumentalnego

¹ Zapewne omawiany numer ŻŻ doczeka się też szczegółowej recenzji naukowej, w której dokładnie zostaną omówione zalety i wady poszczególnych tekstów. Wszystkie bowiem, nawet te zdecydowanie słabsze warsztatowo i metodologicznie, posiadają zalety, które warto uwypuklić. Nie mogą jednak pretendować do miana tekstów o pomocy, co najwyżej o marginesie zjawiska pomocy.

² Oczywiście nie wszyscy autorzy, szczególnie ci spoza CZŻ, powielają ten schemat. Szczególnie pozytywnie na tym tle prezentują się teksty Grzegorza Berendta i Szymona Redlicha. Podobnie rzecz się ma w przypadku osób, które dla redakcji pisały teksty generalnie pomocy nie dotyczące. Trudno

traktowania historii przez rządzącą niepodzielnie PRL partię komunistyczną z głosem polskiej opinii publicznej. Jakkolwiek redaktor naczelny (bo o jego tekście teraz mowa) dostrzega, że swobodna dyskusja skończyła się już w roku 1948, to jednak zabrakło mu refleksji nad skutkami tego stanu rzeczy zarówno w kraju, jak i w stosunkach międzynarodowych. To, co było efektem zniewolenia Polski, traktuje jako rzecz naturalną i zgodną z myśleniem tak ogółu, jak też postawą działaczy antykomunistycznych. W sprawach żydowskich domyślać się ma czytelnik jakiegoś rodzaju polskiego porozumienia „ponad podziałami”, a wszystko po to, by Polacy mogli fałszować historię i powiększać swe zasługi (Władysław Bartoszewski, który notabene jest członkiem Rady Naukowej pisma, także). Podobnie zresztą czynią zdaniem redaktora wszyscy dzisiejsi historycy, nawet ci, którzy od lat zajmują się problemem pomocy i mają duże zasługi w tym względzie, na przykład Teresa Prekerowa i Gunnar Paulsson. Ich ustalenia traktowane są jako niewiarygodne i oparte na spekulacji.

Być może. Tylko jeśli tak rzeczywiście jest, to trzeba to wykazać, opierając się na dokładnych badaniach, a nie za pomocą pozbawionej argumentów negacji i prezentowania postaw względem Żydów negatywnych po to, by przysłonić postawy pozytywne. Taka reakcja redakcji mogłaby być zrozumiała, gdyby chodziło o historyków budzących kontrowersje czy mało wiarygodnych, ale prace Prekerowej i Paulsson są uważane przez znawców za rzetelne. Skąd więc taka nonszalancja? Tym bardziej że ani sam redaktor ZŻ, ani też nikt z członków CCŻ, o ile mi wiadomo, nigdy nie prowadzili badań nad pomocą, a w każdym razie nie zaprezentowali swych ustaleń w formie tekstu naukowego. Przygotowując numer o pomocy, mogli skorzystać z takiej szansy. Tak się niestety nie stało.

Redakcja ZŻ zdecydowała się poprosić piszących o artykuły oparte np. na aktach sądowych, które z definicji koncentrują się na zachowaniach dewiacyjnych i przestępczych. Same w sobie (gdyby nie udawano, że są to najlepsze dla badania tematu pomocy materiały) są opracowaniami niepozbawionymi wartości, ponieważ wnoszą coś nowego do wiedzy o demoralizacji i dziejach bandytyzmu z lat okupacji. Trudno mi odkryć sens pisania o czymś, co stanowi margines zagadnienia, podczas gdy podstawowe pole badawcze wciąż pozostaje niedostatecznie odkryte. Dlaczego na potrzeby tej edycji ZŻ nie przeprowadzono najmniejszych nawet badań opartych na materiale archiwalnym bezpośrednio mówiącym o osobach pomagających, jak np. akta osób uznanych za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przechowywane w Instytucie Yad Vashem? Czy mamy ich zbyt wiele? Przeciwnie. Nie ma ani jednej monografii polskich Sprawiedliwych. Czy redakcja ZŻ naprawdę nie dostrzegła potrzeby jej opracowania?

Co więcej, w tym, co członkowie CZŻ na podstawie akt sądowych napisali, daje się wyczuć wyraźną tendencyjność, czasami przekraczającą granice dobrego smaku. Rozumiem chęć nowatorstwa i udowadnianie, że nikt wcześniej niczego nie odkrył, wszyscy kłamali, a obecnie tylko dzielni członkowie CZŻ mają odwagę pisać o tematach tabu. To jest pewien sposób, by zwrócić na siebie uwagę. Ale czy trzeba w tym celu np. termin „paid helper”, który tłumaczy się na ogół jako „płatny pomocnik”, zamieniać na określenie „biorca”, notabene brzmiące bardzo sztucznie (s. 82)? Nie dostrzegam tu żadnego racjonalnego wytłumaczenia, poza chęcią wyeliminowania pozytywnej konotacji związanej z oryginałem, w którym zawarte jest słowo „help” – „pomoc”. Stosując terminologię dotychczasową, uznaje się, że

wymagać, by np. pisząc o mordzie na Żydach dokonanej przez grupę Polaków, także – podawać informacje o przypadkach altruizmu i empatii. Tym bardziej dotyczy to tekstów przetłumaczonych i przedrukowanych czy też autorów, którzy na prośbę redakcji zaledwie analizowali materiał archiwalny albo tych, którzy skupili swą uwagę na naukach względem historii pomocniczych.

osoba, która pomagała za pieniądze, przyczyniała się jednak do ocalenia lub nawet ocalenia osoby ukrywającej się. Termin zaś „biorca” nie tylko brzmi niesmacznie („biorca”, więc też „dawca”, np. organów), ale też skłania do myślenia, że to strona polska była jedyną korzystającą z tego kontaktu. Dlaczego bandyci, którzy przyczynili się do śmierci wielu osób, w tym także katolickiego księdza, i byli ścigani przez podziemie polskie, urastają do rangi „przywoitych ludzi i może nawet dobrych sąsiadów” (s. 425–426)³? Czy trzeba też udawać, że renegaci, którzy zamordowali grupę Żydów w Ostrowcu Świętokrzyskim, byli zwykłymi członkami Armii Krajowej? Dlaczego tylko w przypisie podana jest informacja o tym, że przywódca bandy uważany był przez komendanta obwodowego oddziału AK za „warchołę wykonującego na własną rękę roboty bandyckie” (s. 291)?

Nie chcę dezawuować zasług polegających na przybliżaniu obrazu zła, jakie się wydarzyło. Uważam też, że pokazanie przypadków niesłusznej rehabilitacji morderców po latach jest ważne i życzę redakcji, by doprowadziła dzieło do końca. Po co jednak tytuły, które bardziej odwołują się do sfery emocji niż merytorycznej argumentacji, jak np. sformułowanie „przemysł pomocy” (s. 81) albo użycie formuły przysięgi, w której pada odwołanie do Boga i ojczyzny (s. 287)? Rozumiem, że redakcję tekst przysięgi śmieszy, że chce zasugerować, jakoby właśnie w imię tych haseł akowcy mordowali Żydów, czy jednak na pewno nie krzywdzi się tym samym ludzi prawych i uczciwych, którzy dla tej właśnie przysięgi narażali życie, tracili zdrowie lub ginęli?

Czy świadomość, że większość uczestników podziemia dawno nie żyje i nie może się bronić, jest wystarczającym powodem szyderstwa? Czy można tak dużo pisać o przywoitości, jej braku, potępiać podłość, a jednocześnie samemu nie okazywać szacunku innym? Myślę, że tego rodzaju postępowanie redakcji pisma, aspirującego do bycia poważnie traktowanym, nie powinno mieć miejsca. Czy sama nazwa rocznika nie powinna zobowiązywać do utrzymania najwyższego poziomu?

Podobnie jak w przypadku oceny akowców razi też tendencyjność w prezentowaniu wszystkich określanych w tekstach mianem „katolików”. W wielu miejscach jest to synonim zła i ciemnoty. Być może, tak się akurat zdarzyło, ale zdrowy rozsądek podpowiada mi, że świat byłby zbyt prosty i przyjemny, gdyby wszystkie złe cechy, jakie ludzkość posiada, skupiały się w jednej grupie narodowej czy wyznaniowej. Zresztą, czy ktoś kiedyś nie głosił

³ Z autorką tekstu i redakcją ZŻ wiążą się także błędnie podane na stronie internetowej CZŻ informacje na temat mojej wypowiedzi na konferencji Programu Index, jaka miała miejsce 5 grudnia 2008 r. w Krakowie. Podano, jakoby m twierdził, iż nie można porównywać pogromu w Jedwabnem do ukraińskich pogromów na Żydach w Galicji Wschodniej, że twierdzą, jakoby w Polsce pomagano bezinteresownie, podczas gdy na Białorusi pomagano za pieniądze, oraz że liczne przypadki pomocy nie zostały zarejestrowane i utrwalone na piśmie, ale należy pamiętać o tym, że miały miejsce. Tylko ostatnie stwierdzenie jest prawdziwe. Dwa pierwsze to przypadkowe lub nieprzypadkowe przekłamania. W kwestii porównań pogromu w Jedwabnem i w Galicji Wschodniej wskazałem po prostu, że nie należy łatwo stawiać znaku równości między *ad hoc* zorganizowanymi zajściami w chwili przesuwania się frontu a masową i planową rzezią stale działających oddziałów ukraińskiego podziemia, które kierowało nie tylko niektórymi pogromami na Żydach, ale też masakrą ludności polskiej na Wołyniu. Co do kwestii pomocy w Polsce i na Białorusi, poinformowałem jedynie uczestnika konferencji, pana Rozenblata, o wynikach badań Nechamy Tec, która opisała przypadek kilkuset osób, uratowanych i ratujących bez względu na kwestie finansowe. Jego wypowiedź wskazywała bowiem na to, że ustaleń tych i książki nie zna. Link do relacji CZŻ z ww. konferencji: <http://www.holocaustresearch.pl/nowy/index.php?mod=news&show=38&template=print>

już takich poglądów? Kiedy więc czytam coś podobnego, w miarę upływu czasu narasta moja nieufność, zaś argumenty mające mnie do tego przekonać, osiągają skutek odwrotny do zamierzonego. Przykładów można by podać wiele. Jednym z nich jest próba opisanie katolickich wieśniaków językiem podróżników odwiedzających prymitywne ludy Afryki czy Azji, którzy tym są jeszcze gorsi od tych ostatnich, że z tajemniczego powodu zawsze pozostają źle nastawieni do wszystkich „obcych” (np. s. 154–155).

Ciekawy jest też fragment, który w opozycji do siebie stawia dwie rzeczywistości: „zanosząc swój lament, gnijącą i umierającą” z północnego Mazowsza oraz tę „z dalekiego Izraela”, która ma przyjść z pomocą mimo złego traktowania w przeszłości (s. 327). Ktoś złośliwy mógłby pomyśleć, że tylko katolicy i polscy członkowie CZŻ mogli wspiąć się na tak mało wyszukane intelektualne szczyty. A może to owe trzy „demony” (s. 11), które przysłoniły percepcję jednego z członków redakcji, tak gwałtownie obniżają poziom naukowy pisma? W kontekście demonizacji „katolików” szczególnie zabawnie brzmi fragment, który opowiada o zasługach jedynej z całej społeczności mariawitów osoby (Konrad Rudnicki wraz z żoną Marią), która odznaczona została tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Po opisie jego zasług następuje dość wstydlive wyznanie..., że w okresie wojny co prawda nie był jeszcze mariawitą, ale można go za takiego uznać, bo jego czyny pokazują, że był nim w głębi serca (sic!). Oczywiście, przyznanie, że pomagał jeszcze jako katolik, nie pada w tekście (s. 464).

Trudno wytłumaczyć, dlaczego zabierając się do pisania na temat pomocy, redakcja ZŻ popełniła błędy tak natury metodologicznej, jak też organizacyjnej. Niełatwo też zgadnąć, czym się kierowano, pozwalając, by na łamach jedynej w Polsce czasopisma poświęconego zagłądzie Żydów pojawiały się opracowania tak niewiele mające wspólnego z rzeczowymi badaniami naukowymi. Nie rozumiem, dlaczego tak niewiele miejsca poświęcono udzielanej pomocy, a cały prawie wysiłek skoncentrowano na problematyce zjawiska marginalnego. Można tylko mieć nadzieję, że redakcja wyciągnie właściwe wnioski, które zaowocują poprawą stanu merytorycznego pisma, a publikowane teksty w przyszłości pozbawione będą cech publicystycznej polemiki. Tego redakcji serdecznie życzę.

ULICA RYSZARDA SIWCA W PRADZE – 13 LUTEGO

Dzięki staraniom pracowników praskiego Instytutu Badań Reżimów Totalitarnych (Ústav pro studium totalitních režimů) 13 lutego uroczysto odsłonięto tablicę z nową nazwą ulicy, przy której mieści się wspomniany instytut. Jej patronem został Ryszard Siwiec, który 8 września 1968 r., protestując przeciw inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, dokonał samospalenia na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. W uroczystości wziął udział syn Ryszarda Siwca, Wit.

Jeszcze we wrześniu 2008 r., w ramach obchodów 40. rocznicy inwazji na Czechosłowację Instytut Badań Reżimów Totalitarnych uczcił pamięć Siwca, wydając studium autorstwa Petra Blažka *Živá pochodeň na Stadionu Desetiletí, Protest Ryszarda Siwce proti okupaci Československa v roce 1968* (Żywa pochodnia na Stadionie Dziesięciolecia, Protest Ryszarda Siwca przeciw okupacji Czechosłowacji w roku 1968).



DD

„OFIARY IMPERIÓW – IMPERIA JAKO OFIARY” - WARSZAWA, 19-21 LUTEGO

Z inicjatywy prof. dr. hab. Andrzeja Nowaka w Instytucie Historii PAN odbyła się międzynarodowa konferencja naukowa „Ofiary imperiów – Imperia jako ofiary”. Została ona przygotowana przez Instytut Historii PAN oraz IPN. Referaty wygłosili historycy z Rosji, Ukrainy, USA, Wielkiej Brytanii i Polski. Omówili oni takie zagadnienia, jak: polityczna, społeczna i cywilizacyjna przemoc w praktyce i koncepcjach Imperium Rosyjskiego ZSRS oraz idee antyimperialne i rozpad imperiów w Europie Wschodniej (od nowożytności do postnowoczesności).



Fot. P. Życański

PŻ

„POLSKIE DZIECI NA TUŁACZYCH SZLAKACH 1939–1950” – WARSZAWA, 20 LUTEGO



Fot. P. Życieński



Fot. P. Życieński

Instytut Pamięci Narodowej i Biuro Bezpieczeństwa Narodowego zorganizowały promocję książki „Polskie dzieci na tułacznych szlakach 1939–1950” pod redakcją Janusza Wróbla i Joanny Żelazko. W spotkaniu wzięli udział: żona Prezydenta RP Maria Kaczyńska, Anna Walentynowicz – inicjatorka konferencji na Belwederze, której pokłosiem jest książka *Polskie dzieci...*, oraz ci, dziś ludzie w podeszłym wieku, którzy ponad sześćdziesiąt lat temu tułali się po całym świecie po wyjściu z Armią Andersa z ZSRS, a obecnie mieszkają w USA, Wielkiej Brytanii, Australii, Nowej Zelandii i innych krajach. Podczas spotkania odbyła się projekcja filmu *Dzieci*.

AS

„ZAMACH NA KUTSCHERĘ” I „NAJSŁYNNIEJSZE AKCJE KEDYWU AK” – WARSZAWA, 22 LUTEGO

W Al. Ujazdowskich w Warszawie odbyło się widowisko historyczne „Zamach na Kutschere”. Imprezę, w której wzięli udział: Stowarzyszenie Tradycji AK, Harcerska Grupa Historyczna „Wigry”, Stowarzyszenie Historyczne „Cytadela”, GRH „Pionier 39”, Stowarzyszenie Inscenizacji Historycznych Pomerania 1945, GRH 130, Panzer-Lehr-Division, GRH Batalion Czata 49, Stowarzyszenie PSZ oraz goście, zorganizował warszawski Oddział IPN.

Akcja na Kutschere odtworzona została na podstawie relacji uczestników (szefa służby wywiadu „Parasola” chor. Aleksandra Kunickiego „Rayskiego” oraz wywiadowczyń: Hanny Szarzyńskiej-Rewskiej „Hanki”, Marii Stypułkowskiej-Chojeckiej „Kamy” i Elżbiety Dziembowskiej „Dewajtis”).

Tego samego dnia została przeprowadzona gra uliczna „Najsłynniejsze akcje Kedywu AK”. Uczestnicy podzieleni zostali na trzy patrole. Każda z grup przeszła szlakiem jednej z akcji zrealizowanych przez Kierownictwo Dywersji AK w 1943 i 1944 r. w Warszawie. Pierwsza grupa przeszła trasą, którą przewożony był Jan Bytnar „Rudy” – odbity przez Bataliony Szturmowe Szarych Szeregów w ramach tzw. Akcji pod Arsenalem. Druga grupa szła



Fot. P. Życieński

szlakiem akcji przeprowadzonej przez kompanię dyspozycyjną Kedywu „Agat”, w wyniku której zastrzelono Franza Kutschere. Trzeci patrol przeszedł szlakiem akcji likwidacyjnej skierowanej przeciwko sadystycznemu kierownikowi zmiany w oddziale kobiecym więzienia na Pawiaku gestapowcowi Ernestowi Weffelsowi.

IS

TOM II: „NIEZŁOMNI” – 26 LUTEGO

W siedzibie Sekretariatu Konferencji Episkopatu Polski odbyła się promocja drugiego tomu ipeenowskiej serii wydawniczej „Niezlomni”. W tomie zatytułowanym *W obronie Ojczyzny i Kościoła* przedstawiono dokumenty ukazujące działania bezpieki przeciw czterem hierarchom: kard. Adamowi Sapiesze, bp. Pawłowi Latuskowi, bp. Franciszkowi Musielowi oraz bp. Edwardowi Frankowskiemu. Zaproszonych gości powitał rzecznik KEP ks. dr Józef Kloch, wystąpienie wprowadzające wygłosił wiceprezes IPN dr Franciszek Gryciuk, a dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN dr hab. Jan Żaryn przedstawił założenia serii „Niezlomni”. Kolejne wystąpienia poświęcono bohaterom tomu: postać kard. Sapięhy przypomniał abp. Kazimierz Nycz, życiorys bp. Latuska zaprezentował bp Jan Kopiec, losy Musiela przybliżył ks. Ireneusz Skubiś, redaktor naczelny „Niedzieli”, a bp Frankowski wspominał własne zmagania z bezpieką. Na zakończenie w imieniu zespołu opracowującego pierwszy i drugi tom serii głos zabrał dr Filip Musiał, omawiając archiwalia bezpieki jako materiał do badania niezłomnych postaw Polaków.

FM



Fot. P. Życieński

Grzegorz Berendt – dr hab. historii, pracownik BEP IPN i wykładowca Uniwersytetu Gdańskiego, specjalizuje się w badaniach nad dziejami polskich Żydów w XX w. Opublikował m.in.: *Życie żydowskie w Polsce 1950–1956. Z dziejów Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce*.

Marek Jerzman – historyk, pracuje w Gimnazjum w Łosicach. Zainteresowania badawcze: historia najnowsza i stosunki polsko-żydowskie. Publikował w paryskiej „Kulturze”, „Gazecie Polskiej”, „Rzeczpospolitej”.

Andrzej W. Kaczorowski – dziennikarz, członek Towarzystwa Karpackiego, autor książki *Miejsca święte w Polsce*, badacz niezależnego ruchu chłopskiego 1976–1989.

Michał Kalisz – historyk, prawnik, doktorant Uniwersytetu Rzeszowskiego, pracownik OBEP IPN w Rzeszowie. Specjalizuje się w badaniu stosunków polsko-żydowskich pod okupacją niemiecką.

Paweł Knap – historyk, pracownik naukowy OBEP IPN w Szczecinie, redaktor naczelny pisma popularyzującego historię miasta „sedina.pl magazyn. Rocznik Miłośników Dawnego Szczecina”.

Kazimierz Krajewski – historyk, kierownik referatu badań naukowych OBEP w Warszawie; autor kilkunastu publikacji książkowych i licznych artykułów naukowych z zakresu dziejów podziemia niepodległościowego w latach II wojny światowej i w okresie powojennym.

Karol Madaj – pracownik BEP IPN, zajmuje się biografią ks. Marcelego Godlewskiego; jeden ze współautorów teki edukacyjnej IPN „Polacy ratujący Żydów w latach II wojny światowej”.

Witold Mędykowski – historyk, pracuje w Archiwum Yad Vashem. Jako stypendysta niemieckiej Fundacji „Pamięć, Odpowiedzialność i Przyszłość” realizuje projekt badawczy, dotyczący pracy przymusowej Żydów w Generalnym Gubernatorstwie w latach 1939–1943.

Wojciech J. Muszyński – historyk, badacz dziejów obozu narodowego w Polsce, pracownik BEP IPN. Autor m.in. prac *W walce o Wielką Polskę. Propaganda zaplecza politycznego NSZ w latach 1939–1945*, *Błękitna Dywizja. Ochotnicy hiszpańscy na froncie wschodnim*.

Aleksandra Namysł – dr, główny specjalista w OBEP IPN Katowice, koordynator projektu badawczego IPN „Polacy ratujący Żydów”; redaktor naukowy tomu *Zagłada Żydów na polskich ziemiach wcielonych do Rzeszy*, Warszawa 2008; zajmuje się głównie kwestią zagłady Żydów z terenów Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska.

Sebastian Piątkowski – dr nauk humanistycznych, historyk, pracuje w radomskiej delegaturze OBEP IPN. Autor m.in. *Dni życia, dni śmierci. Ludność żydowska w Radomiu w latach 1918–1950*. Współautor: *Cena poświęcenia. Zbrodnie na Polakach za pomoc udzielaną Żydom w rejonie Ciepłowa*.

Marcin Urynowicz – pracownik BEP IPN, stypendysta USHMM i Instytutu YIVO, publikował m.in. w „Biuletynie ŻIH”, „Dziejach Najnowszych”, „Pamięci i Sprawiedliwości”. Specjalizuje się w badaniu stosunków polsko-żydowskich pod okupacją niemiecką.

Marek Wierzbicki – dr hab., historyk, politolog, pracuje w radomskiej delegaturze IPN i ISP PAN, profesor Collegium Civitas. Opublikował m.in. książki: *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-białoruskie na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*, *Polacy i Żydzi w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-żydowskie na ziemiach północno-wschodnich pod okupacją sowiecką (1939–1941)*.

Mateusz Wyrwich – politolog, dziennikarz. Autor ponad stu reportaży o tematyce społecznej i historycznej oraz sześciu książek.

Anna Zechenter – germanista, pracuje w OBEP IPN w Krakowie. Redaktor, tłumaczka i autorka artykułów i komentarzy o tematyce międzynarodowej.

Jan Żaryn – dr hab. historii, prof. UKSW, publicysta. Specjalizuje się w dziejach najnowszych, szczególnie w historii Kościoła katolickiego w Polsce w XX w., obozu narodowego w dziejach politycznych emigracji po 1945 r. Dyrektor BEP IPN.

BEKANNTMACHUNG

Betr.: Todesstrafe für Unterstützung von Juden, die die jüdischen Wohnbezirke unbefugt verlassen haben.

In der letzten Zeit haben sich zahlreiche Juden aus den ihnen zugewiesenen jüdischen Wohnbezirken unbefugt entfernt. Sie halten sich z. Zt. noch im Distrikt Warschau auf.

Ich weise darauf hin, dass durch die Dritte Verordnung des Generalgouverneurs über Aufenthaltsbeschränkung im Generalgouvernement vom 15.10.1941 (Vbl. GG. S. 595) nicht nur die Juden, die in dieser Weise unbefugt den ihnen zugewiesenen Wohnbezirk verlassen haben, mit dem Tode bestraft werden, sondern dass die gleiche Strafe jeden trifft, der solchen Juden wissentlich Unterschlupf gewährt. Dazu gehört nicht nur die Gewährung von Nachlager und Verpflegung, sondern auch jede anderweitige Unterstützung, z. B. durch Mitnahme in Fahrzeugen aller Art, durch Ankauf jüdischer Sachwerte usw.

Ich richte hiermit an die Bevölkerung des Distrikts Warschau die Aufforderung, jeden Juden, der sich unbefugt ausserhalb eines jüdischen Wohnbezirks aufhält, sofort dem nächsten Polizeirevier oder Gendarmerieposten zu melden.

Wer einem Juden Unterstützung hat zuteil werden lassen oder z. Zt. noch zuteil werden lässt, hiervon aber bis zum 9.9.42, 16 Uhr, der nächsten polizeilichen Dienststelle Mitteilung macht, wird **STRAFRECHTLICH NICHT VERFOLGT WERDEN.**

In der gleichen Weise wird gegen denjenigen von einer Strafverfolgung Abstand genommen, der die von einem Juden erworbenen Sachwerte bis zum 9.9.42, 16 Uhr, in Warschau, Niskastr. 20, abliefern oder bei dem nächsten Polizeirevier bzw. Gendarmerieposten Meldung erstattet.

Warschau, den 5. September 1942.

**Der SS- und Polizeiführer
im Distrikt Warschau.**



OBWIESZCZENIE

Dotyczy kary śmierci za wspieranie żydów, którzy przekroczyli bez uprawnienia granicę dzielnicy żydowskiej.

W ostatnim czasie większa ilość żydów wydostała się bez uprawnienia z dla nich przeznaczonych dzielnic. Ci znajdują się dotąd w okręgu warszawskim.

Przypominam, że trzecie rozporządzenie Generalnego Gubernatora z dnia 15.10.1941 r. (Vbl. GG. S. 595) przewiduje, że nie tylko żydzi zostaną skazani na śmierć za przekroczenie granicy dzielnicy żydowskiej, ale każdy, kto w jakikolwiek sposób dopomaga im w ukrywaniu się. Zaznaczam, że za pomoc udzielaną żydowi uważa się tylko przenocowanie ich i wyżywienie, ale również przewożenie ich jakimkolwiek środkiem lokomocji, kupowanie od nich różnych towarów, i t. p.

Zwracam się do ludności okręgu warszawskiego z wezwaniem, aby każdego żyda, który bez uprawnienia przebywa poza granicami dzielnicy żydowskiej natychmiast zameldować u najbliższego posterunku policyjnego względnie żandarmerji.

Kto udzielał pomocy żydowi albo jeszcze dotąd udziela, a do dnia 9. 9. 1942 r. godz. 16-ta zamelduje w najbliższym posterunku policji lub żandarmerji, podlega odpowiedzialności karnej.

Również nie podlega odpowiedzialności karnej ten, kto do dnia 9. 9. 1942 r. godz. 16-tej, odeśle rzeczy nabyte od żyda pod adresem Warszawa, Niska albo zawiadomi o tym najbliższy posterunek policji wzgl. żandarmerji.

**Kierownik SS- i Policji
dla Okręgu Warszawskiego**

Warschau, dnia 5 września 1942 r.

*Rozważałem
nie widzieć od razu
9.9.42 godz. 10.-
Hm*

